

SZUKAJ WYDANIA Z WYJĄTKOWĄ KSIĄŻKĄ

Wydanie z książką w cenie 9,90 zł

RZECZNIK RZĄDU WĘGIER ZOLTÁN KOVÁCS: NIEKTÓRE ORGANIZACJE POZARZĄDOWE TO PRZYKRYWKI. KTO JE FINANSUJE?



JANECKI: JAK VEGA I INNI ZMYŚLAJĄ O KACZYŃSKIM

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 26 (344) 2019
1–7 lipca
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

CZY GDAŃSK CHCE DO NIEMIEC?

WSTRZĄSAJĄCY REPORTAŻ: DLACZEGO OPOZYCJA KULTYWUJE TRADYCJĘ WOLNEGO MIASTA GDAŃSKA, W KTÓRYM POLACY BYLI PRZEŚladowani, SZALAŁ ANTYSEMITYZM I RÓSŁ NAZIZM? DLACZEGO MAŁO TAM TROSKI O POLSKOŚĆ?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
2 6
9 772544 269908

Pracownicze Plany Kapitałowe



PFR
Polski Fundusz Rozwoju

W sumie się opłaca

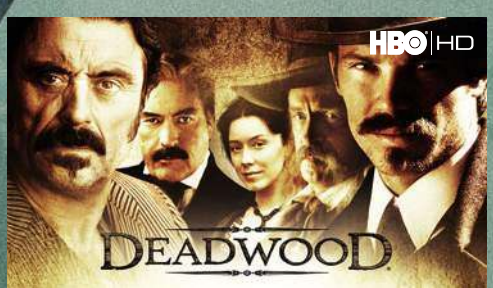
Oszczędzaj na bezpieczną przyszłość ze swoim Pracodawcą i Państwem

www.mojePPK.pl
infolinia: 800 775 775

CYFROWY POLSAT

CZARNOBYL

HBO HD HBO GO







Najlepsze filmy, seriale i sport na start 3 MIESIĄCE BEZ OPŁAT!

Oferta dostępna również w telewizji kablowej w technologii IPTV!

Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat" nie dotyczy sprzętu i usług dodatkowych na czas nieokreślony. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. PGE Ekstraliga w ELEVEN SPORTS. „Czarnobyl" © 2019 Home Box Office, Inc. „Deadwood" © 2016 Home Box Office, Inc. „Wielkie kłamstewka" © Home Box Office, Inc. Wszelkie prawa zastrzeżone.

eprasa.pl 93ce4e52b2

Kiepskie perspektywy opozycji

Minął miesiąc od wyborów do Parlamentu Europejskiego. Z tej perspektywy trzy wnioski wybrzmiewają szczególnie mocno.

Pierwszy: w 100 proc. potwierdziły się tezy, że wynik starcia 26 maja narzuci dynamikę kolejnych miesięcy.

Drugi: obóz rządzący zdołał uniknąć najgroźniejszego ryzyka po wielkim triumfie: pychy. Trzeba jeszcze zmierzyć się z groźbą lenistwa.

Trzeci: opozycja nie tylko zmarnowała czas od porażki wyborczej, ale stacza się w zastraszającym tempie. Płaczliwe komentarze Lisa, alarmistyczne listy do „Wyborczej", zapowiedzi pikiet pod siedzibami partii opozycyjnych organizowanych przez tzw. Obywateli RP – to tylko kilka z wielu sygnałów o tym świadczących.

Warto jeszcze raz spojrzeć wstecz. Podstawową przyczyną porażki Koalicji Europejskiej nie był bowiem – co suflowała natychmiast po 26 maja „Wyborcza" – brak sprawności organizacyjnej. Ani brak plakatów. Ani brak charyzmy lidera. To są wygodne wymówki, by niczego nie zmieniać. Kampania KE nie była w warstwie aktywności aż tak zła, jak się to rysuje. Plakatami zalany był cały kraj (sam widziałem!). A lider, czyli Schetyna, ma swoje deficyty, ale też nie wczoraj je odkryto i nie dlatego poległ.

KE przegrała z innymi czynnikami – porównaniem jakości rządów obecnych z poprzednimi oraz brakiem intelektualnego przepracowania tego, co się stało w roku 2015.

Zamiast uznać wybór Polaków za demokratyczną, uprawnioną zmianę, przyjęto narzucony przez środowiska Michnika (to oni zorganizowali KOD) kurs na starcie o konstytucję i demokrację. W efekcie zmarnowali cztery lata. Gdy to padło, gdy runęła propagandowa konstrukcja polexitu, wszyscy zostali z pustymi rękoma.

To grupa Michnika uznała, że od pierwszego dnia w polskim kotle ma wrzeć, że trzeba lać benzynę i krzesać ogień, nakręcać emocje, eskalować epitety. W efekcie gdy przyszło do wyborów, wszystkie mocne słowa były już zużyte, a ludzie zmęczeni niesprawdzającymi się ostrzeżeniami.

To także „Wyborcza" postawiła sobie za cel zjednoczenie całej opozycji, budując hasło „antypisu". Zlekceważyli oczywiste ryzyka, czyli ściągnięcie na pokład ekstremistów, utratę sterowności i wiarygodności, odejście od choćby fasady centryzmu PO. Nie dostrzegli, że klasyczna konstrukcja trzech bloków (liberalny, ludowy, lewicowy) byłaby bardziej przekonującą ofertą opozycji.

Co najdziwniejsze, dalej w tę uliczkę jedności brną. Nie myślą, a reagują. Nie analizują, a krzyczą. Znów pchają swój obóz ku katastrofie, w myśl zasady „Jeszcze więcej tego samego". Skoro Koalicja Europejska przegrała, to żądają... jeszcze większej Koalicji Europejskiej. Absurd.

A może próba przykrycia tego, że poza antypisem naprawdę niczego tam nie ma?

Michał Karnowski



54/0619/F | 58/0319/F

SIECI

spis treści



40 *Polityka w warkoczykach*
Jakub Augustyn Maciejewski



78 Krok od wojny
Konrad Kołodziejski



96 A jeśli trafi w nas asteroida?
Przemysław Barszcz

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **STACJA KOSMICZNA „OTUA”**
Krzysztof Feusette

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

14 **PUŁAPKA SAMORZĄDNOŚCI**
Jan Pietrzak

15 **WYCHODEK DLA SZCZEŻUI**
Bronisław Wildstein

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **POLSKA OCZAMI ŚWIATOWYCH ARCHITEKTÓW**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **WOJNA GDAŃSKA Z POLSKĄ**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

30 **NIC NIE WIEDZĄ, ALE TO IM NIE PRZESZKADZA**
Stanisław Janecki

34 **CZEGO TOTALNA OPOZYCJA NIE WIE O WYBORCY PIS**
Dorota Łosiewicz

36 **Z DR. SŁAWOMIREM DĘBSKIM**
rozmawia Marcin Fijołek

40 **POLITYKA W WARKOCZYKACH**
Jakub Augustyn Maciejewski

44 **Z ZOLTÁNEM KOVÁCSEM**
rozmawia Michał Karnowski

47 **PEKIN W WARSZAWIE?**
Aleksandra Rybińska

50 **Ź JAK ŹRÓDŁA (INFORMACJI DZIENNIKARZA)**
Hanna Karp

52 **DE-BEŚCIAK**
Jaromir Kwiatkowski

SIECI KULTURY

55 **LIPIEC PEŁEN WRAŻEŃ**
Jolanta Gajda-Zadworna

59 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

60 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

62 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

64 **Z JAROSŁAWEM SELLINEM**
rozmawia Edyta Hołdyńska

67 **KSIĄŻKA ZAKAZANA NADAL GODNA LEKTURY**
Krzysztof Dybciak

HISTORIA

70 **POLOWANIE NA CHRAPKIEWICZA**
Jaromir Kwiatkowski

ŚWIAT

74 **KAMUFLOWANA DECYZJA**
Jan Rokita

76 **PORWANY PRZEZ AL-KAIDĘ**
rozmowa Kamili Hedvig Górny

78 **KROK OD WOJNY**
Konrad Kołodziejski

GOSPODARKA

90 **CZY ZA ZDROWE NAPOJE ZAPŁACIMY WIĘCEJ?**
Kajetan Kutnowski

NATURA NIE DLA LUDZI

96 **A JEŚLI TRAFI W NAS ASTEROIDA?**
Przemysław Barszcz

SPORT

98 **Z KAJETANEM KAJETANOWICZEM**
rozmawia Maksymilian Wysocki

KUCHNIA

102 **MOJE SMAKI: KRYSTYNA DAJKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

103 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

104 **D… A SPRAWA WOLNOŚCI**
Maciej Pawlicki

106 **PLATFORMA – LEWICA MARKSISTOWSKA**
Wojciech Reszczyński

107 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **24 RAZY NIENAWIŚĆ**
Aleksander Nalaskowski

109 **WYBIERAM TYSONA**
Wiktor Świetlik

110 **JEDEN DUCH, JEDNO SERCE**
Jan Pospieszalski

111 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 **PALMA Z RYDWANEM**
Ryszard Makowski

113 **WESTCHNIENIA LATA…**
Leszek Długosz

114 **ZBĘDNE OGNIWO POŚREDNIE**
Andrzej Zybertowicz

54/0619/F

eprasa.pl 93ce4e52b2

Pracownicze Plany Kapitałowe

Od 1 lipca 2019 r. Pracownicze Plany Kapitałowe obejmują firmy zatrudniające co najmniej 250 osób.

Sprawdź, jak z PPK pomnażać prywatne oszczędności emerytalne.



W sumie się opłaca

www.mojePPK.pl
infolinia: 800 775 775



Oszczędzaj na bezpieczną przyszłość ze swoim Pracodawcą i Państwem

- Proste i wygodne oszczędzanie na przyszłość
- Środki w pełni prywatne i dziedziczone
- Do każdej wpłaconej złotówki dokładają się Pracodawca i Państwo

PFR
Polski Fundusz Rozwoju

eprasa.pl 93ce4e52b2



Sygnalista nadaje

Krzysztof Brejza pokieruje sztabem wyborczym koalicji, którą będą współtworzyć m.in. PO, Nowoczesna oraz Inicjatywa Polska. To bardzo ciekawa nominacja. Oficjalnie jej uzasadnieniem jest teza o rzekomo wyjątkowej pracowitości posła PO. Niektórzy sądzą jednak, że w tej sprawie ważniejsze są powiązania i kontakty, które ujrzały światło dzienne przy okazji projektów interpelacji znalezionych przez SKW w sejfach Centrum Eksperckiego Kontrwywiadu NATO. Co z kolei prowadzi do wniosku, że kampania opozycji będzie ostra, brutalna i pełna różnego rodzaju nieczystych sztuczek.

Ale zapewne będzie to także kampania zabawna. W sztabie PO i przybudówek na jesienne wybory znaleźli się bowiem także: Barbara Nowacka, Adam Szłapka, Bartosz Arłukowicz, Małgorzata Kidawa-Błońska, prezydent Łodzi Hanna Zdanowska oraz prezydent Sopotu Jacek Karnowski. Wybrano więc ludzi, którzy nie mają większego pojęcia o prowadzeniu kampanii, którzy wzmacniają metropolitarny wizerunek PO i którzy mogą wyborcom zaproponować jedynie szczere emocje. A to chyba za mało, by cokolwiek zmienić.

A na marginesie: ilekroć Platforma wypowie słowo „Polska", ilekroć zadeklaruje swój patriotyzm, niech sobie państwo przypomną, że w rządzonym przez Jacka Karnowskiego Sopocie nie uświadczysz polskiej flagi. Są wszystkie: miejskie, wojewódzkie, unijne, ale biało-czerwonej nie zobaczysz.

Pisarka **Manuela Gretkowska** *zgrabnie podsumowała emocje towarzystwa, które coraz wyraźniej czuje, że coś mu się z rąk wymyka. „Polska stanie się znowu krajem zastępczym. Już jest drugorzędnym z podróbą chemii, kultury, nowoczesności. Polacy tak lubią, po swojemu, staropolsko w słomianych łapciach i gaciach, dupcyć po bożemu i dawać tej d…y każdemu, kto ją posmaruje 500 plus albo obietnicą zbawienia". Cytat drastyczny, przepraszamy, ale te erupcje ojkofobii trzeba notować, bo kolejne pokolenie nie uwierzą, że coś tak żenującego mogło uchodzić za „elitę".*

Czy Platforma gra jeszcze o zwycięstwo? To pytanie zadają już także zwolennicy opozycji. Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, była ambasador RP w Rosji, dziś w Fundacji Batorego, w liście skierowanym do Schetyny, pyta dramatycznie: „Dlaczego największa polska partia opozycyjna cztery miesiące przed wyborami wywiesiła białą flagę? Jak to możliwe, że politycy koalicji popartej przez 38 proc. głosujących opuścili bezradnie ręce i uznali, że nie mają szans na zwycięstwo? Jakim cudem przywódca opozycji, od którego tak wiele przecież zależy, mógł w przełomowym momencie zatracić wolę walki?". Schetyna na razie nie odpowiedział.

Cóż jednak mógłby odpowiedzieć myślicielce, która przedstawia takie oto konkretne propozycje: „Być może warto wskazać nowego, kompetentnego, ale świeżego w polityce kandydata na premiera. Zapowiedzieć, że 50 proc. miejsc na listach, w tym jedynek i dwójek, oddane zostanie osobom spoza polityki, młodym gniewnym, zdeterminowanym i zaangażowanym. Że liczyć się będą wiara, nadzieja i skuteczność, a nie partyjny staż".

Politykom można radzić, ale raczej nie wypada proponować im samobójstwa. I to publicznie.

Pełczyńskiej-Nałęcz odpowiedział za to – pośrednio – ***Aleksander Smolar***. „Świat się nie kończy na najbliższych wyborach. Wyniki, z jakimi wyjdziemy z wyborów, my, czyli opozycja, to będzie determinowało w dużym stopniu dalsze losy kraju. Można gorzej przegrać albo lepiej przegrać"

eprasa.pl 93ce4e52b2

– tłumaczył szef Fundacji Batorego, potwierdzając, że liderzy opozycji (a Smolar to bardzo ważny lider) szykują się na marsz dłuższy, niż planowali jeszcze kilka miesięcy temu.

Smolar szkicuje to tak: „Jeżeli PiS będzie pozbawiony większości w Senacie i pozbawiony na dodatek np. prezydentury, to jest bardzo poważne ograniczenie pola manewru PiS-u". Wygrana opozycji w Senacie to raczej bajka, bo jeśli polityczna fala daje zwycięstwo w Sejmie, to raczej da również w izbie wyższej. Z tego wniosek, że ostatnim bojem III RP – bojem naprawdę o wszystko – będą wybory prezydenckie w 2020 r. Bo potem kolejna szansa dopiero w roku 2023.



Na tym tle w Platformie dojrzewa plan samodzielnego startu w wyborach parlamentarnych. Tak twierdzi również sympatyzujący mocno ze Schetyną tygodnik „Polityka", według którego projekt zjednoczonej opozycji umiera na naszych oczach. „SLD już rozpoczęło rozmowy nad stworzeniem bloku lewicowego, a PSL zostało na spalonym". W sumie „rozkład Koalicji Europejskiej postąpił tak daleko, że opozycyjne partie zdecydowały się stanąć do wyścigu o to, kto pierwszy ruszy z kampanią". Kto wie, czy w tym pośpiechu nie ruszą na siebie?



Paradoksalnie, atmosferze spodziewanej klęski towarzyszą zapowiedzi zemsty i rewanżu. „Jeśli opozycja wygra jesienią wybory, ma to być też koniec obecnych mediów publicznych" – twierdzi niezawodna Agnieszka Kublik z „Gazety Wyborczej" i cytuje posła PO: „Nie da się już ich zreformować, tak zostały zdeformowane. W grę wchodzi tylko opcja »zero«". Co konkretnie miałaby ona znaczyć, nie do końca wiadomo, ale nie ma wątpliwości, że w zwijaniu państwa Platforma była i jest mistrzem kraju.



Zwinięcie mediów publicznych może się okazać koniecznością, bo TVN nie wiedzie się najlepiej. To wciąż potęga, ale okres wiosenny (od 25 lutego do 9 czerwca) stacja z Wiertniczej zakończyła na trzeciej pozycji w grupie komercyjnej, za Polsatem i TVP1. „Ta wiosna była trudna" – skomentował Edward Miszczak, dyrektor programowy stacji. TVN przegrywa, bo po pierwsze, TVP ma wreszcie pieniądze i może walczyć, a po drugie, widownia wielkomiejska szybko przechodzi do nadawców oferujących filmy i seriale na żądanie, typu Netflix. I lepiej nie będzie.



Tabloid „Fakt" z kolei konsekwentnie realizuje swoją misję. Teraz wyśmiewa ambitne plany rozwoju Polski. „Rząd w kosmosie, a my w PRL-u" – zagrzmiał ostatnio, przypuszczając zupełnie obłędny atak na ekipę Morawieckiego. Za co? Ano za to, że podczas II Forum Wizja Rozwoju w Gdyni snuto wizje dotyczące kosmosu i sztucznej inteligencji. Tymczasem – dowodzi redakcja – w wielu miejscach w Polsce drogi są słabe, sieć kolejowa za rzadka, a dworce zostawiają dużo do życzenia. To prawda, ale czy oznacza to, że prawo do rozwoju – a nie ma rozwoju bez ambicji i bez wizji – ma tylko państwo niemieckie?

Państwo niemieckie o rozwoju, także kosmicznym, myśli codziennie. Właśnie w tych dniach w Dreźnie ruszyło z hukiem forum innowacji i rozwoju (European Forum for Science, Research and Innovation in Dresden), gdzie kreślono naprawdę zamaszyste wizje. Zaproszono także premiera Morawieckiego. Doszło do zabawnej scenki, bo ceremonię otwarcia uświetniła nie tylko orkiestra, nie tylko dziewczęcy zespół taneczny, ale także niezgrabnie podrygujący, brodaty „imigrant", ubrany w krótką sukienkę. „Potraktuję to jako chęć pokazania, że Europa jest zróżnicowana. My też to wiemy" – zażartował premier. Zniesmaczeni byli także sami gospodarze, no ale oni już nie mogą mówić, co myślą.

Z kolei prof. Monika Płatek obwieściła światu, że „to wyborcy PiS zapełniają polskie więzienia", choć przecież – i nie jest to wiedza szczególnie niszowa – od wielu lat partia Kaczyńskiego zdobywa tam po kilka procent, a dominuje Platforma. Gdy zwrócono jej uwagę, że się myli, brnęła dalej, sugerując, że „być może tam zmieniają kierunek". Gdyby tak było, oznaczałoby to, że służba więzienna skutecznie ryje pod PiS, a przecież i prof. Płatek, i całe jej środowisko, dzień i noc głoszą, że PiS zbudował już doskonały totalitaryzm. Coś tu się nie zgadza. Tak konkretnie – tytuł naukowy pani Moniki.

Marek Jakubiak odszedł z Konfederacji i razem z Liroyem buduje własny projekt polityczny. Dlaczego? „Młodzież stojąca za Korwinem i młodzież z Ruchu Narodowego buduje własny plan polityczny, z pominięciem Federacji dla Rzeczypospolitej, z pominięciem Piotra Liroya-Marca, z pominięciem nawet Janusza Korwin-Mikkego" – mówi były poseł Kukiz'15 i dodaje: „W Konfederacji nie traktowano nas z szacunkiem". I tak oto przez lata oskarżany o rzekomą kłótliwość Kaczyński doprowadził do tego, że i na lewo, i na prawo od PiS mamy Konwent św. Katarzyny, a w samym PiS uroczą nudę. I tak to może potrwać całkiem długo.

Fot. Fratria, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk x2

eprasa.pl 93ce4e52b2

Stacja kosmiczna „Otua”



KRZYSZTOF FEUSETTE

Halo, halo, jak mnie słychować? Nie chcem, ale muszem powtórzyć: przylecom na dziewięćdziesiąt dziesięć procent. Nie wiem, czy latajoncym spodkiem, czy filiżankom, ale wylondujom i wprowadzom swój porządek. W Kosmosie jest trzy cywilizacje: mniejsza, średnia i największa, my jesteśmy na najniższem poziomie, to znaczy nie my z Danuśką albo jako totalna opozycja, tylko my ludzie. Łi de pipoł, jak żem kiedyś powiedział w kongresowej w Nowem Jorku. Ale ludzie som na wyniszczeniu. Jak tamci się zjawiom, to zostawiom tutaj nowego Adama i nową Ewę, i to się wszystko potoczy od nowa. Już kilka razy tak się toczyło, że ludzkość dochodziła do klapogeum, a potem szlus, przylatywali zielone czy czerwone... A, nie, przepraszam, czerwonych to ja pokonałem, że przypomnę, z kogo siem teraz podśmiechujecie. Zobaczymy jeszcze, szanowne państwo, kto siem będzie śmiał, jak ja wydam nowe „O obrotach ciał niemnieckich”. Tak, niemnieckich, bo tylko oni som w stanie zaprowadzić porządek, zanim tamte przyfrunom. Ja jużem powiedział – ja mam swoje UFO. Ale to nie jest to, które wylonduje, tylko jeszcze inny poziom. Pytanie jest takie – czy jak już przylecom z tym nowym wężem, drzewem oraz parą istot, nie wiem, czy to bendom ludzie, czy jakieś dziwadła albo bakterie, w każdem razie najważniejsze jest to, czy one mnie posłuchają.

Ja im oczywiście opowiem o mojech dokonaniach, jak żem mura berlińskiego przewracał, jak na internowaniu żeśmy komunę po wódce obalały, jak mnie prześladowały Kaczyńskie najpierw, a na koniec to nawet Mnietek opuścił. Jak mnie Zyzaky wyciągali sikanie do chrześcielnicy, a Cenckiewycze i Gontarczyki teczkie esbeckom sfałszowali. A potem Kyszczakowej w szafę podrzucili, żeby mnie ludzie od „Bolka” wyzywali. Jak żonę Danutę podpuścily, żeby mnie obsmarowała w książce, pożal się Boże, autobiodraficznej. Jeszcze żeby kucharską napisała, to bym wiedział, że we właściwe ręce wygrane z kolektury wsadzałem. Ale o sobie? No, ludzie złoci, to ja bym musiał sto książek napisać i jeszcze by było mało.

Spokojnie, przyjdzie jeszcze czas, że gryzipiórki i hystorycy bendom mówily o cudzie nad Wisłą, ale już nie o Piłsudskim, tylko o skromnym geniuszu z wolnego mniasta Gdańska, któren samoczynnie pokonał komunistów tak skutecznie, że teraz już im tylko reprezentowanie nas w Bruksely zostaje. Myślely, że mnie złamały, że coś tam podpisałem, jakieś 29 donosów złożyłem (tak mnie w tym durnym Ipeenie wyliczyły), 20 kilka osób miało kartoteki bogatsze, no, ale, ludzie złoci, przecież to był podstemp. Dlatego tak mnie potem Kwaśniewski zaskoczył, że mnię pokonał. No, ale dziś już jesteśmy przyjaciele. Muszem mu o tym UFO opowiedzieć, bo może one by mnieli coś na ten jego wirus?

A niech przylecom, ja się chował po schronach nie bendem. Bendzie uwiecznione, kto mówił, że Wałensa odleciał, a kto stawiał go jako autorytet, jak pan Tusk na przykład. Jak ja lubiem tego chłopaka, on siem zawsze umniał zachować, jak przystało na kontakty z Noblystom. Mówilo się mu: chłopcze malynowy, ty będziesz głosy liczył albo herbatę robił, a on już siem rwał: „Panowie, policzmy głosy!” – wołał. Od razu widać, że to jest chłopak ze stacji Gdańsk/Danzig Cuzamen. Troszkie mnie drażni ta Dulkiewyczowa, i to nawet nie tym, że taką słodką krówkę udaje – tutaj o zgodzie, a tam o smrodzie, no, lubi dziewczyna kota odwracać. Mnie siem nie podobają te wielkomiejskie parady z wagynami na czołach. Te ludzie za skórzane psy poprzebierane, homogeje tęczowe z tyłkiem gołym, jak prawda o Adamowyczowej i jej lokalach, no czy one mnie muszą w porze obiadowej genitaliami nad zupą z telewizora machać? I tu jest mądrość moja jako legendy, bo teraz będzie najważniejsze: my nie możemy patrzeć teraz jeden na drugiego, że ten rudy, a tamten sobie nowe zęby wstawył. My musimy iść w kupie. Niech się Kośliniak przestanie mazać, tylko bierze Biedronę pod pachę i maszeruje na wieś o glosy błagać oraz błogosławieństwo na nowej drodze życia. Przynajmniej skończy siem temat, czy ludowcy z PiS-em pójdą,. Bo ich w miesiąc kompletnie nie będzie.

Na koniec sprawy rodzinne. Wiele siem teraz mówi, że jakby Donald na prezydenta nie startował, to trzeba szukać następcę. Mnie siem Trzaskowski nie podoba, bo z tym elgiebatami bez przerwy trzyma. No, więc pozostaje mój syn o strasznem imnieniu Jarosław, ale z talentem politycznem wyjątkowego kalibru, w końcu bronzowy medalysta wyborów prezydenckich w Gdańsku. I powiem teraz tak, żeby siem nie owyjać w bawełnę: im szybciej syna mego, niech imnię jego zmienione po kampanii zostanie, na Tuskowego nastempcę wybierzecie, tym szybciej tamci przylecom z nowymi wytycznymi. Nie mogem powiedzieć, skąd wiem. Powiedzmy, że się czasami do domu na noc nie wracało, a jak siem człowiek ocknął, to tylko światła w oczy, dziwne dźwięki, i pytania o kolegów. „Słuchajcie, Bolku, wy wiecie i my wiemy, że nawet gdybyśmy kiedyś stąd wyleciely, to i tak wrócimy” – do dziś mnie to w uszach dzwoni... Aha, bo bym zapomniał: państwo tego wykłada notujom, czy nagrywajom? Bo to jest wszystko różnie płatne. A ja siem właśnie wybieram na zakupy, konkretnie to po buty letnie, jak żem napisał w Internecie. SB-dryle z małym szpiclem.

52/0519/F

eprasa.pl 93ce4e52b2

PLAŻA OPEN

MISTRZOSTWA POLSKI
PLAŻA OPEN 2019

ORLEN



ORGANIZATOR

BDB EVENT

ZAMOŚĆ 28-30.06 | **MYSŁOWICE** 5-7.07 | **ŁÓDŹ** 12-14.07 | **RYBNIK** 19-21.07 | **BIAŁYSTOK** 26-28.07

HONOROWY PATRONAT

Ministerstwo Sportu i Turystyki

PARTNER

POLSKA SIATKÓWKA

MIASTA PARTNERSKIE

ZAMOŚĆ Twierdza otwarta

MYSŁOWICE

ŁÓDŹ KREUJE

Rybnik

wschodzący Białystok

GŁÓWNI PARTNERZY

martes SPORT

AquaWave

OFICJALNI PARTNERZY

Jurajska

MITKO for events

PARTNER DIETETYCZNY

dietering.com

PATRONI MEDIALNI

TVP SPORT

PRZEGLĄD SPORTOWY

onet

eprasa.pl 93ce4e52b2


ČERNOŠICE
KAN DEMISI



Czesi mają dość

23 czerwca w Pradze odbyła się największa demonstracja w Czechach od czasu aksamitnej rewolucji. Zgromadziła ok. 250 tys. osób wzywających do dymisji premiera Andreja Babiša. Szef rządu jest podejrzany o oszustwo przy pozyskiwaniu funduszy unijnych. Zarzuca mu się także konflikt interesów, ponieważ stoi na czele rady ministrów, a zarazem kontroluje rolno-spożywczo-medialny koncern Agrofert.

Praski protest ujawnił kryzys tradycyjnego systemu parlamentarnego w Czechach oraz oligarchizację tamtejszego życia publicznego. Przypomnijmy, że ostatnie wybory w 2017 r. przyniosły triumf dwóm partiom założonym i kierowanym przez oligarchów: ANO 2011 Andreja Babiša zdobyła niemal 30 proc. głosów, a Wolność i Demokracja Bezpośrednia Tomia Okamury – prawie 11 proc. Obie formacje bardziej przypominają partie ukraińskie lub mołdawskie niż polskie albo węgierskie, ponieważ skupione są nie tyle wokół idei politycznej, ile wokół osoby wpływowego i bogatego przedsiębiorcy. Na dodatek na trzecią siłę w parlamencie wyrosła nieprzewidywalna Czeska Partia Piratów (niemal 11 proc.), a swoich posłów posiada nadal – co nie ma analogii w Polsce ani na Węgrzech, za to ma np. w Mołdawii lub Rosji – Komunistyczna Partia Czech i Moraw (ponad 7 proc.).

Na tym tle niezwykle rachitycznie prezentują się ugrupowania, które po transformacji ustrojowej uchodziły za główne filary porządku politycznego Republiki Czeskiej: Obywatelska Partia Demokratyczna (ODS) i Czeska Partia Socjaldemokratyczna. Do wyborów w 2017 r. wszyscy premierzy Czech wywodzili się jedynie z tych dwóch formacji (nie licząc tymczasowych rządów technicznych, kierowanych przez bezpartyjnych fachowców). Dziś oba ugrupowania są cieniami samych siebie sprzed lat. Pierwsze zdobyło ponad 11 proc. głosów, drugie – niecałe 7 proc.

Premierem został oligarcha Andrej Babiš, który zaczynał swą karierę w czasach komunistycznych jako pracownik centrali handlu zagranicznego, obecnie zaś kontroluje największy w kraju holding rolny, żywnościowy i handlowy oraz najpotężniejszą grupę medialną. Dziś Czesi dają wyraz swemu niezadowoleniu z powodu jego rządów.

Być może Polska i Węgry nie są tak często chwalone przez elity zachodnie jak Czechy i Słowacja, ale oligarchizacja polityki jest u nas znacznie mniejsza, transparentność zaś życia publicznego – większa.

Grzegorz Górny

Fot. Shutterstock

Gruzja

Koniec letargu

Ostatnio w rosyjskim internecie pojawiło się zdjęcie przedstawiające stojące na półce sklepowej butelki słynnej gruzińskiej wody mineralnej Borjomi, przy których ktoś położył kartkę z napisem „idealna do mycia nóg". I choć zdjęcie jest prawdopodobnie ustawką wrzuconą do sieci przez kremlowskich trolli, dość dobrze oddaje ono skalę emocji w relacjach Moskwy z Tbilisi. Emocji, które po gruzińskiej stronie objawiły się paleniem portretów Putina i skandowanym hasłem „Putin ch...".

Niedawne burzliwe demonstracje w Gruzji wybuchły po występie komunistycznego deputowanego do rosyjskiej Dumy Siergieja Gawriłowa na forum gruzińskiego parlamentu. Gawriłow przybył do Tbilisi na obrady Zgromadzenia Parlamentarnego Państw Prawosławnych, którego jest przewodniczącym. Gruzini poczuli się głęboko urażeni tym, że Rosjanin został usadzony w fotelu szefa parlamentu. Rozsierdzony tłum próbował wedrzeć się do budynku, a rosyjska delegacja salwowała się ucieczką z Gruzji. W rezultacie rozruchów ponad 300 osób zostało zatrzymanych przez policję, a ok. 200 odniosło obrażenia.

Choć od konfliktu w Osetii Południowej w 2008 r. Rosja i Gruzja nie utrzymują stosunków dyplomatycznych, rządząca w Tbilisi partia Gruzińskie Marzenie prowadziła politykę pragmatycznego zbliżenia z Rosją. Rozwijano wymianę handlową i turystyczną – w 2018 r. Gruzję odwiedziło 1,7 mln rosyjskich turystów. Michael Carpenter, doradca byłego wiceprezydenta USA Joe Bidena, który odwiedził Gruzję tuż przed wybuchem zamieszek, ocenił, że rząd gruziński nie zdaje sobie sprawy z konsekwencji polityki „otwartych drzwi" wobec Rosji. Jego zdaniem Gruzja jest intensywnie „wykupywana" przez rosyjski biznes i infiltrowana przez agenturę FSB. Pewnego dnia – jak stwierdził – gdy już Gruzini ockną się z letargu, to nagle zauważą, że już nie jedna piąta, ale całe terytorium ich państwa zostało przejęte przez Rosję.



Fot. DenisMArt/Shutterstock.com

Wydaje się jednak, że amerykański analityk – podobnie zresztą jak władze na Kremlu – nie docenił skali antyrosyjskich emocji ukrytych w gruzińskim społeczeństwie. Aby uspokoić nastroje, rząd Gruzji potępił incydent z udziałem Gawriłowa, co w Moskwie uznano za poniżający policzek. W odpowiedzi Władimir Putin wydał dekret zakazujący rosyjskim przewoźnikom lotów do Gruzji i zarekomendował biurom podróży rezygnację z organizacji wyjazdów turystycznych do Gruzji. Ograniczono również wymianę handlową z Tbilisi.

W ten sposób skończyła się w Gruzji polityka otwartych drzwi. Nie jest przy tym jasne, czy w dalszej perspektywie bardziej straci na tym przeżywająca trudności gospodarcze Gruzja, czy też Rosja, która po raz kolejny nie zdołała podporządkować sobie południowego sąsiada.

Konrad Kołodziejski

Czarnogóra

Religijny rozwód z Serbią?

W 2006 r. ponad 600-tysięczna Czarnogóra odłączyła się od 7-milionowej Serbii i ogłosiła niepodległość. W listopadzie 2018 r. czarnogórski parlament uznał za bezprawną decyzję deputowanych do Skupsztiny z listopada 1918 r. o pozbawieniu władzy panującej dynastii Niegoszów oraz o zgodzie na połączenie z Serbią. W rezultacie tamtego aktu 1 grudnia 1918 r. naród utracił swą państwowość, wchodząc w skład Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców (od 1929 r. Królestwa Jugosławii). W czerwcu 1920 r. dekretem serbskiego regenta Aleksandra I Karadjordjewicia zlikwidowana została również niezależność (autokefalia) czarnogórskiego Kościoła prawosławnego, który wcielono do patriarchatu serbskiego.



Sto lat później Czarnogórcy próbują przekreślić decyzje, które zapadły po I wojnie światowej. Po odzyskaniu niepodległości chcą także odzyskać utraconą autokefalię. Ruch na rzecz odłączenia się od Kościoła serbskiego zaczął się już po rozpadzie Jugosławii, jednak nowej dynamiki nabrał po ogłoszeniu wolności w 2006 r. Trzy tygodnie temu na zjeździe rządzącej Demokratycznej Partii Socjalistów prezydent Milo Djukanović zapowiedział, że należy wskrzesić autokefalię, ponieważ w niepodległej Czarnogórze nie może istnieć „wielkoserbska infrastruktura".

Przywódca państwa zarzucił serbskiemu Kościołowi prawosławnemu, iż nie uznaje tożsamości narodowej Czarnogórców, a ich państwo traktuje jak twór tymczasowy. W tle kryje się oczywiście konflikt polityczny, ponieważ Czarnogóra po rozwodzie z Belgradem obrała kurs na Zachód, wstępując w 2007 r. do NATO. Największym przeciwnikiem tego kroku był Kościół serbski, przestrzegający przed „bratobójczą wojną".

Relacje między Czarnogórą a Serbią przywodzą dziś na myśl stosunki między Ukrainą a Rosją. Prezydent Djukanović w swej determinacji przypomina Petra Poroszenkę. Kwestie religijne rządzą się jednak innymi prawami niż polityczne i odłączenie się od patriarchatu serbskiego może się okazać znacznie trudniejsze niż zerwanie z państwem serbskim.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 93ce4e52b2



Fot. Mak Meid/Shutterstock.com

Niemcy

Seks, Kościół i klimat

Ewangelickie Dni Kościoła w Niemczech odbywają się od 1949 r. Co dwa lata – za każdym razem w innym miejscu – tysiące protestantów uczestniczą przez pięć dni w nabożeństwach, warsztatach i debatach. Ostatnie, z okazji 500-rocznicy Reformacji, były tak kolorowe, ekumeniczne, tolerancyjne i postępowe, że były prezydent USA Barack Obama, honorowy gość imprezy, został wygwizdany, gdy mówił o konieczności zbrojnej walki z Państwem Islamskim. Gromkie brawa zebrały natomiast muzułmański kabaret, sekswarsztaty i pieśni napisane przez kolektyw Lesbijki i Kościół. Bóg został zastąpiony pojęciem „wieczna", bracia siostrami, a modlitwa była wysyłana do „najwyższej". W tym roku – jakże mogło być inaczej – było równie postępowo.

Kościół protestancki w Niemczech został już dawno przejęty przez Zielonych. Katrin Göring-Eckardt, posłanka do Bundestagu z ramienia Zielonych, była w latach 2009–2013 prezesem Synodu Kościoła Ewangelickiego. Kolor zielony zdominował zresztą całą imprezę: zielone były baloniki, chorągiewki, a nawet rozstawione na łąkach w Dortmundzie leżaki. Krytycy, tacy jak medioznawca Norbert Bolz, uważają, że Ewangelickie Dni Kościoła dawno przestały być wydarzeniem religijnym i stały się imprezą, na której szerzona jest lewicowa moralność. „Są one wiernym odzwierciedleniem ducha czasów, ale z chrześcijaństwem nie mają już nic wspólnego" – skomentował na Twitterze.

Na tegorocznych Ewangelickich Dniach Kościoła wierni mogli uczestniczyć w tańcach przeciwko „prawicowemu ekstremizmowi", malowaniu kolorowych wagin (bez mężczyzn) oraz w debacie na temat katastrofy klimatycznej, podczas której młodzież z kolektywu Fridays for Future przekonywała, że „nie należy liczyć na to, że za 30 lat wciąż będziemy żywi", bo zabije nas ocieplenie klimatu. Jak oceniła „Westdeutsche Zeitung", była to „gigantyczna (w końcowym nabożeństwie w niedzielę wzięło udział 32 tys. osób) lewicowo-zielona impreza w celu poprawienia sobie samopoczucia, moralizatorska i pozbawiona aspektu religijnego". A to i tak delikatna krytyka, bo co można sądzić o warsztatach pod hasłem „jak lepiej dojść do orgazmu" lub „jak odczuwać błogosławieństwo Boga w trakcie zmiany płci"?.

Przewodniczący Dni Kościoła Hans Leyendecker odpowiada, że „trochę egzotyki nikomu jeszcze nie zaszkodziło". Jednak biorąc pod uwagę, że co roku setki tysięcy wiernych opuszczają Kościół ewangelicki (w 2017 r. 200 tys.), nietrudno przewidzieć, że za jakiś czas zwyczajnie przestanie on istnieć. Bo to samo, tyle że bez Boga, oferują już Zieloni.

Aleksandra Rybińska

USA

„Rasistowski" przyjaciel Obamy

„Nigdy nie mówił do mnie chłopcze. Zawsze mówił do mnie synu" – powiedział Joe Biden ubiegający się o nominację Partii Demokratycznej w wyborach prezydenckich 2020 r. Biden mówił w ten sposób o senatorze Jamesie O. Eastlandzie z Mississippi, z którym współpracował 40 lat temu. Słowa te sprowadziły na niego prawdziwą burzę.

Biden wspomniał o Eastlandzie podczas spotkania w Nowym Jorku, gdzie zbierał pieniądze na kampanię wyborczą. Jego ciepłe słowa o senatorze oburzyły opiniotwórczą prasę, która prędko przypomniała, że ten demokratyczny polityk z Południa był zwolennikiem segregacji rasowej. Miał nawet twierdzić, że z międzyrasowych małżeństw zaczną rodzić się „kundle". W „The Washington Post" pojawiła się informacja, że określenie „chłopiec" padające z ust segregacjonistów miało zawsze wymiar rasistowski.

„Jestem zawiedzony, że nie skierował natychmiastowych przeprosin za ból, jaki spowodowały jego słowa. Powinien" – napisał na Twitterze demokratyczny burmistrz Nowego Jorku Bill de Blasio. Polityk umieścił obok wpisu swoje rodzinne zdjęcie z czarnoskórą żoną i dziećmi. Za to BBC w komentarzu natychmiast zestawiło „gafę" Bidena z jego poglądami na aborcję (sprzeciwia się jej finansowaniu z publicznych środków, choć nie chce jej delegalizacji) oraz z faktem, że chwalił znienawidzonego na lewicy wiceprezydenta Mike'a Pence'a. Lewicowa prasa podkreśliła też, że Biden jest katolikiem, co po mocnym skręcie Demokratów na lewo nie jest mile widziane.

Oskarżanie Joe Bidena o przychylność wobec rasistów jest o tyle absurdalne, że polityk w styczniu tego roku podczas ceremonii ku czci Martina Luthera Kinga głośno mówił o „systemowym rasizmie w USA", z którym biali powinni walczyć. Poza tym Biden był wiceprezydentem podczas dwóch kadencji czarnoskórego Baracka Obamy.

76-letni Joe Biden jest na razie faworytem sondażowym wśród demokratów ubiegających się o nominacje do przyszłorocznej walki o prezydenturę z Donaldem Trumpem. Polityk zachowuje duże poparcie wśród czarnoskórej społeczności, która pamięta jego współpracę z Obamą. Można się jednak spodziewać, że obecne ataki coraz skrajniej lewicowych polityków Partii Demokratycznej to tylko przedsmak kampanii wyborczej. Biden to przedstawiciel demokratów sprzed rewolucji LGBT i reszty obyczajowej lewicy. Należy go więc wyeliminować z wyścigu do Białego Domu.

Łukasz Adamski

eprasa.pl 93ce4e52b2

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Pułapka samorządności



Jan Pietrzak

Z ulgą się dowiedzieliśmy, że politycy PO znaleźli wreszcie pomysł, co robić, by wygrać wybory. Otóż należy „jeździć w teren i mobilizować". Pokazano migawkę, jak któryś z bonzów ugrupowania na wiejskiej drodze mobilizował kilka osób, mówiąc, że on będzie ciężko pracował. Nad czym i dlaczego ciężko – nie powiedział. Ponieważ zrobiono badania, z których wynikło, że ważną przyczyną porażki w wyborach do PE była wysoka frekwencja, należy się spodziewać, że główne uderzenie pójdzie we frekwencję. Mają na tym polu istotne osiągnięcia. Na osławionych wiecach z Tuskiem w Warszawie i Gdańsku, obliczonych na 50 tys., przyszło dziesięciokrotnie mniej ludzi. Tusk się rozczarował. Kumple udowodnili, że potrafią spieprzyć taką banalną sprawę. Jak śpiewał Wojtek Młynarski: „Co by tu jeszcze spieprzyć, panowie, co by tu jeszcze?". Wiadomo, że frekwencja na wiecach to inne zjawisko niż frekwencja wyborcza, ale ćwiczyć trzeba...

Następny trop to podkręcanie awantury samorządów z rządem. Najjaskrawszym przykładem jest konflikt o Westerplatte, a właściwie o możliwość uporządkowania tego historycznego miejsca. Władze Gdańska, które przez dziesiątki lat pozwalały na degradację symbolu polskiego bohaterstwa, uważają, że państwo polskie nie ma tam nic do gadania. Nie biorą pod uwagę, że brud, smród i ubóstwo wokół postawionego w 1966 r. monumentu uwłaczają pamięci żołnierzy, którzy walczyli tam w obronie Rzeczypospolitej, a nie Wolnego Miasta Gdańska.

Osobliwe przywiązanie gdańskiego magistratu do niemieckiej wersji historii powoduje anomalię w relacjach rządu z samorządem. Obowiązujące prawo nie przewiduje, by poszczególne miasta prowadziły własną politykę zagraniczną i historyczną. To, co wygaduje pani Dulkiewicz, jest kuriozalne. W czerwcu powiedziała o wrześniu: „W Gdańsku 80 lat temu rozpoczęła się II wojna światowa, która przyniosła reżim i zniewolenie. Ale też tu dzięki solidarnej postawie wielu rozpoczęły się przemiany demokratyczne w Polsce". Sama się ta wojna rozpoczęła? Czy Niemców przy tym nie było? Zanosi się na to, drodzy rodacy, że przyjdzie nam stanąć w obronie Westerplatte przed panią Dulkiewicz. Takie są pułapki przesadnej samo-

Wakacje to muzyka

Z Włodkiem Pawlikiem, kompozytorem, pianistą jazzowym, laureatem Grammy, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna



Wydawałoby się, że jazz i twórczość Stanisława Moniuszki to odległe od siebie muzyczne drogi, a jednak pan je połączył?

Włodek Pawlik: Moniuszko to wspaniałe opery i popularne pieśni, które rozpoznaje wielu z nas i które są też głęboko we mnie. Od dzieciństwa. A skoro nie było muzyka, który by je przełożył na instrumentalne jazzowe wersje, podjąłem się tego zadania. Sięgnąłem do utworów najbardziej rozpoznawalnych, takich jak aria Jontka „Szumią jodły na gór szczycie" z opery „Halka", aria Skołuby ze „Strasznego dworu", „Pieśń wieczorna", „Gdyby rannym słonkiem" czy „Prząśniczki".

Trudno było się zgrać ze stylem ojca polskiej opery?

Wiele jego utworów to cudowne tematy, z wyrafinowaną harmonią, co dla jazzowego podejścia jest rzeczą fundamentalną.

28 czerwca rozpoczął pan koncertowo Festiwal Lata z Radiem właśnie repertuarem Moniuszkowskim, a jaki jest plan na resztę wakacji?

Od marca, kiedy ukazał się album „Pawlik/Moniuszko – Polish Jazz", zagrałem blisko 50 koncertów w całej Polsce i czeka mnie, mam nadzieję, wiele atrakcyjnych występów w pięknych miejscach (daty proszę śledzić na fan page'u). Moje wakacje to, jak widać, muzyka. A potem wyruszam do Chicago. 26 października, w tamtejszym Copernicus Center, dla kilku tysięcy ludzi wykonam na dwóch koncertach Moniuszkowski repertuar poszerzony o orkiestrę symfoniczną.

eprasa.pl 93ce4e52b2

BRONISŁAW WILDSTEIN

Wychodek dla Szczeżui



Przykucie się 10-letniego Józwy Szczeżui do bramy koszar w Bolesławcu, w których stacjonują żołnierze amerykańscy, nie wywołało początkowo specjalnego zainteresowania. Nie wyglądało tak imponująco jak próba zawieszenia transparentu: „Uchodźcy willkommen" na budynku przejścia granicznego Grzechotki-Mamonowo, które kosztowało 12-letniego Tymoteusza Wścieklicę (a dokładnie jego siedzenie) kilka razów pasem wymierzonych mu przez kaprala Jana Cebulę, tłumaczącego się potem, że nikt nie poinformował go, iż ma do czynienia z protestem politycznym, a on sądził, że to „zwykły wybryk rozwydrzonego szczeniaka". Dymisja, aresztowanie i postawienie w stan oskarżenia wzmiankowanego podoficera nie uspokoiło opinii publicznej w kraju i zagranicą, a masowe manifestacje wzywające do obalenia stosującego terror, autorytarnego rządu trwają.

Być może jeszcze bardziej spektakularne było wystąpienie 11-letniej Emanueli Mrówki na palmie, na rondzie de Gaulle'a w Warszawie, skąd nawoływała ona do lekcji seksualnych już od początku edukacyjnego procesu oraz pełni praw dla osób LGBT+. Ewakuacja Mrówki transmitowana przez większość głównych telewizji świata uznana została za naruszenie praw człowieka i doprowadziła do kompromitacji proreżimowych dziennikarzy, którzy próbowali odwieść od niej uwagę publiczną, zgłaszając wątpliwości co do sposobu, w jaki aktywistka oraz jej profesjonalny sprzęt nagłaśniający dostali się na palmę.

Akty te przesłoniły nieco prekursorski, klimatyczno-wakacyjny strajk Ingi Zasowskiej, która jednak heroicznie ogłosiła, że będzie kontynuować go co piątek, choć w nieco ograniczonej wersji.

Wystąpienia Wścieklicy i Mrówki miały jednak charakter jednorazowy i chociaż ich organizatorzy cieszą się niesłabnącym zainteresowaniem mediów, udzielają wywiadów, tłumaczą młodym, jak walczyć o wspólne jutro oraz analizują potrzebę wielokulturowego społeczeństwa, tolerancji i otwartości, i chociaż młoda aktywistka LGBT+ otrzymała program w TVN Style, gdzie lansować będzie transpłciową modę, zainteresowanie nimi, siłą rzeczy słabnie. Inaczej niż w wypadku Szczeżui.

Owszem, pierwsze godziny transmisji protestu przykutego młodocianego aktywisty nie spotkały się ze szczególnym zainteresowaniem telewizyjnych ani internetowych odbiorców. Amerykanie nie wykazali należytej powagi wobec jego gestu, śmiali się i częstowali go gumą do żucia. Doprowadziło to do wzruszającej sceny, kiedy Szczeżuja po konsultacjach z towarzyszącymi mu rodzicami, ich przyjaciółmi, doradcami i prawnikami, nieco niewyraźnie ogłosił: „Nie przyjmuję prezentów od okupantów!". Cytowaną powszechnie deklarację proreżimowi dziennikarze usiłowali zdezawuować, wskazując, że aktywista przyjął po cichu nieco owej gumy, co podobno dostrzec można było po kształcie jego policzków oraz ruchu szczęk.

Spór na ten temat przerwał dramatyczny zwrot. Ekipa Szczeżui zażądała postawienia mu przenośnej toalety, gdyż protest ma trwać do skutku, czyli opuszczenia Polski przez ostatniego amerykańskiego żołnierza, a dowództwo koszar odmówiło, stwierdzając, że to nie jego sprawa. I zaczęło się.

Rzecznik Praw Obywatelskich wystąpił z żądaniem wychodka dla Szczeżui, dowodząc, że prawo do zaspokajania odruchów fizjologicznych jest elementarne dla człowieka, a więc i obywatela, a rząd, który bierze odpowiedzialność za armię, jest winny jego łamania. I chociaż wojskowi szybko podstawili Szczeżui toi toia, sprawy nie udało się zatrzymać. Komisja Europejska zwróciła się do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej o pociągnięcie Polski do odpowiedzialności. Na tłumaczenia reprezentantów naszego kraju, że sławojka już jest, TSUE powołało się na precedens rozpatrywania przeciw Polsce sprawy dotyczącej przenoszenia sędziów na emeryturę. Pomimo zmiany prawa władze PiS skazane zostały za przepisy, których nie było. „Proszę nie wyobrażać sobie, że wykręcicie się postawieniem kibla" – oświadczył rzecznik TSUE.

Teraz Szczeżuja domaga się zbudowania szkoły, w uczęszczaniu do której kajdanki nie będą mu przeszkadzały, a także zajęć z WF, do czego, jak wszyscy się zgadzają, ma przecież pełne prawa.

Stał się na tyle sławną postacią, że na rozmowę z nim osoby zaakceptowane muszą czekać trzy miesiące. Wyjątek zrobił dla papieża Franciszka, który ucałował jego przykutą rękę, a także dla sekretarza ONZ. Pawilon zbudowany wokół niego, w którym przygotowywana jest międzynarodowa pokojowa konferencja, zablokował już bramę koszar. Wojsko wykorzystuje zapasowe wejście, co wzbudza kolejne protesty.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 93ce4e52b2

OGNIEM NA WPROST

Uczciwy jak Polak



O pośle znikającej partii Krzysztofie Mieszkowskim wspominałem w poprzednim numerze tygodnika. Nie minął tydzień, a ów znów o sobie daje znać. Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy przegłosowało – nie wiadomo po co – przywrócenie Rosji prawa głosu w tej instytucji. Przeciwne były państwa Europy Środkowej: Estonia, Litwa, Łotwa, Ukraina oraz Polska. I wszystko byłoby „po linii i na bazie", gdyby nie Mieszkowski. Ten akurat głosował za Moskwą. Kiedy już osobiście wsparł Kreml, nagle się zorientował, że coś jest nie tak. Postanowił wydać oświadczenie, w którym stwierdził, że: „Ostatnie moje głosowanie w sprawie ponownego przyjęcia Rosji do Rady Europy jest rezultatem technicznej pomyłki". Żadna to nowość, deputowani PO i Nowoczesnej bowiem często się mylą podczas ważnych procesów decyzyjnych w Parlamencie Europejskim. Nie podejrzewam posła Mieszkowskiego o celowe działanie na korzyść Rosji, ponieważ nawet podczas werbunku przez tamtejsze służby wywiadowcze przestrzegane jest zachowanie minimum powagi, ale weź człowieku wreszcie się ogarnij.

Wynurzenia polityczne feministycznej pisarki Manueli Gretkowskiej coraz bardziej upodabniają się do strzykających jadem nienawiści tekstów z „Ludowego Obserwatora" – propagandowego periodyku z czasów, kiedy w Niemczech wszechwładnie panowała partia NSDAP. Jej sądy publikowane na Facebooku niewiele się różnią od opinii sfrustrowanego i podpitego SA-mana po szóstym piwie bez kiełbasianej zagrychy, kilka dni po Nocy Długich Noży. Oto dowody. O PSL: „Startując samodzielnie, wymyślił program, który da się streścić – Bóg istnieje, więc PSL też. Mogli dorzucić nowoczesny postulat o zaganianiu z pastwisk bydła dronami. A Kaczyński by ich zdyskontował programem: Tucznik powyżej pół tony głosuje, kto mu zabroni? Świni?". O Biedroniu: „Z Biedroniem, derwiszem polskiej polityki, nie da się rozmawiać. Z derwiszami się tylko tańczy. Szkoda, że na Titanicu. To tyle o zjednoczeniu opozycji". O PiS i Kościele: „To jest nasz problem, największy, bo największym sprzymierzeńcem PiS-u jest Kościół. Przez niego, plus lekcje religii, Polacy są konserwatystami w przebraniu socjalistów. Instytucja, która ekskomunikowała łódzkiego księdza za herezję, hołubi pedofilów. Duchowny gwałcący dzieci nie może wierzyć w Boga. Więc Kościół polski prędzej ekskomunikuje Boga niż swoich". O Polsce i Polakach: „Polska stanie się znowu krajem zastępczym. Już jest drugorzędnym z podróbą chemii, kultury, nowoczesności. Polacy tak lubią, po swojemu, staropolsko w słomianych łapciach i gaciach, dupcyć po bożemu i dawać tej dupy każdemu, kto ją posmaruje 500+ albo obietnicą zbawienia". Po takiej serii sentencji SA-man walił pustym kuflem w stół i ryczał, kończąc sakramentalnym: „Sieg Heil!".

Z danych opublikowanych przez czasopismo „Science" wynika, że Polska uplasowała się na wysokim szóstym miejscu pod względem uczciwości. Statystyka ukazuje, ile procent zgubionych portfeli trafiło z powrotem do rąk właścicieli za sprawą uczciwych znalazców. Żeby obraz był pełen, ankieterzy „gubili" portfele pełne i puste. Liderem przeprowadzonego w 40 państwach świata rankingu została Szwajcaria (oddano 79 proc. pełnych portfeli i 74 proc. pustych). Równie wysoki wskaźnik zanotowano w Norwegii (79 do 71 proc.). Potem były Holandia, Dania oraz Szwecja. Sklasyfikowana na szóstym miejscu Polska (69 do 63 proc.) wyprzedziła m.in. Nową Zelandię, Niemcy, a także Czechy. Ale o tym już Manuela Gretkowska nie powiedziała ani słowa. Najgorzej wypadli Chińczycy. Tam puste portfele zwróciło 7 proc. znalazców, z zawartością zaś pieniędzy – 22 proc. W ramach badania przeprowadzonego przez naukowców z kilku szwajcarskich uniwersytetów na potrzeby studium wykorzystano 17 tys. portfeli, z których część była pusta, pozostałe zaś miały we wnętrzu od 13 do 94 dol. Z testu płyną dwa ważne wnioski. Należy uważać w Chinach, a jeśli już gubić portfel, to lepiej z zawartością. Statystycznie szybciej trafia z powrotem niż pusty.

Watykańska reprezentacja kobiet w piłce nożnej miała rozegrać mecz w Wiedniu przeciwko Austriaczkom. Według informacyjnego portalu Stolicy Apostolskiej Vatican News: „W czasie watykańskiego hymnu niektóre austriackie zawodniczki podniosły koszulki, pokazując na brzuchu i na plecach hasła poparcia dla aborcji, LGBT i analogiczne komunikaty stojące w polemice ze stanowiskiem Kościoła". Ponieważ na chamstwu w życiu należy odpowiadać siłą i godnością osobistą, zawodniczki Watykanu zrezygnowały ze spotkania, opuszczając boisko.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 93ce4e52b2

Oczami światowych architektów



Marta Kaczyńska-Zielińska

W 2027 r. w oddalonej 40 km od Warszawy miejscowości Stanisławów powstanie Centralny Port Komunikacyjny (CPK) łączący transport lotniczy, drogowy i kolejowy. Port lotniczy Solidarność będzie jednym z największych lotnisk na świecie z przepustowością ponad 45 mln pasażerów rocznie. Według planów każdego roku ma on obsługiwać 100 mln pasażerów. Do 2035 r. powstanie licząca ponad 1,5 tys. km sieć kolejowa, która połączy CPK z największymi miastami w czasie nieprzekraczającym 2,5 godz.

Z inicjatywy spółki celowej Centralny Port Komunikacyjny, ambasady Wielkiej Brytanii i Irlandii zorganizowano warsztaty, których efektem są pierwsze koncepcje CPK. Autorami upublicznionych wizualizacji są najbardziej liczące się światowe biura architektoniczne: Zaha Hadid Architects, Foster Partners, Grimshaw Architects, Chapman Taylor i Benoy, które zaprezentowały łącznie siedem propozycji na CPK.

Brytyjskie biuro architektoniczne Foster Partners w projektowaniu CPK czerpało ponoć inspirację z Puszczy Kampinoskiej

Biuro Zaha Hadid Architects przedstawiło trzy koncepcje z wykorzystaniem przeszklonej fasady wykonanej z przezroczystych elementów. Wnętrze terminali ma być wypełnione drzewami. Według jednego z pomysłów linie kolejowe mają zostać poprowadzone bezpośrednio pod lotniskiem w taki sposób, by były widoczne dla pasażerów samolotów. Drugi pomysł zakłada rozmieszczenie infrastruktury pasażerskiej nad peronami. Trzecia wersja przewiduje zlokalizowanie stacji kolejowych na różnych poziomach.

Brytyjskie biuro Foster Partners czerpało ponoć inspirację z Puszczy Kampinoskiej i zaprezentowało konstrukcję lotniska składającą się z przeszklonych i wypełnionych drzewami modułów, które w miarę zwiększania popularności polskiego hubu będzie można rozbudowywać. Główny terminal miałby mieć kształt klucza, a kolejno dobudowywane terminale, połączone z nim kolejką wahadłową, miałyby mieć kształt litery „X".

Z kolei pracownia Grimshaw Architects przedstawiła stosunkowo kameralną wersję lotniska przyjaznego pasażerom za sprawą niewielkich odległości, nawiązującego formą do miejskiego rynku i mającego budzić skojarzenia z ideami Solidarności.

Architekci z biura Chapman Taylor przedstawili ciekawą koncepcję inspirowaną motywem przewodnim historii Polski. Budowla ma się składać z sześciu kondygnacji. Każda ma być wypełniona światłem i zielenią, a przede wszystkim budzić skojarzenia z poszczególnymi krajobrazami Polski: górami, wyżynami, nizinami, jeziorami i wybrzeżami. Zwieńczeniem konstrukcji ma być wielka szklana kopuła symbolizująca nieskończoną jedność (!).

Wizja twórców z Benoy to przykryte szkłem airport city z węzłami komunikacyjnymi ukrytymi pod ziemią.

Inicjatywa budowy CPK została podjęta na samym początku rządów PiS jako jeden z naszych infrastrukturalnych priorytetów. Przy okazji samorządowej kampanii wyborczej była przez polityków PO wyśmiewana jako przejaw „pisowskiej gigantomanii". Potrzeba budowy lotniczego hubu była opisywana już w latach 70., ale z wiadomych względów jej nie promowano. Odżyła w 2001 r., kiedy kolejni ministrowie zlecali opracowanie koncepcji budowy centralnego lotniska. Zasadność takiej inwestycji nie była podważana ani przez polityków SLD, ani tych z PO (sic!).

Budowa CPK budzi ogromne zainteresowanie firm, które mogłyby w przyszłości świadczyć usługi dla pasażerów. Polski potencjał intermodalny jest doceniany.

REKLAMA





56/0619/F

eprasa.pl 93ce4e52b2

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Zatrzymać ten postęp!



W Kalifornii przyjęto właśnie nowe wytyczne dotyczące edukacji seksualnej. To chyba najbardziej radykalny program na świecie. Szeroko o sprawie pisał portal pch24.pl. Zgodnie z nowym programem dzieciaki już od przedszkola będą się uczyć o istnieniu nieskończenie wielu płci. Dzieci mają być zachęcane do kwestionowania swojej płci i stereotypów płci. Zostaną zapoznane z masturbacją, seksem analnym, z seksem z wieloma partnerami, „fistingiem", „blood play", z sadomasochizmem i wieloma innymi anormalnymi zachowaniami seksualnymi. Co więcej – rodzice nie będą mieli prawa odmówić udziału swoich pociech w takich zajęciach. „Ronald Wenkart, radca generalny hrabstwa Orange, napisał wprost w notatce: »Rodzice, którzy nie zgadzają się z materiałami instruktażowymi dotyczącymi płci, tożsamości płciowej, wyrażania płci i orientacji seksualnej, nie będą mogli usprawiedliwić nieobecności dzieci na zajęciach«" – czytamy na portalu. Z jakiegoś powodu Kalifornia postanowiła sobie wyhodować społeczeństwo potworów. Niech ktoś wreszcie zatrzyma ten galopujący postęp!

1 lipca

– w tym dniu ruszy program 500+, który obejmie wszystkie dzieci do 18. roku życia. Także od tego dnia można będzie składać wnioski o dofinansowanie drogą elektroniczną. Miesiąc później – tradycyjną.

4,4 mln

– tyle rodzin będzie korzystało z programu 500+ po zmianach.

6,8 mln

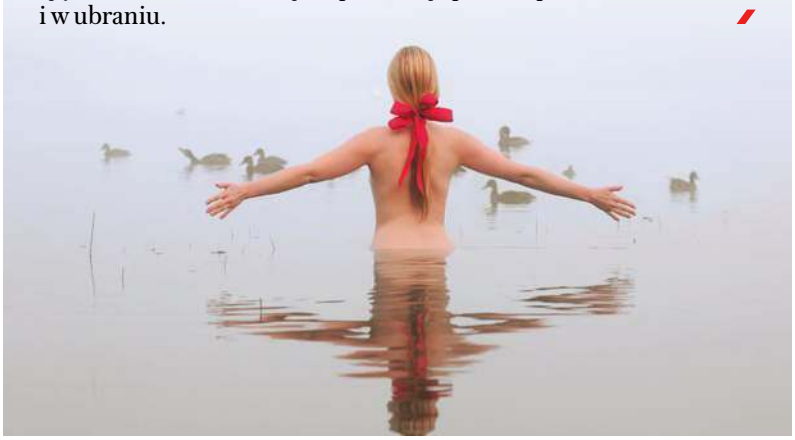
– tyle dzieci w całej Polsce obejmie nowy, poszerzony program 500+.

Made in Japan

Japońska firma Disco Corp wpadła na pomysł, jak poprawić wydajność pracy zatrudnionych w niej ludzi. Jednym z elementów systemu zwiększania wydajności ma być ograniczenie zbędnych spotkań i konferencji. Pracownicy będą obciążani kosztem korzystania z sal konferencyjnych, a to ok. 100 dol. za godzinę. Podobno pracownicy są pomysłem zachwyceni. Jednak to nie wszystko. W firmie tej „pracownicy funkcjonują jako jednoosobowe »start-upy« i biorą udział w codziennych aukcjach zadań czy w pojedynkach na najlepsze pomysły. Wszystko wyceniane jest w wirtualnej walucie zwanej »wola« (w wolnym tłumaczeniu). Na koniec każdego kwartału każdy pracownik ma podsumowywane saldo wirtualnej waluty (i dostaje wypłatę lub dopłaca)" – informuje rp.pl. Podobno system się sprawdza, wydajność pracowników wzrosła, ich wypłaty także. Czterokrotnie wzrosła także wartość przedsiębiorstwa. Takie rzeczy tylko w Japonii.

Ostrożnie z marzeniami

Nastolatki, które chciały zaszaleć i spełnić swoje marzenia, staną teraz przed sądem. Jak za „Gazetą Olsztyńską" informuje portal TVP.Info: „Dwie pijane 17-latki z gminy Orneta (woj. warmińsko-mazurskie) chciały spełnić swoje marzenie i nago wykąpały się o świcie w jeziorze. Interweniowała policja. Nastolatki będą musiały się tłumaczyć przed sądem". Niestety dziewczyny swoje marzenia spełniały na tyle głośno, że przeszkadzały innym spać, więc wezwano policję. Jednak marzenia najbezpieczniej spełniać po cichu, na trzeźwo i w ubraniu.



eprasa.pl 93ce4e52b2

Uwaga na radykałów

Francuski parlament ogłosił raport ostrzegający przed islamskimi radykałami m.in. wśród pracowników transportu publicznego, więziennictwa, oświaty czy klubów sportowych. O sprawie informuje dziennik.pl: „Autorzy raportu, deputowani Eric Diard z centroprawicowej partii Republikanie i Eric Poulliat z prezydenckiego ugrupowania La Republique en Marche, zalecają częstsze i bardziej systematyczne kontrole administracyjne zarówno przy zatrudnianiu, jak i wobec już zatrudnionych pracowników". Podkreślają także, że nikt nie zajmuje się sprawą zradykalizowanych kobiet. Czyli asymilacja działa, tylko w drugą stronę. A ostrzeżeń płynących z Polski nikt nie chciał słuchać.

Były lider KOD Mateusz Kijowski zapowiedział, że nie chce na listach wyborczych osób skompromitowanych: „które mogą zaszkodzić i spowodować, że wynik wyborczy będzie znacznie gorszy, niż mógłby być. Walczymy, żeby PiS nie było w rządzie, żeby władzę przejęli politycy, dla których ważne są wartości". I tak Kijowski sam się z tych list wyeliminował. Po prostu mistrz.

Poszukiwany, poszukiwana

„Po Czechach krąży dzika puma. Zwierzę, które zaobserwowano w połowie czerwca w południowych Czechach, przemieszcza się" – napisał we wtorek portal Idnes. Drapieżnika widziano w sobotę w miejscowości Želiv w kraju Wysoczyna, w niedzielę miała już być dalej na południowy wschód w rezerwacie Ždarskie Wierchy. Tam trzy niezależne od siebie informacje o zwierzęciu pochodziły z nieodległych od siebie miejscowości. „Pumę »znikającą we mgle« widziała kobieta" – informuje portal wPolityce.pl. W Polsce za to co jakiś czasy widziany bywa człowiek o wilczych oczach, który okresowo zamieszkuje Brukselę, lecz szuka sobie nowego miejsca stałego pobytu. Wszyscy muszą się więc mieć na baczności.



Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x2)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

W burkini do solarium



Dominik Zdort

Coraz rzadziej się zdarza, że uczestnicy życia publicznego (czyli politycy i dziennikarze) o – nazwijmy to – „odmiennych politycznych wrażliwościach" są w stanie zgodzić się nawet w mało ważnych sprawach. Doszło do tego, że nawet kwestie ewidentnie oczywiste, dotyczące polskiej racji stanu, są negowane przez przeciwnika. Jak choćby ostatnio przy zakupie samolotów F-35, gdy podpisane przez prezydentów Polski i USA porozumienie niemal natychmiast zostało podważone przez tych samych ludzi, którzy parę lat temu aż przebierali nogami, aby wkupić się w łaski Waszyngtonu i zdobyć taki kontrakt.

Tym bardziej warta odnotowania jest sytuacja, gdy dwaj żurnaliści z przeciwnych obozów zgadzają się w sprawie budzącej silne emocje (może na razie bardziej na Zachodzie niż u nas). Najpierw powiedzmy, o co chodzi. Otóż we Francji w wielu kompleksach basenowych wprowadzono zakaz noszenia burkini – czyli strojów kąpielowych zakrywających całe ciało oprócz twarzy. Kilka dni temu grupa kobiet (muzułmanek, ale nie tylko) ubrana w takie właśnie stroje wkroczyła na jeden z miejskich basenów w Grenoble – obowiązuje na nim zakaz burkini – i przez godzinę fotografowana i filmowana przez reporterów demonstracyjnie oddawała się radościom z wodnych atrakcji.

Wróćmy teraz na moment do poprzedniego wątku: występujący w pewnej komercyjnej stacji telewizyjnej Piotr Semka i Adam Szostkiewicz (których naprawdę dzieli bardzo wiele) stwierdzili niemal jednym głosem, że zakaz noszenia burkini to absurd. Szostkiewicz odwoływał się raczej do ideologii praw człowieka, Semka do zdrowego rozsądku, ale obaj zwracali uwagę, że akurat burkini to przykład pozytywnej inkulturacji islamu w Europie.

W programie było więc słodko, a teraz będzie jeszcze bardziej, bo trudno mi się z powyższą opinią nie zgodzić. Strój wymyślony został w Australii, aby muzułmanki mogły korzystać z takich dostępnych dla kobiet Zachodu luksusów jak plaża i basen i nie został przyjęty z entuzjazmem przez fundamentalistów islamskich.

Ja gotów byłbym zaprosić panie w burkini nie tylko na basen i plażę, ale także do sauny, a nawet i do solarium. A także 11 listopada na Marsz Niepodległości. I chciałbym się przyglądać, jak rzucają płatki kwiatów przed procesją w święto Bożego Ciała. Skoro nie możemy deportować, to zróbmy z nich prawdziwych Europejczyków. Bo wśród rodowitych mieszkańców kontynentu takich jest coraz mniej.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 93ce4e52b2

RZECZY POSPOLITE

Dzieci lewicy



Tomasz Łysiak

Jednym z najgorszych zjawisk związanych ze spsieniem kultury jest wykorzystywanie dzieci do przeróżnych politycznych manifestów. Nie dość, że rodzice mącą dziatwie w głowach na co dzień, snując ideologiczne wariactwa, to jeszcze wysuwają je na pierwszy ogień propagandowej walki. Pamiętam, jak zgrozą przejął mnie widok dzieciaka trzymającego na jakiejś antypisowskiej demonstracji rysunek ze strzelbą wymierzoną w „Kaczora". A potem nadeszły i nadchodzą kolejne takie obrazki – choćby dzieci wracające ze szkoły do domu z torbami w kolorach gejowskiej niby-tęczy. Jaki jest ten dom? – zadaję sobie pytanie. Dlaczego dziecko jest wprzęgnięte w machinę homopropagandy? Przecież to nie jest tylko kwestia torby, bo na ociekające seksem parady LGBT także przyprowadzane są dzieci, które deprawuje się pod pozorami nauki tolerancji. I dodać trzeba, że w Polsce jeszcze nie dzieją się w trakcie tych parad tak ostre obyczajowo rzeczy jak w Europie Zachodniej, z Niemcami na czele: tam przyprowadzane przez nienormalnych rodziców dzieciaki biorą udział w ulicznych pochodach o pornograficznym wymiarze.

Ostatnio na topie jest klimat. Nastoletnia Greta znalazła się na pierwszych stronach światowych tygodników i mówi się o Nagrodzie Nobla dla niej. Naśladuje ją młodzież na całym świecie, organizując szkolne strajki klimatyczne. U nas także zaistniała dziewczynka naśladująca Gretę i strajkująca w piątki pod Sejmem. Najgorsze jest w tym wszystkim to, iż intencje tych dzieci są często szlachetne, ale wykorzystane dla politycznych celów. Chęć ratowania planety, dbania o naturę i środowisko jest przecież piękna i dobra. Tak jak dobre jest kochanie stworzonego przez Boga świata oraz dbałość o Ziemię. To wpisuje się w tradycyjne, konserwatywne podejście do rzeczywistości, w której żyjemy. Ale ta dziecięca chęć dbania o planetę cynicznie wykorzystywana do politycznej propagandowej walki budzi mój sprzeciw. Najperfidniej bowiem działa zło, gdy stroi się w szaty miłości i piękna, a przede wszystkim, gdy do własnych celów używa tych, którzy są niewinni, wrażliwi i szukający tego, co dobre.

Świnia w rydwanie



Piotr Cywiński

Tyle hiciorów mamy u progu kanikuły, że nie wiem, od którego zacząć. Katarzyna Lubnauer wystąpiła w obronie małp! Że przez banany giną orangutany! Znaczy, kto je je, te banany, ten przyczynia się do wyrębu lasów pod plantacje, a w tych lasach żyją te człekokształtne, więc giną. Pominę, że orangutany mają z bananami tyle wspólnego, ile pani Kasia z wiedzą w tym przedmiocie, ważniejsze bowiem jest to, że szefowa .N na lince PO nieopatrznie dowaliła okołoplatformianym mordercom małp, którzy ostentacyjnie jedli te banany w obronie dzieła pewnej artystki, kobiety z bananem w ustach... – tylko bez skojarzeń, proszę, to była sztuka!

À propos: Gdańsk kupił rydwan dla nieistniejącego muzeum sztuki, że wielokulturowy, bo jest na nim napisane krzaczkami: „Allahu akbar". Złośliwi malkontencą, że za te 150 tys. zł lepiej było kupić chociaż kostki zapachowe, że im śmierdzi na Westerplatte i wstyd. Jaki wstyd...?! Słowo Polaka wojnę wywołało, to i śmierdzi! Tylko półgłówki nie pojmują ekumenicznego przesłania z zakupem pojazdu zaprzęgowego w cenie. Pozostaje jedynie uściślić, czy w przyszłości ów eksponat eksponować z zaprzęgiem gołębim, jak u Afrodyty/Dulkiewicz, skrzydlatych smoków – jak u Demeter/Dulkiewicz, czy – jak u Hery/Dulkiewicz, w pawie.

A skoro o pojazdach, sąd uniewinnił dziennikarza Piotra Najsztuba, który najechał staruszkę na pasach. Prześladowany był. Znaczy, ten Najsztub. Podległe dziś PiS wredne gliny już w 2009 r. zabrały mu prawo jazdy, więc – co logiczne – nie robił badania technicznego auta i nie wykupował ubezpieczenia. Członek nadzwyczajnej kasty dostrzegł przy tym, że nie da się ustalić, z jaką prędkością staruszka wtargnęła Najsztubowi w wyższej konieczności na pasy, gdyż w międzyczasie zmarła, więc rzeczony jest wolny jak – za przeproszeniem – dzika świnia. Podobnie zdobywca mandatu europosła z ramienia Koalicji Europejskiej Włodzimierz Cimoszewicz z SLD, dawniej PZPR, który też rozjechał staruszkę na pasach, coś potem chachmęcił, ale to w końcu były premier, mogła mu nie wtargać.

Kasta wie, co robi, i działa nadzwyczajnie z całą surowością w majestacie. Przekonał się o tym niepełnosprawny umysłowo Arkadiusz K., przyłapany w sklepie na chęci zjedzenia batonika za 99 gr. Za ten karygodny czyn trafił do celi, na celowniku wymiaru sprawiedliwości znalazł się również niepełnosprawny umysłowo szef służby więziennej, który zapłacił kaucję za „sprawcę" i uniemożliwił pełne wykonanie wyroku. Jak mawiał Tadeusz Kotarbiński: „Dwa półgłówki nie tworzą całej głowy"...

eprasa.pl 93ce4e52b2

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER/EASTNEWS, PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS, MAREK ŁASYK/REPORTER/EASTNEWS, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 93ce4e52b2



Część gdańskich tramwajów przemalowano na kolor kremowo-niebieski – barwy Danziger Elektrische Strassenbahn A.G., a jeden z nich wypuszcza się w trasę z napisem „Danzig”

Wojna Gdańska z Polską



MAREK PYZA
ANDRZEJ R. POTOCKI
MARCIN WIKŁO

To co polskie w Gdańsku nie jest pielęgnowane. Najlepiej obrazuje to przykład Westerplatte, miejsca chwały naszych żołnierzy. Za to niemieckość widać na każdym kroku, a już kompletnie niewytłumaczalna jest determinacja, z jaką lokalne władze odwołują się do tradycji Wolnego Miasta, z którego polskość była brutalnie rugowana

eprasa.pl 93ce4e52b2

Na świecie są tylko dwa miejsca o takim znaczeniu dla historii. W Stanach Zjednoczonych Pearl Harbor i w Polsce Westerplatte. Od japońskiego bombardowania amerykańskiej bazy na Hawajach rozpoczęła się wojna z udziałem USA, a niemiecki atak na Wojskową Składnicę Tranzytową 1 września 1939 r. rozpoczął II wojnę światową.

Nie dziwi więc, że trwający od kilku tygodni polityczny spór o Westerplatte budzi takie emocje. Zdumiewająca jest za to postawa władz Gdańska, zwłaszcza prezydent Aleksandry Dulkiewicz, która buduje narrację opresyjnego obozu PiS, próbującego dokonać zamachu na kawałek „wolnego Gdańska".

HISTERIA W GDAŃSKU

Historyczne miejsce chce uratować rząd, który przeznaczył 150 mln zł na stworzenie godnej placówki parku muzeum (pierwsze takie plany pojawiły się w poprzedniej dekadzie, gdy partia Jarosława Kaczyńskiego po raz pierwszy była u władzy). Gdański magistrat rękami i nogami broni się przed przejęciem Westerplatte przez państwo (na mocy procedowanej właśnie w Sejmie specustawy). Radna PO Emilia Lodzińska na sesji Rady Miasta porównuje rząd do zaborców. Dr Janusz Marszalec, historyk z Muzeum Gdańska i jego pełnomocnik ds. Westerplatte (towarzyszył prezydent Dulkiewicz w Sejmie na posiedzeniu komisji zajmującej się specustawą), mówi w Oko.press o „brutalnej nacjonalizacji". W tym samym artykule czytamy, że „dziś ostrzał Westerplatte prowadzi PiS", a także napotykamy groteskowe usprawiedliwienie zaniedbań na półwyspie: „W istocie placówka nie jest odrestaurowana – została celowo zachowana jako upamiętniające wojnę ruiny fortyfikacji".

„Nikt tak jak Paweł Adamowicz nie dbał o pamięć o Westerplatte, nikt tak nie myślał o tym, co się wydarzyło 1 września 1939 r. Nikt tak tej pamięci nie pielęgnował. (...) Westerplatte należy do gdańszczan, do Polaków. PiS chce ten kawałek ziemi odebrać, żeby uprawiać tam politykę" – to już emfatyczne słowa posłanki PO Agnieszki Pomaskiej.

Dulkiewicz mówiła zaś w Sejmie: „1 stycznia 1950 r., kiedy szalały ciemne czasy stalinizmu, o których chyba mało kto chce pamiętać, to wtedy zostały znacjonalizowane zbiory muzealne publiczne i wszelkie inne prywatne. Czy dzisiaj chcecie doprowadzić do tego samego? Czy naprawdę te czasy stalinowskie są wzorem dla kilku posłów?".

Naprawdę trudno zrozumieć tę histerię, na dodatek ubraną w skandaliczne słowa. Po pierwsze, rząd bierze na siebie obowiązek dbania o jedno z najważniejszych miejsc dla polskiej historii. Ważne dla całego kraju, nie tylko dla Gdańska. Po drugie, prezentuje samorządowi nową placówkę muzealną, przeznaczając na ten cel pieniądze, których miasto nie dałoby rady uzbierać. Po trzecie, jak gdański magistrat może żądać władzy nad miejscem, które doprowadził do ruiny?

Dulkiewicz chyba już zrozumiała, że tej sprawy nie wygra. Po spotkaniu z wiceministrem kultury Jarosławem Sellinem zapowiedziała, że fragmenty Westerplatte należące do Gdańska zostaną przez miasto przekazane jako wkład w budowę muzeum. Ministerstwo zaprosiło zaś Gdańsk do oddelegowania swojego przedstawiciela do rady Muzeum Westerplatte i Wojny 1939 r. (to oddział gdańskiego Muzeum II Wojny Światowej, podległego resortowi kultury), który będzie uczestniczył w opracowaniu koncepcji zmian na półwyspie.

Jakże inna jest postawa rządu PiS od kierunku polityki historycznej uprawianej przez poprzedników. Mało kto już pamięta, jak w 2007 r. – w trakcie polsko-niemieckiego sporu o wypędzonych – planowano wspólne z Berlinem przedsięwzięcia upamiętniające II wojnę światową. Pojawił się wówczas pomysł, by w zamian za życzliwy dystans do „Widocznego znaku" Eriki Steinbach Niemcy współtworzyli z Polakami Muzeum Wojny i Pokoju w Gdańsku i współfinansowali restaurację obiektów na Westerplatte.

DEKADY BEZ OPIEKI

Symboliczna wymowa Westerplatte sięga ponad fakt rozpoczęcia tu II wojny światowej. Polakom przypomina o konieczności wytrwania na posterunku i wypełnienia patriotycznego obowiązku obrony ojczyzny. Dostrzegł to tutaj 12 czerwca 1987 r. św. Jan Paweł II: „Każdy z Was, młodzi przyjaciele, znajduje też w życiu jakieś swoje Westerplatte. Jakiś wymiar zadań, które musi podjąć i wypełnić. Jakąś słuszną sprawę, o którą nie można nie walczyć. Jakiś obowiązek, powinność, od której nie można się uchylić. Nie można zdezerterować!".

Dzisiaj trudno znaleźć na Westerplatte coś, co wzbudzałoby szacunek i motywowało do naśladowania. Kupujemy bilety, 10 zł od osoby. „Budujemy tożsamość gdańszczan" – głosi napis na plakacie przed wejściem do wartowni nr 1. To zaledwie kilka pomieszczeń, kilka sztuk broni, amunicja, model niemieckiego pancernika „SMS Schleswig-Holstein". Naprawdę cenne eksponaty to kurtka od munduru mjr. Henryka Sucharskiego, jego szabla i przybory toaletowe. W cenie biletu to tyle.

> Odwoływanie się w Gdańsku do tradycji Freie Stadt Danzig jest obraźliwe dla Polaków. Ale myślę, że zwykli ludzie sobie z tego w ogóle nie zdają sprawy – mówi prof. Czauderna

Dalej może już iść każdy, za darmo. Kilka stoisk z pamiątkami, magnesy, łuski z wygrawerowanymi imionami, wojskowe naszywki i naklejki z patriotycznymi hasłami, ale także wielokolorowe gadżety „made in China". Okulary, czapeczki, dziwne maskotki czy piłeczki. Mija nas kolejna grupa młodych Niemców, rozbawieni, z komórki gra muzyka. Czy myślą o martyrologii tego miejsca? To trudne podczas wycieczki w upalny letni dzień, i to w miejscu, w którym tak naprawdę nie ma nic ciekawego. Zalane asfaltem brzydkie deptaki,

Fot. PAP/Adam Warżawa

eprasa.pl 93ce4e52b2

trochę ruin koszar i kolejnych wartowni. Jeszcze niedawno umocnienia nadmorskiej „Placówki Prom" zalane były wodą. Wewnątrz bunkrów walały się puste butelki, cuchnęło nieczystościami, a ściany zdobiły wulgarne napisy. Dopiero po ukazaniu się w tygodniku „Sieci" fotorelacji z tego miejsca pamięci gdański magistrat uprzątnął śmietnisko. Do tego stopnia, że trawa jest pograbiona nawet w gęstwinie drzew. Może dlatego, że jesteśmy tutaj w dniu, gdy prezydent Gdańska prowadzi rozmowy w Ministerstwie Kultury i jest jasne, że to będzie dziś temat dla mediów.

To, czego nie zniszczyli Niemcy, dokończyły powojenne władze PRL, usuwając stamtąd wszelkie znaki bohaterstwa polskiego żołnierza w 1939 r. Reszty dokonał gdański samorząd, który administrował tym terenem po 1989 r. Mijamy kikuty żelbetonowych filarów konstrukcji koszar. To dziwne, że można tam wejść, bo zawalenie się betonowych płyt wydaje się kwestią czasu. Tymczasem w ruinach całe rodziny zastanawiają się, jak dobrze skadrować selfie. I wreszcie potężny obelisk przypominający indiański totem. Zdobią go napisy ufundowane jeszcze przez komunistyczne władze: „Lenino", „Kołobrzeg" czy „Murmańsk". Widoczne na szczycie pomnika popiersia dwóch żołnierzy o butnych twarzach, uzbrojonych w sowieckie pepesze nijak nie kojarzą się z obrońcami półwyspu z 1939 r.

> W Gdańsku do dziś obowiązuje niemal kult Güntera Grassa. Nie przeszkadza w nim nawet służba pisarza w Waffen SS, do czego przyznał się dopiero w 2006 r.

Przez lata Westerplatte marniało zaniedbywane przez gdańskich historyków, muzealników i władze miasta. W 2003 r. rozpoczęto tam budowę terminalu promów. Bez nadzoru archeologicznego rozkopano teren. Po 13 miesiącach wart 23 mln zł terminal zamknięto, zamieniając go w parking dla importowanych samochodów. Wtedy członkowie Stowarzyszenia Rekonstrukcji Historycznej Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte złożyli na ręce Pawła Adamowicza projekt zagospodarowania przestrzennego zabytku. Pozostał bez odzewu. Co prawda dwa lata później magistrat zorganizował konferencję prasową, na której prezydent przepraszał Polaków za stan Westerplatte, ale potem nie zrobiono już nic. Co więcej, kiedy po wyborach w 2015 r. zmieniło się kierownictwo Muzeum II Wojny Światowej (podlega mu Westerplatte), miasto w osobie prezydenta jako właściciela terenów na półwyspie wypowiedziało umowę współpracy, blokując wszelkie inicjatywy. Aleksandra Dulkiewicz w tej kwestii kontynuuje politykę poprzednika i z dyrekcją muzeum jest jej nie po drodze. Pod pretekstem nieprzestrzegania przepisów BHP nakazała wstrzymanie prac archeologicznych.

Jednymi z nowszych elementów są betonowo-szklane tablice informacyjne. Postawił je Urząd Miasta, kosztowały 1,5 mln zł. Jest ich 55, ale tylko pięć mówi o bohaterskiej obronie półwyspu. Reszta poświęcona została niemieckiemu kurortowi i spa, które niegdyś znajdowały się nieopodal Wojskowej Składnicy Tranzytowej.

Kiedy umierał ostatni z weteranów, kawaler Orderu Virtuti Militari, mjr Stanisław Skowron, magistrat nie wysłał na pogrzebowe uroczystości nikogo. Przychodzi na myśl smutna konstatacja, że duma z bohaterstwa polskiego żołnierza chyba kłóci się z polityką historyczną włodarzy miasta świadomie i coraz chętniej nawiązującą do tradycji Freie Stadt Danzig. Przez takie zachowania pytania o niemieckość Gdańska wydają się naprawdę zasadne i paść muszą.

GDAŃSKIE „GENIUS LOCI"

– Zdajemy sobie sprawę – dzięki rozmowom z polskimi turystami, którzy chętnie nad Bałtyk przyjeżdżają – że traktuje się te tereny prawie jak niemiecką kolonię. Że Polska sięga najwyżej do Torunia, a dalej na północ to już tylko Krzyżacy – uśmiecha się Adam Koperkiewicz, historyk, wieloletni dyrektor Muzeum Historycznego Miasta Gdańska. Dodaje jednak, że to zbytnie uproszczenie.

Rozmawiając z gdańszczanami, mamy poczucie, że jakoś tę wszechobecną w mieście niemieckość wypierają. Albo tłumaczą inaczej, że to nieco kabaretowo już przerysowany skręt ku idei europejskiej. Według niej najlepiej by było, gdyby Stary Kontynent składał się nie z narodów, a z plemion. Np. z gdańszczan, mieszkających, owszem, w Polsce, ale przede wszystkim w Gdańsku.

– Rzeczywiście czasem, zwłaszcza poza Gdańskiem, mówi się o fascynacji gdańszczan niemieckością i ich odwracaniu się od polskości. Ale to chyba jednak przesada. Bardziej widziałbym w tym zjawisko, nie do końca opisane, budowania mitu Gdańska, miasta szczególnego w Polsce, nowego „genius loci" – mówi prof. Piotr Czauderna, chirurg dziecięcy, były wiceprzewodniczący Rady Miasta Gdańska. „Genius loci" to według mitologii rzymskiej duch opiekuńczy danego miejsca, sprawiający, że ta przestrzeń jest jedyna w swoim rodzaju. Ten mit obecnie jest budowany na tęsknocie za Wolnym Miastem Gdańskiem, ale tu z kolei mamy do czynienia z poważnym historycznym przekłamaniem.

– To jest taki mechanizm: skoro mamy pozytywne konotacje przymiotnika „wolne" i rzeczownika „wolność", a tak dużo mówi się teraz o wolności w ogóle, to mamy w zasadzie gotową legendę, wokół której można budować dumę z naszej lokalności. Ale w opowieści o Wolnym Mieście Gdańsku zanika to, że mówimy o tworze, którego elity były konsekwentnie antypolskie. Na czym więc budować? – pyta prof. Grzegorz Berendt, zastępca dyrektora Muzeum II Wojny Światowej. Przypomina podstawowe fakty historyczne i represje ze strony Niemców wobec polskiej mniejszości.

W latach 1919–1939 w Wolnym Mieście było niespełna 4 proc. Polaków. Przytłaczająca większość niemiecka rosła

eprasa.pl 93ce4e52b2



Obiekty na Westerplatte, administrowane po 1989 r. przez samorząd gdański, popadły w ruinę

Fot. Andrzej Rafał Potocki

w siłę politycznie i gdy tylko była taka możliwość, ograniczała polskie przywileje. Napaści na rodziny żydowskie i polskie stały się codziennością. Co ciekawe, było to o wiele bardziej dotkliwe przed dojściem do władzy Hitlera, który tuż po zwycięstwie w wyborach w 1933 r. załagodził stosunki z Warszawą. Czar prysł w 1938 r., gdy Rzesza wysunęła wobec Polski żądania terytorialne, także dotyczące Wolnego Miasta Gdańska, które było wówczas zdominowane przez zwolenników NSDAP (w demokratycznych wyborach w 1933 r. partia Hitlera zdobyła w Gdańsku 53 proc. głosów – więcej niż w Republice Weimarskiej), dlatego tak łatwo można było wcielić plan całkowitego zniemczenia tego terenu. Nie można zapomnieć wywózek polskiej inteligencji do obozu koncentracyjnego Stutthof i mordów w Piaśnicy.

– Odwoływanie się zatem do tradycji Freie Stadt Danzig jest obraźliwe dla Polaków. Ale myślę, że zwykli ludzie sobie z tego w ogóle nie zdają sprawy – dodaje prof. Czauderna.

FASCYNUJĄCA NIEMIECKOŚĆ

Trwająca do dziś fascynacja Wolnym Miastem Gdańskiem w metropolii nad Motławą rozpoczęła się wraz z polskim wydaniem książki „Blaszany bębenek" Güntera Grassa w 1983 r. Potem, dzięki wchodzącej wówczas w życie technice wideo, karierę zrobiła jej pełnometrażowa ekranizacja niemieckiego reżysera Volkera Schlöndorffa pod tym samym tytułem. To właśnie ten nagrodzony Oscarem film rozsławił przedwojenny Gdańsk na cały świat.

Efekt był tak piorunujący, że wiele osób nie widziało, albo nie chciało widzieć, jak obraźliwie Grass potraktował w swojej opowieści Polaków. To zwykle podpalacze, kombinatorzy, malwersanci. Nawet przyjmując nieco surrealistyczną konwencję opowieści, trudno się zgodzić z pokazaniem obrońców Poczty Polskiej, niezwykle bohaterskich gdańszczan, podczas walk grających w karty. Mimo to w Gdańsku do dziś obowiązuje niemal kult Grassa. Nie przeszkadza w nim nawet służba pisarza w Waffen SS, do czego przyznał się dopiero w 2006 r.

Choć samo miasto dzięki protestom w stoczni zajmowało już swoje miejsce w nowożytnej historii, to urok prozy Grassa zaczął przenosić lokalne elity w przedwojenne czasy. Historyczną pułapkę tego trendu zauważył już gdański historyk Brunon Zwarra. Nie godził się na przekłamania noblisty i karykaturyzowanie bohaterstwa Polaków. „Być wśród swoich Polakiem nie jest trudne, lecz głosić polskość otwarcie wśród tak przeważającej ilości Niemców, jak była wtedy w Gdańsku, nie było łatwe" – pisał we „Wspomnieniach gdańskiego bówki" (bówka – typowy dla portowego miasta rozrabiaka – przyp. red.).

Efekt był taki, że – niejako za karę, iż miał czelność krytykować noblistę – gdańskie elity Zwarrę zmarginalizowały, a w mieście modne było czytać co innego. Narrację Grassa podchwycił pisarz Paweł Huelle, który w swoich pisanych w hrabalowskim stylu powieściach, takich jak „Castorp" czy „Mercedes Benz. Z listów do Hrabala" z wyraźnym sentymentem nawiązywał do sopocko-gdańskich klimatów zarówno przed 1914 r., jak i z czasów Wolnego Miasta Gdańska. Dołączył do niego Stefan Chwin w książce „Hanemann" – o dobrym Niemcu, którego zmuszono do opuszczenia Gdańska w 1945 r. Nad losami niemieckich arystokratycznych rodów zamieszkujących okolice Trójmiasta (von Krokow, von Buelow), których pokojowe współistnienie z lokalną ludnością kaszubską przerwało piekło II wojny światowej, pochylił się Krzysztof Wójcicki w książce „Mój przyjaciel trup".

Huelle w 2014 r. tak tłumaczył „Newsweekowi" swoje ciągłe powracanie do niemieckości Gdańska: „Ona fascynowała nas, chłopaków, którzy wychowywali się we Wrzeszczu czy w Oliwie. To były znajdowane dokumenty, listy, znaczki pocztowe, niewypały, zardzewiała broń, wizyty na niemieckim cmentarzu. Myśmy po niemieckich śladach chodzili.

eprasa.pl 93ce4e52b2

Musieliśmy dokonać adaptacji kultury niemieckiej dla siebie, co było trudne, ale ta adaptacja się dokonała".

Skąd tak bezkrytyczne i wybiórcze podejście do Wolnego Miasta Gdańska i tęsknota za niemieckim porządkiem w mieście? Historycy z Muzeum II Wojny Światowej podają dwie przyczyny: – Od 1945 do 1989 r. linia polityczna była taka, że historycy mieli się skupiać wyłącznie na uwypuklaniu związków Gdańska z Polską. Dochodziło do sytuacji kuriozalnych, gdy cenzorzy obcinali na wystawach opisy prezentowanych map, bo były one w języku niemieckim. Można było opowiadać tylko część historii – tłumaczy prof. Berendt. – Natomiast po 1989 r. wahadło się przechyliło w drugą stronę. Skoro dotąd było tylko o Polakach, to teraz opowiedzmy o Niemcach. I ruszyło w tę stronę, z wielkim impetem, jakby ktoś chciał nadrobić stracony czas – dodaje.



Po odrestaurowaniu budynku poczty obok Dworca Głównego w miejsce napisu „Urząd Pocztowy Gdańsk 2" (pierwsza otwarta polska poczta po II wojnie) przywrócono niemiecki napis „Postamt"

Fot. Andrzej Rafał Potocki

– Należy też pamiętać, że w 1945 r. w Gdańsku nastąpiła prawie całkowita wymiana ludności. Niemiecka większość albo uciekła pod koniec wojny, albo decyzją aliantów została wysiedlona za Odrę. W ich miejsce przyjechali Polacy, głównie z Polski centralnej i ze Wschodu. Nie znali historii tego miejsca, trauma prześladowań w Wolnym Mieście nie była ich koszmarem. Nie stracili tutaj bliskich i przyjaciół. Łatwiej im było ulec tej legendzie – dodaje Adam Koperkiewicz.

TUSK I AUTONOMIA KASZUB

Do uwiedzionych czarem niemieckości ludzi kultury chętnie dołączali politycy. Marek Bumblis, gdański radny, który w poprzedniej kadencji był przewodniczącym komisji kultury i promocji, zaistniał w świadomości wielu autorów jako pomysłodawca literackiej Nagrody im. Martina Opitza. Inicjatywa zacna, wręcz chwalebna bo, jak czytamy, nagroda „przyznawana jest osobom, które upowszechniają wiedzę o twórcach i kulturze Gdańska, wśród jego mieszkańców, w kraju i za granicą". Tyle że patron to zmarły w Gdańsku poeta niemiecki, który co prawda został mianowany przez króla Władysława IV Wazę jego nadwornym historiografem, ale – jak się okazało – służył „różnym panom". Wobec polskiego władcy nie był lojalny, kolaborował ze Szwedami, informując ich o poczynaniach Władysława. Nagroda jest przyznawana do dziś.

Przywódcom gdańskich liberałów z Donaldem Tuskiem na czele zwrot w kierunku kultywowania tradycji Wolnego Miasta Gdańska był politycznie na rękę. Po pewnych modyfikacjach polityki historycznej można było przedstawiać przedwojenny klimat miasta jako miejsca wielokulturowości z naciskiem na polsko-niemiecko-kaszubskie pokojowe współistnienie. Należało tylko stworzyć atmosferę pewnej wyjątkowości tego miejsca odróżniającej Gdańsk od reszty kraju niczym inicjatywy Ruchu Autonomii Śląska. Z tym jednak wyjątkiem, że dziś w Gdańsku praktycznie w ogóle nie ma ludności pochodzenia niemieckiego.

– Donald Tusk nie ukrywał wtedy separatystycznych zapędów – przypomina były radny Gdańska z AWS Ryszard Śnieżko. – W 1992 r., tuż po upadku rządu premiera Olszewskiego, Tusk uczestniczył jako wiceprzewodniczący Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego (ZKP) w zjeździe tej organizacji, który odbył się w Domu Technika w Gdańsku. Przedstawił tam referat „Pomorska idea regionalna jako zdarzenie polityczne". Zawarł w nim program pełnej autonomii Kaszub, które winny posiadać własną armię, walutę i rząd.

Jako współautor pracy zbiorowej pod redakcją Józefa Borzyszkowskiego wydanej przez ZKP jeszcze w 1984 r. opisywał oddziały partyzanckiego podziemia niepodległościowego „Gryf Pomorski" jako „reakcyjne podziemie" oraz „bandy, które terroryzowały ludność i dokonywały grabieży". Kiedy koncepcje Tuska ujrzały światło dzienne w formie 20 tys. przedwyborczych ulotek kolportowanych przez politycznych przeciwników w II turze wyborów prezydenckich 2005 r. stracił głosy czterech powiatów: chojnickiego, starogardzkiego, kościerskiego oraz kartuskiego. W pierwszej turze tutaj wygrywał.

eprasa.pl 93ce4e52b2

Nieco później z inicjatywy tego samego Tuska wydano albumy o przedwojennym grodzie nad Motławą pod zbiorczym tytułem „Był sobie Gdańsk". Opatrzone przez niego wstępem, stały się niezwykle popularne, bo pokazały gdańszczanom miasto, którego już nie ma. Do tego momentu wiele osób nie zdawało sobie sprawy, jak niewielką jego część odbudowano po wojnie. Znów tęsknota za Wolnym Miastem.

HAŃBA NA TRAMWAJACH

Moda na Freie Stadt Danzig dziś osiągnęła niesłychaną wręcz skalę. Część gdańskich tramwajów przemalowano z kolorów żółto-czerwonych na kremowo-niebieski (barwy Danziger Elektrische Strassenbahn A.G. – Spółka Akcyjna Tramwajów Gdańskich Elektrycznych), a jeden z nich, zabytkowy, od święta wypuszcza się w trasę z napisem kierunkowym „Danzig". Inny, już współczesny, ochrzczono w 2011 r. imieniem Adolfa Butenandta, który w 1933 r. podpisał przysięgę niemieckich profesorów na wierność Adolfowi Hitlerowi i państwu narodowo-socjalistycznemu, a 1 maja 1936 wstąpił do NSDAP z nr. legitymacji 3716562. Po protestach nazwę usunięto.

> Przywódcom gdańskich liberałów z Donaldem Tuskiem na czele zwrot w kierunku kultywowania tradycji Wolnego Miasta Gdańska był politycznie na rękę

Ale ten nagłośniony przypadek nie był jedyny. Do dziś patronem składu nr 1026 jest Jan Jerzy Forster (a właściwie Johann Georg Forster), XVIII-wieczny przyrodnik, podróżnik i pisarz, który w listach do żony dawał wyraz pogardzie do Polaków i Polski. „Listy te, a jeszcze bardziej jego »Dziennik podróży po Polsce«, przyczyniły się do rozpowszechnienia w Niemczech szeregu negatywnych, ksenofobicznych stereotypów na temat Polski i Polaków, takich jak określenie »Polnische Wirtschaft«, mające na celu ukazanie rzekomej niższości gospodarki oraz anarchii Polski, sami zaś Polacy uznani zostali przez Forstera nieomal za zwierzęta. Poglądy Forstera są do dziś źródłem badań i studiów nad negatywnym stereotypem Polaków w niemieckiej kulturze" – pisał w 2017 r. portal trojmiasto.pl.

Prof. Czauderna w interpelacji pytał wówczas o tę postać, ale i kolejne – np. Ericha Volmara (patronującego tramwajowi o numerze bocznym 1052), który z jednej strony zasłużył się uratowaniem wielu gdańskich zabytków w czasie II wojny światowej, ale z drugiej – kierował wielką akcją konserwatorską mającą na celu przywróceniu Gdańskowi historycznego wyglądu jako „odwiecznie niemieckiego miasta" i usunięcie śladów historycznej polskości, co doprowadziło do znikania polskich orłów z niektórych reprezentacyjnych budowli czy wizerunków polskich królów z Dworu Artusa.

Gdańscy decydenci uznali też, że dobrym patronem składu nr 1055 będzie Willi Drost. Podobnie jak Volmar zrobił on wiele dla ocalenia miejskich zabytków, ale też część jego działań budzi co najmniej kontrowersje. To on wywiózł bowiem część dokumentacji zbiorów gdańskiego Muzeum Miejskiego do Marburga (w tamtejszym Instytucie Herdera znajduje się do dziś m.in. kolekcja zdjęć dawnych zabytków gdańskich). Pojawiają się również zarzuty, że Drost ukrył informacje o zabytkach wywiezionych w głąb Niemiec oraz że współpracował z Sowietami przy wywożeniu dzieł sztuki do ZSRR. W 1939 r. Drost otrzymał miejską nagrodę kulturalną w zakresie sztuki i ochrony zabytków przyznaną przez gdańskiego gauleitera NSDAP Alberta Forstera.

Czy naprawdę grona 47 patronów (bo tylu ich jest) pojazdów nie dało się stworzyć z postaci, które nie budziłyby najmniejszych wątpliwości?

Na marginesie dodajmy, że niemal połowa gdańskich tramwajów pieszczotliwie nazywana jest „Dortmundy" – w 2007 r. miasto kupiło stare składy (produkowane na przełomie lat 70. i 80.), a wycofane z użytkowania w Dortmundzie. Wysłużone maszyny jeżdżące po Gdańsku wielokrotnie się psuły.

A skoro już przy środkach transportu jesteśmy, warto wspomnieć o niezrozumiałej niechęci gdańskich elit do innego patrona – tym razem bezwzględnie zasłużonego. W 2017 r. PKP Szybka Kolej Miejska w Trójmieście przeprowadziła internetową ankietę w celu wybrania patrona pociągu Gdańsk-Kościerzyna. 60 proc. głosów zdobył kpt. Józef Dambek, dowódca Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski", zastrzelony przez gestapo w 1944 r. Nazwanie pociągu zablokowały jednak władze województwa. Marszałek pomorski Mieczysław Struk tak tłumaczył swój opór: „Pomysł nadania nazwy jednemu pociągowi jest nietrafiony, bo nie rozwiązuje problemów komunikacyjnych".

Dowodem na dziwną prawidłowość, że tego co polskie w Gdańsku się nie pielęgnuje, jest również teren byłego klubu sportowego Gedania. Podczas gdy w Wolnym Mieście Polacy nie mieli możliwości zaistnienia ani na niwie artystycznej, ani politycznej, pewne możliwości demonstrowania przywiązania do biało-czerwonych barw dawał sport. To tam, na terenie Wrzeszcza istniał wówczas tzw. polski trójkąt. Wyznaczały go parafia św. Stanisława, Polski Dom Akademicki „Bratniak" i właśnie Gedania. Polacy spotykali się nie tylko na zawodach sportowych, ale również na patriotycznych manifestacjach. Zostały fotografie sportowców i harcerzy z polskimi sztandarami.

Dzisiaj stadionu Gedanii nie ma. Jest zrujnowany, otoczony obdrapanym murem teren i żal okolicznych mieszkańców do władz miasta, że nie zatrzymały, mimo sprzeciwu radnych, sprzedaży terenu deweloperowi. Budowa co prawda nie ruszyła, więc może jest jeszcze czas, by to miejsce odzyskało blask, na jaki zasługuje. A to przecież kawał polskiej historii Gdańska. Przypomina o nim tylko skryta w krzakach płyta pamiątkowa z napisem: „Pamięci członków klubu sportowego

eprasa.pl 93ce4e52b2

Gedania, niezłomnych patriotów prześladowanych przez Niemców za krzewienie polskości w Gdańsku, z których wielu oddało życie za Ojczyznę". Pod obeliskiem ukryta jest urna z prochami z miejsc kaźni mieszkańców ziemi gdańskiej: z Zaspy, Poczty Polskiej, Westerplatte, Szymankowa, Piaśnicy i Stutthofu. Czy można z czystym sumieniem postawić tutaj po prostu nowe bloki?

POWRÓT WOLNEGO MIASTA

Po odrestaurowaniu zabytkowego budynku poczty obok Dworca Głównego w miejsce napisu „Urząd Pocztowy Gdańsk 2" (pierwsza otwarta polska poczta po II wojnie) przywrócono niemiecki napis „Postamt". Innym pomysłem gdańskiego magistratu było otwarcie ronda Granicznego Wolnego Miasta Gdańska. Dokonał tego osobiście wiceprezydent Piotr Grzelak, znany ze swojej późniejszej kuriozalnej wypowiedzi o genezie wojny: „Na początku było słowo, złe słowo. Słowo jednego przeciwko drugiemu. I to złe słowo było Polaka przeciwko innemu narodowi, Niemca przeciwko innemu narodowi. Europa została tym złym słowem podzielona".

Uroczystość odbyła się nomen omen w przededniu 96. rocznicy utworzenia Wolnego Miasta Gdańska (15 listopada 1920 r.). „Data tego wydarzenia jest symboliczna, podobnie jak miejsce, w którym usytuowane jest rondo. W jego pobliżu było całodobowe przejście graniczne, gdzie stała budka gdańskich celników" – tłumaczył Krzysztof Nowotarski, przewodniczący zarządu dzielnicy Kokoszki. Natomiast prezydent Gdańska Paweł Adamowicz tak uzasadniał uchwałę Rady Miasta o otwarciu ronda: „Przywrócenie pamięci fragmentu przebiegu historycznej granicy, będącej jednocześnie granicą dzielnicy Kokoszki, pozwoli na zachowanie faktów historycznych związanych z Gdańskiem i stanowić będzie walor edukacyjny".



Fot. Andrzej Rafał Potocki

Taka historyczna polityka włodarzy miasta jest akceptowana przez wielu mieszkańców. Jakaś część z nich odnajduje w niej swoją nową tożsamość, innym imponuje niemieckość ich metropolii kojarzona z europejskością. W końcu sporą część dzisiejszych gdańszczan stanowią potomkowie ludzi, którzy po 1945 r. zastąpili tam wysiedlonych Niemców. Blisko 26 tys. przyjechało nad Motławę z okolic Wilna, 15 tys. autochtonów komunistyczna władza pozwoliła zostać, a ponad 150 tys. zjechało z całej Polski, głównie centralnej. Dziś gremialnie machają czerwonymi chorągiewkami z dwoma białymi krzyżami (herbem Gdańska) z okazji odwiedzin brytyjskiej pary książęcej, odwiedzają Muzeum Wolnego Miasta Gdańska obok rezydencji królów polskich w Zielonej Bramie, a co bogatsi zamawiają rejestracje samochodowe z napisem „GO WMG", ozdobione ramką z literami „Freie Stadt Danzig".

Taka historyczna polityka włodarzy miasta jest akceptowana przez wielu mieszkańców. Jakaś część z nich odnajduje w niej swoją nową tożsamość, innym imponuje niemieckość ich metropolii kojarzona z europejskością

Powstało osiedle „Wolne Miasto" i nawet prywatna przychodnia lekarska o tej samej nazwie. Po przegranych przez Platformę Obywatelską wyborach 2015 r. mentalny rozdźwięk pomiędzy jej zwolennikami (ok. 75 proc. głosujących) w mieście a resztą kraju jeszcze się pogłębił. Dali temu wyraz, idąc w ślad za magistratem, który 3 maja br. zdjął z ulic polskie biało-czerwone flagi, zastępując je gdańskimi i unijnymi. Z okazji polskiego narodowego święta w oknach i na balkonach mieszkańców po raz pierwszy pojawiło się tak wiele chorągiewek z herbem Gdańska.

– Historia jest przez władze Gdańska traktowana wybiórczo. Czy to z opowieści o Solidarności, czy o Wolnym Mieście Gdańsku, wybierane są tylko takie elementy, które pasują do bieżącej politycznej układanki – mówi prof. Czauderna.

Potwierdza to sytuacja, która przytrafia się nam w Europejskim Centrum Solidarności. W tamtejszym sklepie z pamiątkami i literaturą można kupić książki o Lechu Wałęsie (ale nie te krytyczne, dowodzące jego współpracy z SB), Adamie Michniku, Jacku Kuroniu – tylko jednym środowisku solidarnościowej opozycji. Pytamy sprzedawcę o pozycje poświęcone Annie Walentynowicz. Brak. A czy kiedyś były w sprzedaży? – Mieliśmy katalog wystawy i bardzo dawno biografię, nie wiem, czy jest jej dodruk – słyszymy w odpowiedzi. Dopytujemy, czy są książki o Lechu Kaczyńskim,

eprasa.pl 93ce4e52b2

wiceprzewodniczącym S. – Zdecydowanie nie – mówi młody chłopak i dopowiada coś, co nas szokuje: – My jesteśmy lewicowym sklepem. Po książkach „Krytyki Politycznej" można się zorientować, jaki nurt reprezentujemy.

Widzimy to doskonale. I doceniamy szczerość.

NIEMIECKIE PIENIĄDZE

W czerwcu grupa 200 naukowców napisała list otwarty, w którym czytamy m.in.: „Od długiego czasu Gdańsk – zarówno jego mieszkańcy, jak i władze samorządowe oraz osoby publiczne, wywodzące się z miasta, są nieustannie dyskredytowane z tytułu rzekomej fascynacji niemieckością, uległości wobec Niemiec, reprezentowania niemieckich interesów, chęci odbudowy Wolnego Miasta itd. Z tymi zarzutami nieustannie spotykał się śp. prezydent Paweł Adamowicz, ale nic się po jego śmierci nie zmieniło. Wręcz przeciwnie – te same szkalujące wypowiedzi pojawiają się nieustannie, tyle że z jeszcze większą intensywnością".

Sygnatariusze listu domagają się tym samym jakiejś formy cenzury, nieodnotowywania owej fascynacji (realnej, a nie rzekomej) i proniemieckości gdańskich elit. A przecież jej przykładów, jak widać powyżej, jest aż nadto. Kolejnym, który trzeba przywołać, jest prywatyzacja Gdańskiego Przedsiębiorstwa Energetyki Cieplnej. Miejska spółka została w 2004 r. sprzedana firmie Stadtwerke Leipzig GmbH. Niemcy chcieli nabyć pakiet mniejszościowy, Paweł Adamowicz uparł się, by sprzedać 75 proc. I dopiął swego. Efekt? Zyski (po kilkadziesiąt milionów zł rocznie) trafiają do stolicy Saksonii, a zatem – jak zauważała „Gazeta Gdańska" – mieszkańcy grodu nad Motławą „odkręcając kurek z ciepłą wodą i zawór termostatu przy grzejniku, sponsorują bilety na baseny i komunikację miejską w Lipsku, Handball-Club Leipzig, FC Lokomotive Leipzig i Red Bull Arenę w tym mieście". Z gdańszczan najlepiej wyszedł na tym Paweł Adamowicz – powołał do rady nadzorczej GPEC samego siebie i przez kilkanaście lat zgarniał z tego tytułu po 100 tys. zł rocznie.

Idąc tropem niemieckich pieniędzy, nie sposób pominąć zaangażowania naszych zachodnich sąsiadów w polską politykę. Zaczęło się już w latach 90., gdy CDU sponsorowała kierowany przez Donalda Tuska Kongres Liberalno-Demokratyczny, co ujawnił przed kilkoma laty Paweł Piskorski.

Sam Tusk korzystał z niemieckich euro również w kolejnej dekadzie. W sejmowych archiwach wciąż znajduje się rejestr korzyści wicemarszałka Sejmu z kadencji 2001–2005. Znajdujemy w nim takie informacje: „Bilet lotniczy (26.11.03) Warszawa-Mediolan-Warszawa opłacony przez Fundację Adenauera w związku ze spotkaniem liderów polskiej centroprawicy (PO i PSL) z liderami Europejskiej Partii Ludowej (EPP) (...) bilet lotniczy Warszawa-Berlin-Warszawa opłacony przez Fundację Adenauera w związku ze spotkaniem z liderami CDU w dniu 23.03.2004 r.

Ta sama fundacja wsparła finansowo organizowane w 2016 r. przez Pawła Adamowicza gdańskie obchody 30-lecia Trybunału Konstytucyjnego. Wyłożyła 22 tys. zł. Miasto wydało na tę imprezę 10 tys. zł, a resztę kosztów (ok. 50 tys. zł) pokryła Fundacja Gdańska, należąca do gdańskich liberalnych elit politycznych (jej prezesem jest były szef klubu PO w pomorskim sejmiku).



Od 2016 r. rondo w gdańskiej dzielnicy Kokoszki nosi nazwę Rondo Graniczne Wolne Miasto Gdańsk – Rzeczpospolita Polska (1920-1939)

Fot. Andrzej Rafał Potocki

Fundacja Adenauera nie jest jedyną, która angażuje znaczne środki finansowe we wspieranie w Polsce proniemieckich środowisk politycznych. Wymienić należy tu jeszcze Fundację im. Friedricha Naumanna, Fundację im. Friedricha Eberta, Fundację im. Róży Luksemburg, Fundację im. Heinricha Böll, czy Fundację Hirschfeld-Eddy.

Żadna z tych organizacji zapewne nie skrzywi się na politykę władz Gdańska. A te w swojej wojnie z rządem idą już tak daleko, jakby chciały „wypisać się" z Polski. Aleksandra Dulkiewicz nie przypadkiem pisze przecież na Twitterze, że z ambasadorem Belgii rozmawiała o „sprawach gdańsko-belgijskich". To celowa manifestacja ominięcia władz centralnych, de facto jakiś rodzaj separatyzmu. Koresponduje to z 21 tezami samorządowymi podpisanymi, a jakże, w Gdańsku 4 czerwca i postulującymi rozbicie dzielnicowe Polski.

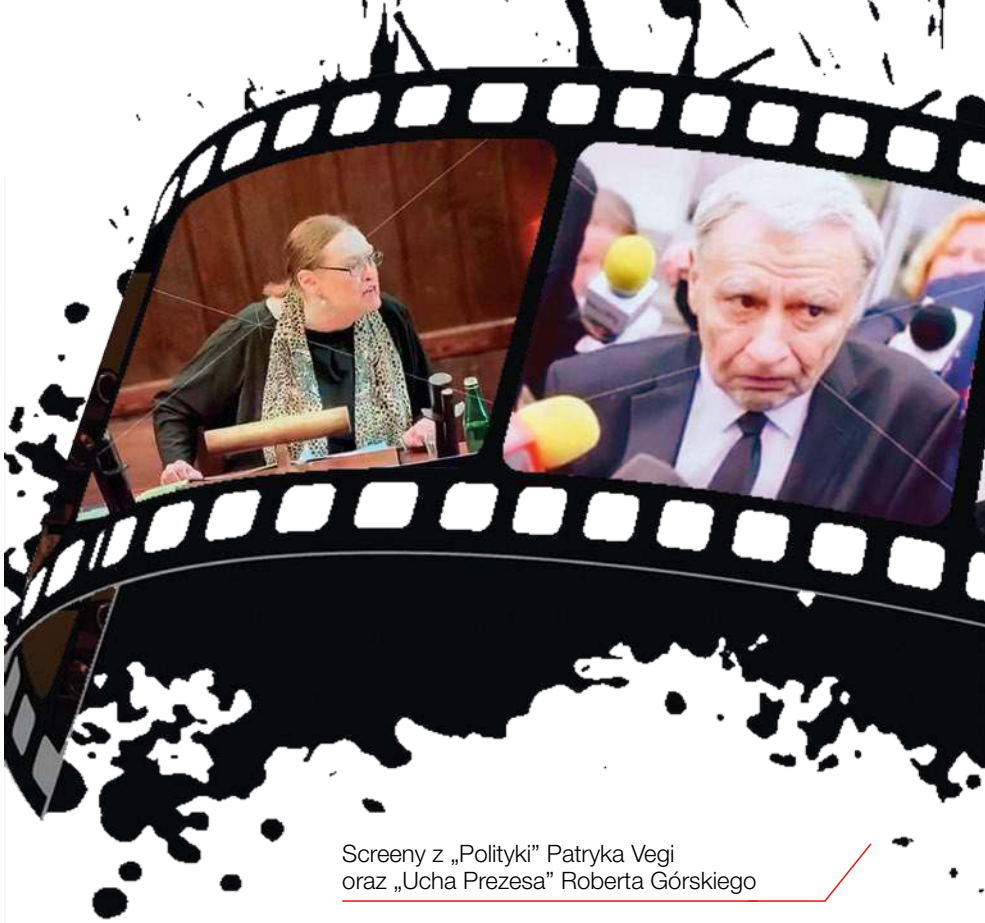
Niestety skojarzenie nasuwa się samo – to wszystko jest zbyt podobne do nastrojów w Wolnym Mieście Gdańsku. Zbyt podobne, by spać spokojnie.

eprasa.pl 93ce4e52b2

„Polityka" Patryka Vegi ma wywrócić generalnie wszystko. Zmienić polityczne nastawienie Polaków. Dać wiatr w żagle tonącej opozycji. Pytanie tylko, ile w takich filmach jest prawdy, a ile fikcji? I drugie pytanie: jak na to zareagują widzowie?



STANISŁAW JANECKI



Screeny z „Polityki" Patryka Vegi oraz „Ucha Prezesa" Roberta Górskiego

Nic nie wiedzą, ale to im

Po premierze filmu Patryka Vegi „Polityka" nic już nie będzie takie samo w polskiej polityce. A najbardziej wpłynie on na wynik wyborów parlamentarnych w październiku 2019 r. Film fabularny jako coś, co przeoruje polską politykę, odbiera i daje władzę, ustawia graczy na szachownicy? Reżyser i scenarzysta, którzy mogą się bawić politykami niczym ołowianymi żołnierzykami, a rezultat tej zabawy odciska się na rzeczywistości? „Tak, macie się czego bać" – odgraża się reżyser „Polityki" Jarosławowi Kaczyńskiemu.

Co Patryk Vega wie o polityce, szczególnie tej w wydaniu Prawa i Sprawiedliwości? Co wie o prezesie Jarosławie Kaczyńskim i najważniejszych osobach w partii? Podobne pytania stawiano, gdy 9 stycznia 2017 r. premierę miał pierwszy odcinek „Ucha Prezesa" autorstwa satyryka Roberta Górskiego. Warto skonfrontować z rzeczywistością buńczuczne zapowiedzi twórców, ich przekonanie, że pokazują rzeczywistość, zaglądają za kulisy, odkrywają największe tajemnice, w tym te najbardziej kompromitujące i straszne.

PRAWDA EKRANU

W wypadku zarówno „Polityki", jak i „Ucha Prezesa" marketing to podstawa. Chodzi o zainteresowanie jak największej liczby widzów, o ich przekonanie, że obcują z czymś nadzwyczajnym, czego nigdzie indziej nie można się dowiedzieć, co jest skrzętnie ukrywane przed obywatelami i oczywiście jest prawdziwe (najwyżej trochę podkręcone), a co nimi wstrząśnie lub ich rozbawi – takie jest głupie, groteskowe, niedorzeczne. A widzowie praktycznie nie mają możliwości sprawdzenia, co właściwie oglądają. Politycy im tego nie wytłumaczą. Nawet jeśli spróbują, będą niewiarygodni, bo przecież ekranowa wersja ich bezpośrednio dotyczy.

Do buńczucznych zapowiedzi Patryka Vegi odniósł się m.in. prezes PiS Jarosław Kaczyński, stwierdzając, że kampania reklamowa filmu „Polityka" ma pokazać PiS jako „ludzi złych, zdemoralizowanych, którzy nie służą Polsce, którzy dopuszczają się różnego rodzaju bezeceństw".

Jak to się będzie miało do rzeczywistości? Nawet dziennikarze mają problem z rozpoznaniem tego, co naprawdę widzą. Bartosz Węglarczyk, dyrektor programowy Onet.pl, tak mówił o „Uchu Prezesa": „Od początku był to raczej rodzaj filmu dokumentalnego o jądrze ciemności. Lubiłem »Ucho Prezesa«, ale nie mogłem się z niego śmiać. Z oglądaniem tego serialu było jak z czytaniem dobrego dziennikarskiego tekstu, tyle że dziennikarz nie mógłby tego napisać, bo musiałby mieć twarde dowody. Twórcy »Ucha Prezesa« mogli się zaś zasłonić satyrą". Czy rzeczywiście „Ucho Prezesa" ma

eprasa.pl 93ce4e52b2



nie przeszkadza

cokolwiek wspólnego z dokumentem? Czy dziennikarze, jako widzowie, ulegają tej samej iluzji albo chwytom marketingowym, co widz niezorientowany w kulisach polityki?

Patryk Vega szarżuje w opowiadaniu o swojej fabule jako strasznej prawdzie o partii rządzącej, bo zabiega o widza. Dlatego snuje opowieści o wykradzeniu scenariusza „Polityki", przeczytaniu go przez prezesa PiS i panice, jaką to wywołało w kierownictwie partii rządzącej. Dlatego mówi (Onetowi): „Już kilkukrotnie spotkałem się z próbami nacisku. Komunikowano mi wprost, że ten film uderzy w określone frakcje polityczne i może mieć wpływ na wynik wyborów, dlatego namawiano mnie do przesunięcia premiery na po wyborach i składano różne intratne propozycje. Oczywiście nie przyjąłem tych propozycji, bo chcę, żeby ludzie mieli jak największą wiedzę o politykach, na których będą głosować w najbliższych wyborach".

Vega, podobnie jak Węglarczyk, otwarcie mówi, że mamy do czynienia z rodzajem dokumentu, choć udrapowanego na fabułę. To zapewne wynika z przemyślenia tego, co działo się w Polsce po premierach fabuły Wojciecha Smarzowskiego „Kler" i dokumentu Tomasza Sekielskiego „Tylko nie mów nikomu". „Kler" miał ogromny oddźwięk, ale okazał się mało znaczący politycznie. „Tylko nie mów nikomu" poprzez swoją dokumentalną formę miał być politycznie bardzo znaczący w kontekście zbliżających się wyborów europejskich. To także się nie sprawdziło. W przypadku Patryka Vegi ma się sprawdzić połączenie „Kleru" z „Tylko nie mów nikomu" i to ma spowodować polityczny efekt. Taki, że PiS straci władzę.

INFORMATORZY

Vega przy kolejnych swoich filmach powołuje się na „głęboki research", choć w gotowych produkcjach tej „głębokości" wcale nie widać. W kolejnych „Pitbullach" źródłem głębokiej wiedzy mają być policjanci z pierwszej linii i „przykrywkowcy", choć w tych filmach policja raczej przypomina gang, a nie organizację broniącą prawa i porządku. A policjanci są świrami, alkoholikami, narkomanami, ludźmi z ogromnymi problemami psychicznymi rozładowywanymi poprzez przemoc. Jednym słowem – degeneraci. Choć mający gdzieś na dnie swój kodeks moralny.

W „Służbach specjalnych" już na pierwszy rzut oka widać rękę takich ekspertów, jak były szef WSI gen. Marek Dukaczewski, były szef UOP Gromosław Czempiński czy pułkownicy wywiadu PRL Aleksander Makowski i Włodzimierz Sokołowski (znany pod pisarskim pseudonimem Vincent V. Severski). Vega się z ich punktem widzenia wyraźnie utożsamia, w ich esbeckiej i wojskowej przeszłości widząc tylko profesjonalizm i dobre szkoleniowe wzorce, a ich „legendy" i „legendowanie" traktując serio. Stąd cywilni nadzorcy służb kojarzeni z prawicą to amatorzy i ignoranci, w dodatku idioci, podczas gdy źródła Vegi to wyrafinowani, obdarzeni poczuciem humoru, ironiczni intelektualiści.

Z moich ustaleń wynika, że w wypadku „Polityki" głęboki research Vegi to książki Michała Krzymowskiego „Jarosław. Tajemnice Kaczyńskiego" oraz wywiad rzeka Andrzeja Morozowskiego z Michałem Kamińskim „Koniec PiS-u", rozmowy z dwoma politykami z okolic PiS – od lat znanymi z odgrywania roli najbardziej wtajemniczonych w sprawach PiS i prezesa Kaczyńskiego, artykuły prasowe, m.in. Krzymowskiego i Wojciecha Cieśli.

Ale przede wszystkim źródłem jest Zbigniew Stonoga i jego przeróżne insynuacje. W styczniu 2017 r. w programie Polsatu „Skandaliści" Zbigniew Stonoga twierdził, że za sprawą jego rewelacji dotyczących „ciężkich spraw obyczajowych" w PiS w Polsce „zrobi się bardzo ciepło". Nie zrobiło się. A miało się zrobić m.in. po opublikowaniu 2 lutego 2017 r. rozmowy Stonogi z niejakim Patrykiem Jackowskim, opowiadającym niestworzone rzeczy o swojej krótkiej znajomości z Bartłomiejem

eprasa.pl 93ce4e52b2

Misiewiczem, wtedy ważną postacią w MON. To podczas tej rozmowy Jackowski (22-latek) mówił, że Misiewicz zaproponował mu stanowisko „ministra obrony terytorialnej". To w tej rozmowie pojawiły się wątki homoseksualne, które mają się znaleźć w filmie Vegi.

Głębokie źródła Vegi to przede wszystkim plotkarze, tacy jak prof. Jan Hartman, który np. 29 marca 2019 r. na swoim blogu na stronie tygodnika „Polityka" snuł żenujące dywagacje o tym, kto „powszechnie uchodzi za osobę homoseksualną, czemu zresztą nigdy chyba nie zaprzeczał. Oczywiście nie znaczy to jeszcze, że faktycznie jest gejem". Hartman doradzał, że „tzw. coming out osobę homoseksualną zmienia i w perspektywie uszczęśliwia. Kto zaś tłamsi w sobie i ukrywa swoją miłość, ten popada w trwałą frustrację i zgorzknienie".

Wielkie odkrycia Vegi na temat homoseksualistów w PiS to znany od lat i ze zrozumiałych względów traktowany bardzo powściągliwie przypadek ministra w pierwszym rządzie PiS, człowieka nigdy nieeksponującego swoich preferencji (podobno w filmie przeniesionego we współczesność). O tym polityku Michał Kamiński mówił w wywiadzie z Morozowskim. Odkrycia Vegi to plotki na temat preferencji jednego z ważnych ekspertów PiS, głównie dotyczące tego, kogo sobie upodobał na własnym zapleczu. I to wszystko, tyle że przetworzone i wzmocnione tak, żeby tworzyło obraz Sodomy i Gomory.

Przede wszystkim chodzi o wdrukowanie w głowy widzów, że PiS to w istocie partia homofobicznych homoseksualistów. Homofobicznych, żeby ukryć prawdziwą orientację, co na swoim blogu tłumaczył Jan Hartman. Co w ostatnich miesiącach insynuowali były minister finansów Jan Vincent Rostowski, mający kłopoty z prawem poseł PO Stanisław Gawłowski, wiceprezydent Warszawy Paweł Rabiej, szef partii Wiosna Robert Biedroń czy rzecznik PSL Jakub Stefaniak. To mają być „głębokie źródła" Patryka Vegi. Równie wartościowe są „głębokie źródła" na temat pazerności polityków PiS czy biznesowego zaplecza tej partii, w tym Jarosława Kaczyńskiego. W przypadku prezesa PiS konsultantem biznesowym Vegi miał być znany adwokat, co od razu przesądza o wymowie scen dotyczących tych aspektów.

CZEGO NIE WIEDZĄ VEGA I GÓRSKI

W zwiastunach filmu Vegi widać, że parodiuje on sposób urzędowania Jarosława Kaczyńskiego znany z „Ucha Prezesa". W obu wypadkach nie ma to nic wspólnego z rzeczywistością. Zza biurka Jarosław Kaczyński wyłącznie odpowiada na krótkie pytania, np. dotyczące kawy czy odebrania telefonu. Dlatego przed jego biurkiem nie ma krzeseł dla rozmówców. Rozmawia tylko przy stole stojącym przy drzwiach prowadzących z malutkiego sekretariatu do gabinetu. Stół jest wąski, więc kontakt z rozmówcami jest bezpośredni, nie ma żadnego dystansu. Prezes PiS nie ma żadnych przybocznych, sparodiowanych w „Uchu Prezesa", m.in. w postaci ministra Mariusza, z którymi dzieliłby się swoimi opiniami czy ocenami. W gabinecie prezesa nie ma żadnego poczucia wyższości czy przemawiania z wysokości majestatu. Nie ma też komunikowania swojej woli w jakiś quasi-wojskowy sposób. Prezes PiS nie ma w ogóle takiego stylu porozumiewania się z ludźmi. Nie rozmawia też o takich sprawach, jak preferencje seksualne czy kwestie zbyt ingerujące w prywatność osób go odwiedzających. W gabinecie prezesa PiS nikt się nie ekscytuje tym, kto z kim, kiedy i dlaczego. Nikt też nie sprawdza, czy plotki to tylko plotki, czy coś więcej. Przypisywane prezesowi PiS zachowania peerelowskich dygnitarzy w rodzaju sekretarzy KC nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Jarosław Kaczyński to ani filmowy Jan Winnicki z serialu „Alternatywy 4", ani realni sekretarze w rodzaju Jana Szydlaka, Jerzego Łukaszewicza czy Andrzeja Żabińskiego.

W zwiastunach filmu Vegi widzimy mrocznego władcę, co w rzeczywistości jest niemożliwe choćby z powodu sposobu urządzenia i funkcjonowania gabinetu prezesa. Nie ma tam żadnych „wystawnych" mebli, pomieszczenie jest niskie, mało reprezentacyjne, skromne, typowe dla pracy i roboczych rozmów. W „Uchu Prezesa" trochę dotknięto ironii, którą często Jarosław Kaczyński się posługuje, ale jest ona zdecydowanie zbyt ciężkiego kalibru. Prezes PiS lubi „wkręcać" współpracowników, których zna, więc jego opinie bywają ironiczne i żartobliwe, a w żadnym wypadku nie są to „wyroki". Kompletnie nieprawdziwy jest natomiast filmowy obraz stosunku Jarosława Kaczyńskiego do kobiet. Urzędowanie „pani Basi" w „Uchu Prezesa" za jakimś kontuarem jest nie do pomyślenia, podobnie jak szorstkie rozmowy z kobietami. Kobiety mają na Nowogrodzkiej same przewagi i przywileje, mogą wcześniej wyjść, coś załatwić, nie muszą nawet czekać do końca urzędowania szefa.

Twórcy filmów i programów wykorzystujących postać Jarosława Kaczyńskiego, w tym Robert Górski i Patryk Vega, kompletnie nie rozumieją, że nie funkcjonuje on tak jak Leszek Miller, Waldemar Pawlak, Donald Tusk czy Grzegorz Schetyna. Kaczyński to przede wszystkim żoliborski inteligent, intelektualista w typie przedwojennym, który owszem – jest zawodowym politykiem, ale nie ma w sobie nic z aparatczyka. Dlatego PiS nie jest partią „zmilitaryzowaną", lecz taką, w której jest dużo miejsca na różne spory, dyskusje, gdzie momentami bardziej panuje anarchia niż jakiś totalizm. I gdzie różne terenowe struktury oraz poszczególni politycy zbyt często nie robią tego, czego oczekuje od nich centrala. I wcale z tego powodu nie są karani, co w PO (i za Tuska, i za Schetyny) jest nie do pomyślenia. Wszystko to spina się i funkcjonuje dzięki pozycji, autorytetowi i doświadczeniu Jarosława Kaczyńskiego, ale inną partię doprowadziłoby do upadku, a przynajmniej ciężkiego kryzysu. Tę różnicę łatwo dostrzec nawet po tym, co prezes PiS mówi, jakie problemy są dla niego ważne, jakim językiem prowadzi polityczną narrację.

Kaczyński jest strategiem i taktykiem partyjnym, ale jego sposób wypracowywania i podejmowania decyzji ani nie jest mafijny, co zdają się sugerować dotychczas pojawiające się informacje na temat „Polityki" Vegi, ani nie groteskowy czy kabaretowy – jak by wynikało z „Ucha Prezesa" Górskiego. Widać, że informatorzy Vegi i Górskiego, a szczególnie tego ostatniego (w głównych rolach dwóch znanych dzienni-

Autopromocja

eprasa.pl 93ce4e52b2

karzy i jeden polityk), kompletnie nie zdołali przekazać stylu Kaczyńskiego.

Poza tym ich wiedza na temat PiS i Kaczyńskiego była aktualna grubo ponad dekadę temu, a nawet wtedy nie była drobiazgowa. Bo ci informatorzy zwyczajnie nie mieli okazji obserwować lidera PiS w codziennej pracy. Wspomniany polityk miał takie okazje, ale najwidoczniej nie potrafił przekazać istoty rzeczy, a poza tym musiał się jakoś maskować dezinformacjami, od dawna jest bowiem w PiS „namierzony".

REŻYSEROWANIE POLITYKI

Marna wiedza, koncentrowanie się na plotkach i insynuacjach powodują, że filmowy czy kabaretowy obraz trzeba podkręcać. W wypadku Roberta Górskiego odbywa się to zgodnie z kabaretowym postrzeganiem polskich polityków, czyli głównie jako głupków i nieudaczników. W przypadku Patryka Vegi owo podkręcanie prowadzi do takiego obrazu polityków PiS, jak policjantów w „Pitbullu". Ma ono uwiarygodnić obraz, taki jak z kampanii marketingowej, a może jeszcze bardziej czarny. Takiej podkręconej wersji przeciętny widz nie jest w stanie zweryfikować, tym bardziej jeśli twórcy wmawiają mu, że to niedostępna wiedza tajemna, do której tylko im udało się dotrzeć.

Mamy więc błędne koło: im bardziej się podkręca (zachowując jakieś minimum wiarygodności), tym łatwiej taki obraz sprzedać i tym trudniej obnażyć. Zawsze można przecież użyć argumentu, że patologia jest tak wielka i wszechobecna, iż negatywni bohaterowie zawsze będą zaprzeczać i podważać. I będą naciskać, straszyć, zakazywać, bo się boją, co przecież otwarcie twierdzi Patryk Vega.

Jest faktem, że obraz polityki i polityków jest w Polsce tak czarny, iż łatwo wmówić odbiorcom, że pokazywane w filmie patologie to tylko wierzchołek góry lodowej. A jeśli się do tego doda odpowiednio spiskowy kontekst i połączy dzieło z bieżącą polityką, szczególnie wyborami, osiąga się zakładane cele biznesowe. A przy okazji można odegrać rolę politycznego demiurga, co Roberta Górskiego dotknęło trochę, a Patryka Vegę zdaje się dotykać mocno.

Stworzone przez nich konstrukcje wpływają na zachowania polityków, co było widać po „Uchu Prezesa" i co już zaczyna się dziać wobec „Polityki", choć autorzy tych konstrukcji bardzo mało, a zgoła nic nie wiedzą o tym, jaka jest prawda. W osiągnięciu politycznego efektu to nie musi przeszkodzić, choć oczywiście może, szczególnie gdy mamy do czynienia z jazdą po bandzie. Ale widać wyraźnie, że branża filmowa rozochociła się, by wpływać na polityczną rzeczywistość, w tym na wybory, i ją reżyserować. W wypadku „Kleru" i „Tylko nie mów nikomu" efekt był taki sobie. Jak będzie w przypadku „Polityki" – zobaczymy we wrześniu.



Czego totalna opozycja nie wie o wyborcy PiS

Totalna opozycja wciąż nie rozumie, dlaczego przegrała znowu wybory. Wylewa więc kolejne żale pod różnymi adresami: telewizji publicznej, Wiosny Biedronia, Sekielskiego i jego filmu, a nawet Tuska, który „źle się kojarzy". Problem polega jednak na tym, że opozycja i liberalne elity jej kibicujące wciąż nie rozumieją wyborców PiS, ani nawet nie próbują tego zrobić



DOROTA ŁOSIEWICZ

„Polska stanie się znowu krajem zastępczym. Już jest drugorzędnym z podróbą chemii, kultury, nowoczesności. Polacy tak lubią, po swojemu, staropolsko w słomianych łapciach i gaciach, dupcyć po bożemu i dawać tej dupy każdemu, kto ją posmaruje, 500+ albo obietnicą zbawienia" – napisała niedawno na portalu thefad.pl pisarka Manuela Gretkowska, która zresztą już nie pierwszy raz sączy jad pod adresem tych, którzy myślą inaczej niż ona sama. Najwyraźniej otwartość umysłu, której tak bardzo domaga się od innych pani Gretkowska, działać ma tylko w jedną stronę.

„PISOWSKIE GŁUPKI"

Niechęć i rozżalenie wylewane pod adresem wyborców PiS to oczywiście nic nowego, ale po wyborach do Parlamentu Europejskiego sięgnęły one zenitu. Wiadrami fekaliów pod adresem pisowców chętnie chlustali kulturalni, wykształceni, dobrze sytuowani przedstawiciele „elity", np. Krystyna Janda, która zamieściła na Facebooku rysunek klęczącej babinki. Kobieta pada na kolana przed mężczyzną w krawacie z banknotem w ręku. A w dymku jego wypowiedź brzmi: „Daj głos". Ta sama aktorka udostępniła inny komentarz: „Szydło z ogromną przewagą na wsi i wśród najsłabiej wykształconych – czyli wśród swoich", furorę w sieci robił także rysunkowy komentarz przedstawiający obdartusa z podpisem: „Pisowski głupek. Produkt regionalny".

Atak na wyborców PiS idzie w dwóch kierunkach: pierwszy dotyczy słabszego wykształcenia, a co za tym idzie – mniejszego (zdaniem elit) rozumienia rzeczywistości. Drugi związany jest z korzystaniem z rządowego programu Rodzina 500+, co miałoby oznaczać podatność na przekupstwo.

Zacznijmy więc od argumentu pierwszego, związanego z wykształceniem. Faktycznie z badania Ipsosu wynika, że wśród badanych osób, które zakończyły edukację na szkole podstawowej lub gimnazjum, aż 70 proc. zagłosowało na PiS. Spośród wyborców mogących się pochwalić wykształceniem zawodowym 65 proc. wybrało partię Jarosława Kaczyńskiego. Wraz ze wzrostem wy-

eprasa.pl 93ce4e52b2



Fot. Tomasz Jastrzebowski/REPORTER

kształcenia spada poparcie dla PiS. W grupie legitymującej się wykształceniem średnim lub pomaturalnym na PiS głosowało już ok. 43 proc. Polaków, a spośród osób z wykształceniem wyższym 27 proc. Czy jednak mniej wykształcony znaczy głupszy? I dlaczego mieszkaniec wsi miałby mieć mniej do powiedzenia niż mieszkaniec większych miast?

HALO, TU KRYSTYNA

Kto uważnie śledziłby sondy, będące nieodłączną częścią programu „W tyle wizji" (TVP Info), który mam przyjemność współprowadzić, zrozumiałby, jak trzeźwy, zdrowy i logiczny osąd sytuacji mają osoby, którymi tak pogardzają liberalne elity. Właściwie pracą domową piarowców partii opozycyjnych powinno być uważne wsłuchiwanie się w to, co mają do powiedzenia tzw. zwykli Polacy. A do powiedzenia mają bardzo wiele i zwykle mówią bardzo rozsądnie, choć nie powołują się na dialektykę Hegla ani rozważania Kartezjusza. Reporterzy „W tyle wizji" często rozmawiają z mieszkańcami wsi, rolnikami oraz klientami i sprzedawcami polskich targowisk. Obejrzenie jednej z takich sond mogłoby totalnej opozycji powiedzieć o Polakach więcej niż sto spotkań z podstawionymi przez lokalne struktury wyborcami własnych partii. Wyraźnie widać, że kalumnie, które rzucają przedstawiciele i akolici „totalsów", działają na tzw. zwykłych Polaków jak płachta na byka.

„Nie wolno tak mówić" – twierdzi w przeprowadzonej przez Annę Machińską 28 maja sondzie starszy mężczyzna zapytany o epitety rzucane pod adresem pisowców. „Każdy pies swój ogonek chwali i każda myszka też" – kontynuował, nie kryjąc irytacji pytany. „Ja pani powiem po prawdzie. To, co na razie robi PiS, wcale nie robi tak źle. Może nie wszystko jest dobrze, ale nie jest całkiem źle. A PO co dla nas przez osiem lat zrobiła? PiS trochę pomógł i matkom, i emerytom. To nie kiełbasa wyborcza, tu o dobro narodu idzie" – wyjaśniał mężczyzna. „Wykształcenie nie ma nic do rozumu" – mówił inny. „Tu [na bazarku, przyp. red.] są ludzie rozumni. Tu każdy musi na siebie zapracować, a inni szukają tylko pieniędzy, kombinują. Jaka była luka VAT-owska, jak rządziła PO? Gdyby ludzie tak się gospodarzyli, to nic by nie mieli" – kończy. „Żeby o kimś powiedzieć, że jest głupi, trzeba mieć orzeczenie lekarskie" – wzruszyła ramiona zagadnięta kobieta. „Nie można tak oceniać! Każdy ma swoje poglądy, ocenę sytuacji, każdy inaczej myśli" – dodała.

„Obalam ten pogląd [że wyborcy PiS są głupi, przyp. red.]. Jestem magistrem nauk o rodzinie. Studiowałam na dwóch fakultetach, mam wyższe wykształcenie i m.in. dlatego zagłosowałam na PiS" – wyjaśnia kolejna uczestniczka sondy. „Polska potrzebuje ludzi wykształconych, mądrych, którzy żyją zgodnie z wartościami, które bliskie są także PiS". „PiS stał się partią ludzi odrzuconych przez poprzedni system, partią ludzi zawiedzionych, ludzi, którzy nie mieli swoich przedstawicieli, ukrywali się ze swoim poglądami, przekonaniami, zamiłowaniami. PiS dał im poczucie ważności. Ale to nie są ludzi głupi, mają swoją mądrość" – tłumaczy następna zagadnięta kobieta.

„Jak się komu nie podoba, to przecież może się spakować i wyjechać do Niemiec, Francji, jak im się tam tak podoba. Bo mi jest w Polsce bardzo dobrze, ja się Polski nie wstydzę i nie wyrzeknę" – dorzuca kolejny pytany przez Annę Machińską Polak. „Jesteśmy bardzo mądrym narodem. Kochamy swoją ojczyznę, nie zamieniłabym Polski na żaden inny kraj" – mówi ze wzruszeniem inna ankietowana.

A poziom niezrozumienia między dwiema grupami wyborców doskonale zobrazowała Krystyna z Krakowa, która zadzwoniła podczas jednej z audycji, a jej telefon odbił się szerokim echem w mediach społecznościowych i przez kolejne dni wspominany był z emocjami przez widzów wspomnianego programu.

„Poparcie to macie wśród wiosek, małych gmin, nie głosują na was [na PiS, przyp. red.] ludzie inteligentni, ludzie kultury, pozyskaliście mniejszość. Artyści są przeciwko wam" – snuła swój wykład Krystyna z Krakowa.

Po tym telefonie odebraliśmy z prowadzącym ze mną program Krzysztofem Feusettem kolejny, tym razem od pani Haliny, której głos aż trząsł się z emocji.

„Ja do pani Krystyny. Mieszkam we wsi Warszawa. Mam wyższe wykształcenie, a nawet studia podyplomowe. Znam trzy języki. Głosowałam i będę głosować na PiS. I bardzo panią proszę, żeby pani nie obrażała mnie oraz moich przyjaciół, którzy też głosują na PiS. Tylko tyle, bo się zaraz ugotuję" – ripostowała pani Halina.

W związku z wyżej zacytowanymi wypowiedziami pragnę powiedzieć totalnej opozycji i jej poplecznikom, bo chyba tego nie wiedzą, że taktyka pogardliwego wyzywania Polaków od głupków i liczenie, że mimo obelg pod swoim adresem zaczną głosować inaczej, jest przeciwskuteczna. Co się zaś tyczy logiki tych podobno tak świetnie wykształconych zwolenników opozycji, to ona najwyraźniej szwankuje. Jak to

eprasa.pl 93ce4e52b2

możliwe, że wyniki demokratycznego rozstrzygnięcia najchętniej podważają właśnie obrońcy demokracji? Jak to możliwe, że ci sami wykształceni ludzie, którzy oburzali się na (zmanipulowane) słowa Jarosława Kaczyńskiego o „gorszym sorcie", tak chętnie sami dzielą Polaków na głupszych i mądrzejszych, na tych lepszego i gorszego sortu? Najwyraźniej posiadanie wyższego wykształcenia nie uchroniło liberalnych elit przed zapędzeniem się w kozi róg sprzeczności.

PRZEKUPIENI

Jeśli chodzi o argument drugi, związany z korzystaniem z rządowego wsparcia, to jest on o tyle zabawny, że przeważnie wysuwają go bezkrytyczni fani Unii Europejskiej. A przecież w państwach UE wydatki na politykę prorodzinną są niezwykle duże. Nim wprowadzono program Rodzina 500+, Polska znajdowała się w ogonie państw wspierających dzietność i rodziny. Dużo i głośno mówiło się o tym, że Polki wolą rodzić na Wyspach Brytyjskich z powodu wysokiego socjalu, jaki otrzymują z tego tytułu. W ciągu trzech lat Polska z jednego z europejskich maruderów w dziedzinie nakładów na politykę rodzinną stała się prymusem. Nakłady w tej dziedzinie w Polsce, do chwili rozszerzenia 500+ na pierwsze dziecko, wynosiły ponad 3 proc. PKB, co usytuowało nasz kraj w europejskiej czołówce. Skąd więc taka niechęć liberalnych elit do wspierania rodzin? Można sobie to tłumaczyć tylko tym, że skoro program wprowadził rząd PiS, to z założenia musi on być zły. Albo może elitom nie podoba się to, że korzystają z niego pisowskie rodziny, czyli te wielodzietne (choć od 1 lipca program będzie przecież poszerzony na każde dziecko).

Joanna Puzyna-Krupska, prezes Związku Dużych Rodzin „Trzy Plus", tłumaczyła mi kiedyś, że niechęć wobec beneficjentów programu może być wynikiem zwykłej zawiści: „Każda mama wychowująca co najmniej dwoje dzieci wie, że jeśli wypłaci jednemu z nich większe kieszonkowe, wywoła najczęściej negatywne uczucia wobec niego – nawet jeżeli ta większa wypłata będzie w pełni uzasadniona. Z podobną prawidłowością spotkać się możemy w dorosłym życiu: nie zawsze chcemy rozumieć, dlaczego ktoś ma więcej niż my, łatwo poddajemy się uczuciom zazdrości, a nawet zawiści. Na takich uczuciach buduje się właśnie dzisiejsza antyrodzinna propaganda pogardliwie przedstawiająca odbiorców świadczenia 500+" – wyjaśniała Puzyna-Krupska.

Rzućmy jeszcze okiem na beneficjentów tego programu. Rządowym wsparciem objęto dotychczas ponad 3,7 mln dzieci. Po rozszerzeniu programu na pierwsze dziecko (bez kryterium dochodowego) będzie to 6,8 mln dzieci. Dotąd głównymi beneficjentami programu były rodziny z dwójką dzieci, wielodzietni oraz mieszkający na wsi. Nie ma wątpliwości, że rządowy program wpłynął na obniżenie nierówności dochodowych. Z szacunków resortu rodziny wynika, że dzięki 500+ wskaźnik zagrożenia ubóstwem relatywnym spadł o prawie 4 pkt proc. Program obniżył liczbę dzieci zagrożonych ubóstwem relatywnym nawet o połowę, a zagrożenie ubóstwem wśród dzieci do 17. roku życia z 22,3 proc. w 2014 r. spadło do poziomu 10,5 proc. w 2017 r. Bank Światowy opublikował ekspertyzę, w której oszacowano wpływ programu na miarę ubóstwa skrajnego. Według wyliczeń ubóstwo skrajne w Polsce w efekcie wprowadzenia świadczenia obniżyło się z 8,9 do 5,9 proc.

> Obejrzenie jednej z takich sond mogłoby totalnej opozycji powiedzieć o Polakach więcej niż sto spotkań z podstawionymi przez lokalne struktury wyborcami własnych partii

„O zmniejszeniu poziomu ubóstwa rodzice piszą w listach, e-mailach, obserwuję to także naocznie. Rodziny wielodzietne odzyskują godność. Wychodzą z długów, zaczynają lepiej odżywiać dzieci, mogą im kupić buty, podstawowe ubrania. Nie muszą już tylko liczyć na odzież po kimś. To przywróciło poczucie godności i własnej wartości. A to ważne, żeby dzieci przestały się wstydzić swojego statusu materialnego" – mówiła Joanna Puzyna-Krupska.

W Polsce spadł także o kilkanaście procent popyt na chwilówki, a kilka tygodni temu Niemcy martwili się, że nie ma kto u nich zbierać szparagów, bo Polacy nie chcą już tego robić.

Ile więc trzeba mieć w sobie pogardy i złej woli, by obrażać Polaków, których życie uległo po prostu gigantycznej zmianie? Może tych ludzi trzeba po prostu zrozumieć?

– Totalna opozycja tym się różni od normalnej opozycji, że zajmuje się jedynie sobą. W ten sposób dochodzi do degeneracji intelektualnego DNA. Ponieważ politycy i ich sympatycy obracają się głównie we własnym sosie, nie zauważają, gdy źle robią, a źle robią w 80 proc. przypadków – śmieje się poseł Marek Jakubiak z Federacji dla RP. – Jak im nie wychodzi, to winnych szukają nie u siebie, tylko poza własną bańką. Z tego wychodzi absurd, bo politycy totalnej opozycji krytykują programy, które sami wymyślili, np. 500+ na pierwsze dziecko. Przecież tego projektu chciał Grzegorz Schetyna, a teraz go krytykuje. Ktoś za tym nadąża? Jeśli totalna opozycja nie zacznie patrzeć szeroko, to nic dobrego jej z tego nie wyjdzie – dodaje Jakubiak.

Na pewno nie wszyscy beneficjenci programu 500+ są wyborcami PiS. Spójrzmy choćby na Ryszarda Petru, który wielokrotnie przyznawał się do korzystania z rządowego wsparcia. Jednak jest ryzykowną taktyką ośmieszanie Polaków, którzy z programu korzystają, biorąc pod uwagę, jak liczna jest grupa beneficjentów tego wsparcia. Politycy opozycji i liberalne elity często apelują o tolerancję i otwarcie umysłów na inny sposób myślenia. Czas się wreszcie do własnych apeli zastosować.

eprasa.pl 93ce4e52b2

Dostrzegajmy nowe wyzwania

Polityka zagraniczna nigdy nie jest jednowymiarowa i nie polega na wkładaniu wszystkich jaj do jednego koszyka – mówi ***dr Sławomir Dębski***, dyrektor Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Czy te ostatnie porozumienia z Amerykanami powinny nas cieszyć? Politycy lubią odtrąbić sukces, ale może to tylko kampanijny piar?

Sławomir Dębski: Podpisanie deklaracji politycznej przez prezydentów Andrzeja Dudę i Donalda Trumpa to bez wątpienia jedno z największych osiągnięć polskiej polityki zagranicznej ostatniej dekady. Pamiętajmy, z jakiego poziomu startowaliśmy. 17 września 2009 r. prezydent Barack Obama wycofał się z polsko-amerykańskiego porozumienia budowy tarczy przeciwrakietowej w Polsce, zawartego raptem rok wcześniej za jego poprzednika George'a W. Busha. W Polsce, państwie wschodniej flanki NATO, stacjonowało 15 marines, którzy stanowili ochronę amerykańskiej ambasady.

Od tego czasu Polsce udało się skłonić Amerykanów do budowy bazy antyrakietowej w Redzikowie, innych sojuszników do wzmocnienia wschodniej flanki Sojuszu i rotacyjnej obecności wojsk NATO w regionie. Teraz dzięki zawartemu porozumieniu do 4,5 tys. amerykańskich żołnierzy dodanych zostanie kolejny tysiąc. Dziesięć lat temu było ich 15, wkrótce będzie 5,5 tys. Uważam, że to sukces.



I tak jak symbolicznie 17 września administracja Obamy wycofała się z tarczy antyrakietowej w ramach resetu z Rosją, tak teraz w związku z rosyjską agresją na Ukrainę Ameryka wysyła odmienny sygnał do Kremla?

Można także tak to oceniać. Ale za tymi amerykańskimi decyzjami kryją się lata i miesiące konsekwentnej polskiej polityki w Waszyngtonie, Brukseli, a w zasadzie na całym świecie. Warto to podkreślić w związku z nowym kontekstem polskich działań – zmienia się globalna polityka USA.

Co to znaczy?

Amerykanie zaczynają bardzo pragmatycznie podchodzić do swoich sojuszów i zaangażowania w świecie. Chiny uważają USA za swojego jedynego rywala stojącego na drodze do globalnej hegemonii. Hegemonii – przypomnijmy – o autorytarnym charakterze. Elity polityczne Waszyngtonu – zarówno republikanie, jak i demokraci – uważają, że za 10–15 lat może dojść do poważnych napięć z Pekinem. Kto wie, może jedynie do handlowej, a może nawet militarnej konfrontacji. W związku z tym zastanawiają się, jak wykorzystać w sposób najbardziej efektywny potencjał polityczny i wojskowy, aby zapewnić Amerykanom i wolnemu demokratycznemu światu przewagę nad autokratyzmem. W tych kalkulacjach pojawiają się pomysły, aby Ameryka „skróciła front" i wycofała się z zaangażowania w regionach, w których przyszłość Stanów Zjednoczonych nie będzie się decydować. Wśród tych regionów wymienia się Europę.

eprasa.pl 93ce4e52b2

Nie powinno nas to cieszyć.

Owszem. Nie leży w polskim interesie, by Amerykanie uznali, że warto zmniejszyć własne zaangażowanie w Europie. Dlatego Polska musi temu przeciwdziałać i wiązać Stany Zjednoczone ze sprawami europejskimi, choćby za pomocą takich porozumień, jakie podpisał z Trumpem prezydent Duda. Co więcej, taka polityka służy wzmacnianiu NATO i więzi transatlantyckich. Chcielibyśmy widzieć udział USA w bezpieczeństwie Europy jako pewnik, ale trzeba dostrzegać nowe wyzwania.

To zmiana z powodu podejścia Donalda Trumpa?

To błędne przekonanie. Niestety dość powszechne wśród europejskich liberalnych elit, które Trumpa po prostu nienawidzą z powodów politycznych. Tymczasem poważne i głębokie badania opinii publicznej w USA przeprowadzone przez Center for American Progress – a więc think-tank związany z lewym skrzydłem Partii Demokratycznej – wskazują, że zmienia się tam stosunek amerykańskiego społeczeństwa do zaangażowania w politykę globalną. Amerykanie są mniej chętni, aby brać odpowiedzialność za bezpieczeństwo na świecie, częściej kwestionują sens udziału Ameryki w sojuszach. Dlatego uważam, że polityka Trumpa jest sformatowana pod te nastroje. Każdy odpowiedzialny polski decydent musi tę sytuację uwzględniać i dążyć do wiązania interesów USA z interesami Polski, Europy i NATO.

Mamy takie narzędzia?

Widać, że polskie działania oparte są na szerszej strategii. Po pierwsze, zacieśniamy współpracę polityczną, wojskową, gospodarczą. Po drugie, przekonaliśmy Amerykanów, że Europa Środkowa jest obszarem nowej rywalizacji mocarstw, w tym Chin. I że jeśli nie poprą idei Trójmorza, to ich konkurenci nie będą się wahać, by budować tu własne polityczne i gospodarcze konstrukcje, jak chińskie 16+1. Po trzecie, gdy pojawiły się napięcia między USA a Francją, Niemcami i Wielką Brytanią na tle polityki wobec Bliskiego Wschodu weszliśmy w tę lukę. Chodzi o to, aby Amerykanie mieli poczucie, że jednak mają w Europie sojuszników, nawet gdy powstają kontrowersje w relacjach transatlantyckich.

Może jednak przepłacamy za to poczucie? Nie brakuje w Polsce głosów, że koszt, jaki ponosimy, jest niewspółmierny do efektów i konkretów.

Za armię się płaci, więc zawsze jest wybór: czy łożymy na armię własną i naszych sojuszników, czy płacimy okupantom? Każdy, kto myśli poważnie o polskiej polityce zagranicznej, musi odpowiedzieć sobie na pytanie, czy warto inwestować w relacje z USA. Jeżeli uważa, że nie, to trzeba zapytać: co w zamian? W jakim kierunku mamy iść z politycznymi inwestycjami? Może Niemcy? Francja? Chiny?

Ale nawet przekonani do współpracy z USA Polacy często irytują się bezczelnym lobbingiem amerykańskiej dyplomacji w sprawy ich interesów gospodarczych.



Mam na myśli słynny list pani ambasador Mosbacher np. w kwestii Ubera.

To prawda, ale z takimi listami mamy do czynienia na co dzień nie tylko ze strony ambasadorów USA, ale także Francji, Niemiec, Chin. To jest część obrotu dyplomatycznego, bo ambasadorowie są od tego, aby naciskać na rząd państwa przyjmującego w sprawie interesów swojego kraju. Mogą to oczywiście robić mniej lub bardziej sprawnie. Jeśli naciskają za mocno, muszą się liczyć z tym, że komuś ich korespondencja z teczki wypadnie i ich państwo będzie miało kłopot nie z rządem, lecz z opinią publiczną w Polsce.

Może jednak bardziej powinniśmy się koncentrować na współpracy z Francją i Niemcami?

To są bardzo ważni partnerzy i sojusznicy. Polityka zagraniczna nigdy nie jest jednak jednowymiarowa i nie polega na wkładaniu wszystkich jaj do jednego koszyka. Ale tak się akurat składa, że Europa ma problem w zakresie fundamentalnym z punktu widzenia Polski – czyli zdolności, które są potrzebne do zapewnienia bezpieczeństwa polskim obywatelom. Różnie bywa też ze świadomością. Byłem ostatnio w Austrii, gdzie ktoś mnie zapytał: „Po co Polska się zbroi?”. Odpowiedziałem, że Polacy chętnie zamieniliby

eprasa.pl 93ce4e52b2



Fot. Andrzej Wiktor

granicę z Królewcem na Alpy. Jestem narciarzem, wolę góry od Bałtyku z sinicami (śmiech). Ale jesteśmy państwem na wschodniej flance NATO i czy tego chcemy, czy nie, musimy dbać o bezpieczeństwo swoje i sojuszników. Niestety nie wybieraliśmy swojego położenia geograficznego.

Zostawmy USA. Do czego potrzebna jest nam dziś Unia Europejska?

Ogólnie rzecz ujmując, udział w integracji europejskiej jest instrumentem służącym pomnażaniu dobrobytu i bezpieczeństwa Polaków. I ten instrument dobrze Polakom służy, co pokazują badania opinii publicznej w sprawie oceny polskiego członkostwa w UE.

Ale trudno czasem te pozytywy dostrzec, gdy kolejne instytucje unijne biorą Polskę na warsztat, upominają w zakresie praworządności. Dlaczego tak się dzieje: troska, pretekst?

To złożony problem. Oczywiście co do zasady instytucje europejskie są powołane do tego, by harmonizować proces integracji i zapewniać równe warunki wszystkim jej uczestnikom. Natomiast sposób realizacji tego ogólnego celu budzi nieraz uzasadnione kontrowersje i wątpliwości,

> Byłem ostatnio w Austrii, gdzie ktoś mnie zapytał: „Po co Polska się zbroi?". Odpowiedziałem, że Polacy chętnie zamieniliby granicę z Królewcem na Alpy

czy aby na pewno instytucje traktują wszystkie kraje w ten sam sposób, czy nie próbują wzmocnić własnej politycznej pozycji – do której moim zdaniem nie powinny mieć prawa – kosztem państw członkowskich. Od tego jest właśnie polska polityka europejska, aby polskich interesów w integracji bronić – zarówno wobec innych państw członkowskich, jak i instytucji, Komisji Europejskiej, Parlamentu Europejskiego i Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości.

Jak tych interesów bronić, choćby w najbliższych miesiącach? Mamy np. rozgrywkę personalną o stanowiska unijne, jest perspektywa negocjacji nad budżetem.

Dla Polski najważniejsze są dwie rzeczy: sprawiedliwa Unia, a więc taka, w której Komisja nie uzurpuje sobie prawa do odgrywania roli politycznej i dominacji nad państwami członkowskimi w kwestiach polityki europejskiej, ale sprawnie realizuje funkcję strażnika traktatów i równych praw. Druga rzecz to perspektywa budżetowa UE na lata 2021–2027, która stworzy fundament pod rozwój Polski w tym czasie. Jeśli ten fundament będzie solidny, w perspektywie 10 lat, rozwijając się w tempie 4 proc. rocznie, Polska ma szansę stać się jednym z najbogatszych gospodarek Europy. Dlatego wszystkie inne sprawy lub wizje muszą zejść na dalszy plan. Dobrobyt Polaków jest kwestią priorytetową.

Ma pan bogate doświadczenia w kwestiach rosyjskich. Czy jest szansa, że Rosjanie oddadzą Polsce wrak samolotu Tu-154 jeszcze przed wyborami?

Powiedzmy sobie szczerze: po prawie dziesięciu latach prowadzenia przez Rosjan „śledztwa" to, że własność państwa polskiego, jaką jest wrak Tu-154, wciąż znajduje się w jakimś prowizorycznym namiocie pod Smoleńskiem, to skandal wpisujący się właściwie w tradycję grabieży polskiego dziedzictwa. Zwrot tego samolotu musi być bezwzględnym warunkiem wstępnym jakichkolwiek rozmów o gestach wobec strony rosyjskiej, na które ona zdaje się oczekiwać, np. w kontekście zbliżających się rocznic wybuchy II wojny światowej czy też wyzwolenia niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego Auschwitz. Państwo polskie nie może się o wrak prosić ani tym bardziej zgadzać się na jakieś transakcje. To jest sprawa fundamentalnych zasad wzajemnego szacunku. Jeśli Rosjanie chcą, aby ich w Polsce szanowano, muszą Polskę szanować.

eprasa.pl 93ce4e52b2

Polityka w warkoczykach

Taktyka wykorzystywania dzieci w politycznych kampaniach to znana i powszechna sztuczka, jednak ekologiczny protest 13-letniej Ingi Zasowskiej nie jest tylko antyrządową wrzutką, ale też znakiem nowej fali postpolityki



JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Gdy w piątek rano 21 czerwca dziewczynka z warkoczykami wsiadała ze swoją mamą do pociągu w Grodzisku Mazowieckim, by pojawić się pod Sejmem, jej zamiary nie były nowatorskie. Informacja o akcji szybko obiegła lewicowo-liberalne media, które pokazywały zdjęcia Ingi siedzącej przy ul. Wiejskiej i trzymającej kartonową tabliczkę z napisem: „Wakacyjny Strajk Klimatyczny". Portale naTemat.pl czy newsweek.pl, o „Gazecie Wyborczej" nie wspominając, ogłosiły dziewczynę bohaterką.

Sprawdzony schemat strajku nieletnich w trosce o losy Matki Ziemi jest starszy nawet niż dzisiejsze młodo-

Zdjęcie autora Tomasz Adamowicz



Fot. Andrzej Wiktor

ciane aktywistki. Najsłynniejszą żyjącą działaczką ekologiczną jest urodzona w 2003 r. Szwedka Greta Thunberg, która w sierpniu 2018 r. udała się pod siedzibę parlamentu swojego kraju, by zaprotestować przeciwko zmianom klimatycznym. Nieprzypadkowo internauci zestawiają zdjęcia obu działaczek, wskazując na podobieństwa fizjonomiczne (wiek, warkoczyki), ale i charakter kartonowego transparentu czy nawet – czcionki, jaką zostało napisane hasło. Czy również przypadkiem jest to, że obie dziewczyny podjęły się akcji przed wyborami parlamentarnymi w swoich krajach? To zagadnienie zostawmy do rozstrzygnięcia czytelnikom, ale warto wiedzieć, że głośna akcja Thunberg pomogła proekologicznej koalicji w Riksdagu utrzymać władzę.

Nikt nie krytykuje dziewczyn za przedsięwzięcie – komentatorzy nie chcą zranić młodych osób, które zapewne wierzą w swoją misję. Inga Zasowska przyznała jednemu z youtuberów, że boi się zmiany klimatu: „Boję się tego, co będzie za kilkanaście, kilkadziesiąt lat". „Większość polityków nic sobie z tego nie robi" – przekonuje z zakłopotaniem przed obiektywem kamery. Internauci szybko podchwycili wypowiedź, w której przyznaje, że źródłem – nieco powierzchownej – wiedzy dziewczyny jest jej mama, „która też się angażuje w ten temat, współpracuje z portalem naukaoklimacie.org". Patrycja Zasowska angażuje córkę i przekazuje jej postulaty ekologiczne nie od dziś. 15 marca i 27 kwietnia zabrała Ingę na demonstracje przeciwko ociepleniu klimatu, podczas których dziewczynka niosła kopię transparentu Grety Thunberg. Pani Zasowska współpracuje nie tylko z portalem naukaoklimacie.org – w ramach obrony Ziemi promuje także wegetarianizm. „Do wyhodowania 1 kg wołowiny potrzeba 15,5 tys. litrów wody – tyle, ile wypełnia niewielki basen" – przekonuje na jednym z portali społecznościowych. Opowiada się także przeciwko przekopowi Mierzei Wiślanej.

ZNOWU ANTYPIS

Protest Ingi zaczął się dzień po rozpoczęciu szczytu klimatycznego Unii Europejskiej w Brukseli, podczas którego premier Mateusz Morawiecki opowiedział się przeciwko zaostrzeniu ograniczeń w sprawie emisji CO_2 dla Polski. Wobec faktu, że to najsilniejsze gospodarki świata powodują największe zanieczyszczenia, rząd uznał, że to nie Polska powinna być w pierwszej kolejności obłożona ekologicznymi wymaganiami.

Jak na młodą osobę, jaką jest Inga, która ma prawo dłużej zastanawiać się nad reakcjami wobec złożonej polityki światowej, młoda Zasowska zareagowała niezwykle szybko – nic dziwnego, że tak wielu komentatorów podejrzewa inspirację ze strony matki dziewczynki. Premier Morawiecki na jednej z konferencji prasowych ustosunkował się do sprawy, mówiąc że on i protestująca są po tej samej stronie, ale wtedy opozycyjne media przedstawiły to jako konfrontację bezbronnej dziewczynki z potężnym (dorosłym) politykiem niszczącym Ziemię. I to już jest skrajna manipulacja, w której przeciwnicy obecnego rządu chowają się za 13-latką, by podtrzymać antypisowską kampanię.

MIT WSZECHWIEDZĄCYCH DZIECI

Istota takiej retoryki zakłada, że sympatie odbiorców musi wzbudzać nastolatka bojąca się zagłady, niechęć skierujemy zaś wobec polityków, którzy są groźni, starsi, są mężczyznami i nieraz podejmują złożoną grę o interesy dla swojego kraju. Narracja tego typu doskonale wpisuje się w postpolityczne nastroje społeczeństw Zachodu – przecież w tradycyjnych warunkach dziecko nie przekonałoby dorosłych, że dysponuje większą wiedzą o świecie niż wytrawni gracze na szczytach władzy. Dlatego protestujące dziewczynki są niejako córkami swojej epoki – budzą sympatię i współczucie, mogą przekonywać skuteczniej niż cała machina argumentów czy racja stanu.

INGA, GRETA, SAMANTHA, KATYA

Pierwszym głośnym przypadkiem, w którym nieletnia dziewczynka była przedstawiana jako mądrzejsza od polityków reszty świata, była 10-letnia (sic!) Amerykanka Samantha Smith. W grudniu 1982 r. dziecko napisało list do nowego I sekretarza Komunistycznej

eprasa.pl 93ce4e52b2

Partii Związku Sowieckiego Jurija Andropowa z gratulacjami za objęcie urzędu przywódcy ZSRS oraz z troską... o losy świata. „Martwię się, że Rosja i Stany Zjednoczone zmierzają do wojny atomowej" – pisała do szefa najbardziej zbrodniczego kraju świata. Samantha pytała wieloletniego kagiebistę, czy opowiada się za konfliktem nuklearnym, i przekonywała, że świat jest stworzony przez Boga, „by się nim dzielić i by o niego dbać". Jej krótka korespondencja wydaje się niewinna i pisana wręcz ewangelicznym językiem – dlaczego zatem przedrukował ją komunistyczny dziennik „Prawda", a Samanthę zaproszono do Sowietów i ogłoszono bohaterką?

Bo z dzieci najłatwiej zrobić narzędzie manipulacji, samemu wcześniej manipulując młodymi umysłami.

Jeśli bardzo młody człowiek wyraża swój autentyczny strach, trudno u dorosłych nie obudzić współczucia. Samancie Smith nikt nie wyjaśnił, że potencjał nuklearny, który USA rozbudowywały z takim impetem, miał być przeciwwagą dla arsenału komunistów, których zamiarem był totalny podbój świata. Jurij Andropow odpisał dziewczynce, wskazując, że Sowieci chcą się tylko bronić i nikt tak bardzo nie pragnie pokoju jak oni. Zważywszy że Andropow przygotowywał plan odprężenia z Zachodem, list od amerykańskiego dziecka był idealną okazją do wykorzystania w kampanii, która miała osłabić NATO.

Samantha, stając się ikoną ruchów rozbrojeniowych, de facto wspierała agresywną politykę Kremla, skoro media w USA wykorzystywały jej przykład do presji, by zmniejszyć potencjał atomowy Ameryki – bo przecież na armię sowiecką prasa wpłynąć nie mogła.

Samantha Smith doczekała się materiałów prasowych na swój temat, a po śmierci w tajemniczym wypadku samolotu pasażerskiego jej wizerunek trafił nawet na sowieckie znaczki pocztowe. Propaganda w Rosji brutalnie wykorzystywała przykład dziewczynki, oskarżając nawet USA o spowodowanie jej śmierci (skąd my to znamy?). Mało tego, Rosjanie postanowili wymyśleć Samanthę-bis. Wczesną wiosną 1986 r. w podróż po USA ruszyła 11-letnia Rosjanka Katya Lycheva, przekonując Amerykanów do pokojowych relacji z Sowietami. Nikt nie twierdzi, że dziewczynka była cyniczna, ale też nie ma wątpliwości, że była cynicznie wykorzystana przez administrację Gorbaczowa, który rozpoczynał dzieło transformacji ustrojowej zwanej pierestrojką.

Szlachetne myśli i marzenia dzieci dopiero w późniejszym wieku konfrontują się ze znacznie bardziej skomplikowaną rzeczywistością – polityczną i gospodarczą. Przecież nieprzypadkowo prawo głosu przyznaje się osobom, które ukończyły 18. rok życia – w logice lewicowych ruchów to jednak z prostolinijnych umysłów najmłodszych ma wypływać natchniona mądrość. Tak oto na bieżące potrzeby kampanii wyborczej można zamienić obrońców demokracji w obrońców... pajdokracji (gr. „rządy dzieci").

Ci, co myślą, że gorliwość dzieci sama z siebie kruszy mury rzeczywistości, nie chcą dostrzec osób, które za młodymi idealistami stają. Gdy ktoś zwraca uwagę, że Greta Thunberg jest wykorzystywana do celów lewicowych partii, natychmiast jest nazywany „zwolennikiem teorii spiskowych" („GQ Magazine") albo bezideowcem (Aditya Chakrabortty w „The Guardian").

GRETA-BIS NIE JEST SAMA

Szwedzka aktywistka stwierdziła na Twitterze, że Inga spotkała się w kraju z „niewyobrażalną ilością nienawiści". To kolejny dowód, że skandynawska nastolatka jest narzędziem manipulacji – wszak Zasowskiej nikt nie przeszkadza i już pierwszego dnia odwiedzili ją tacy politycy, jak Andrzej Halicki z Platformy Obywatelskiej i Marek Kossakowski z Zielonych. O napotkaniu „niewyobrażalnej ilości nienawiści" można mówić w przypadku modlących się w 2010 r. pod krzyżem na Krakowskim Przedmieściu katolików, za którymi nie ujmowali się międzynarodowi celebryci, a którzy byli dosłownie opluwani, popychani i wyszydzani na skalę nieznaną od czasów Gomułki.

> Opozycja podchwytuje każdy wyraz sprzeciwu wobec dobrej zmiany i stara się podtrzymywać permanentny protest – nauczycieli, środowisk LGBT, teraz młodej ekolog

Opozycja podchwytuje każdy wyraz sprzeciwu wobec dobrej zmiany i stara się podtrzymywać permanentny protest – nauczycieli, środowisk LGBT, teraz młodej ekolog – żeby nie dać swoim wyborcom odpocząć od przekonania, że kraj jest na krawędzi katastrofy. Taktyka na zmęczenie społeczeństwa konfliktami politycznymi, a zwłaszcza stworzeniem dychotomii: cyniczny politycy – poczciwi ludzie, sprawdziła się w 2007 r., gdy media przedstawiały strajk pielęgniarek jako spontaniczny i pozbawiony politycznego zaplecza. Białe miasteczko jako synonim pracowniczej niedoli stanęło przecież vis-à-vis potężnego rządowego gmachu – trudno więc o bardziej jaskrawy kontrast, jednak w Polsce został złamany monopol medialny lewej strony, więc kreowanie politycznej wojny domowej jest znacznie utrudnione.

Nietrudno dostrzec jeszcze jeden znak czasu. Patrząc na dziewczęta zyskujące sławę po jednym spacerze z kartonowym transparentem, można się zadumać nad poziomem społeczeństwa w XXI w., w którym tak niewiele trzeba, by zyskać miano młodocianych mędrców. Ludziom samotny protest z kartonowym transparentem przed gmachem demokratycznego Sejmu kojarzy się z heroizmem sprzeciwu wobec prawdziwych reżimów – dlatego przy odrobinie wiedzy historycznej będziemy potrafili odróżnić potrzebny protest przeciwko złu od wysługiwania się dziećmi w politycznej kampanii.

48/0619/F

eprasa.pl 93ce4e52b2

Włącz wygodę

Dołącz do **1 miliona** zadowolonych Klientów, załóż eBOK i zyskaj:



- Dostęp do faktur i salda rozliczeń na wyciągnięcie ręki
- Szybkie płatności online
- Wygodne podanie stanu licznika

→ JUŻ DZIŚ PRZEZ eBOK MOŻESZ ZAWRZEĆ UMOWĘ DOSTARCZANIA PALIWA GAZOWEGO **CAŁKOWICIE ONLINE**

pgnig.pl

PGNiG

eprasa.pl 93ce4e52b2

Nie ma zgody na europejskie superpaństwo

Najważniejsze decyzje muszą zapadać na forum Rady Europejskiej tworzonej przez premierów państw członkowskich. Komisja Europejska powinna być organem wykonującym te decyzje, a Parlament Europejski organem wspierającym. Bez tego nie może być mowy o zwiększeniu roli instytucji europejskich

Michał Karnowski rozmawia z Zoltánem Kovácsem, rzecznikiem rządu Węgier, sekretarzem stanu ds. komunikacji i stosunków międzynarodowych, członkiem urzędu gabinetu premiera Węgier

Wiele europejskich środowisk martwiących się o przyszłość swoich państw, narodów i Unii Europejskiej wyrażało duże oczekiwania przed wyborami do Parlamentu Europejskiego. I rzeczywiście, głos broniący Europy Ojczyzn, przeciwstawiający się superpaństwu, będzie wybrzmiewał mocniej. Ale dotychczasowy establishment próbuje ułożyć wszystko tak, by nic się w zasadzie nie zmieniło. Tak to widać z Polski – a jaka jest pana generalna ocena? Na ile nadzieje na zmianę się potwierdziły?

Zoltán Kovács: Oceniam, że jeśli chodzi o sposób działania europejskich instytucji, to zmiana jest nieunikniona. To nie może działać w taki sposób jak dotychczas. Zdarzyła się bowiem rzecz niedobra – Komisja Europejska, ale także Parlament Europejski, zaczęły postępować w sposób, który nie jest zapisany ani w traktatach unijnych, ani w innych dokumentach regulujących działania Unii. Musimy więc wrócić do modelu, który jest zgodny z zasadami Unii.

Jaki to model?

Najważniejsze decyzje muszą zapadać na forum Rady Europejskiej tworzonej przez premierów państw członkowskich, Komisja Europejska powinna być organem wykonującym te decyzje, a Parlament Europejski organem wspierającym. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że powrót do tych zasad będzie powodował konflikt z unijnymi federalistami, z siłami dążącymi do stworzenia superpaństwa. Ale jeżeli ktoś chce dzisiaj tak daleko wychodzić poza unijne traktaty, jeśli to w ich ramach jest możliwe, to powinny być one zmienione. Bez tego nie może być mowy o zwiększeniu roli instytucji europejskich. Podobnie jak nie będzie sprawnie działającego projektu unijnego, jeżeli poszczególne jego komponenty będą tak wyraźnie wychodziły poza to, co zapisano w traktatach. A zatem na to, na co zgodziły się państwa członkowskie.

Jak można dojść do tego celu? Zmieniając zasady funkcjonowania Unii, zwiększając kontrolę demokratyczną i państw narodowych – to jedna ścieżka. Inną drogą może być wymiana establishmentu. To w ogóle możliwe?

W kampanii mówiliśmy jasno, że naszym zdaniem unijny establisment powinien być zmieniony. Przede wszystkim z powodu jego postawy wobec kwestii masowej imigracji do Europy, postawy nieakceptowanej przez większość narodów, postawy nieskonsultowanej ze społeczeństwami. Poza tym z powodu jego federalistycznych projektów i działań w tym kierunku, które drastycznie wychodzą poza unijne traktaty, nie są zgodne z prawem ani duchem Unii.

Taka postawa spotkała się z ogromnym wsparciem Węgrów. Ugrupowanie Fidesz po raz kolejny odniosło wielki sukces. 26 maja poparło was ponad 50 proc. głosujących Węgrów. Co w pana opinii było najważniejszym czynnikiem dla wyborców: kwestie migracyjne, sprawy wewnętrzne, stan gospodarki, brak wiarygodnej alternatywy?

Rzeczywiście, niemal 53 proc. głosów oddanych na obóz Viktora Orbána jest bardzo jasnym sygnałem kolejnego odnowienia mandatu demokratycznego dla naszego obozu. To nastawienie Węgrów jest stałe, w przeszłości trzykrotnie otrzymywaliśmy poparcie dające w parlamencie większość konstytucyjną. Uważamy, że ten majowy wynik to przede wszystkim wyraz wsparcia dla tej polityki, którą rząd węgierski konsekwentnie prowadzi od 2010 r. zarówno w kwestiach wewnętrznych, gospodarczych, jak i wspomnianych już unijnych, migracyjnych. Ale zaraz, zaraz – w Polsce obóz Jarosława Kaczyńskiego również odniósł wielki sukces?

eprasa.pl 93ce4e52b2



Fot. Mat. prasowe

To prawda. Powyżej 45 proc. głosów.

Wypada za pośrednictwem pana gazety pogratulować. Nie ukrywam, że to był niespodziewany wynik, pozytywne zaskoczenie w kontekście poprzedzających głosowanie sondaży.

W pewnym sensie obserwowaliśmy u nas to samo, co stało się na Węgrzech podczas ostatnich wyborów parlamentarnych, niemal równo rok temu. Ogromna mobilizacja wyborców, która wydawała się promować lewicę i liberałów. Wiele mediów już wtedy świętowało klęskę Fideszu, ale okazało się, że to zwolennicy rządów premiera Orbána się zmobilizowali. W Polsce było podobnie. Co ważne, w tych wyborach europejskich w całej Europie frekwencja była niesamowicie wysoka. Jakby ludzie się przebudzali, jakby coś się ważnego zmieniło.

To prawda, coś się wyraźnie zmienia. Uważam, że z tej perspektywy to kraje Europy Środkowo-Wschodniej dały przykład, pokazały alternatywę, udowodniły, że można prowadzić inną politykę. Spójrzmy na dorobek Grupy Wyszehradzkiej: to jasny sygnał, przekonujący dowód, że cztery kraje, cztery rządzące partie mogą dla dobra swoich obywateli wypracować wspólne podejście do spraw kluczowych w Unii, w tym migracyjnych. Tego dorobku, tego sygnału dla całej Europy nie należy lekceważyć.

Jak można by nazwać ten sygnał?

Sądzę, że możemy mówić o powrocie suwerennościowego podejścia, o wzmocnieniu prawicowych i konserwatywnych sił politycznych w całej Europie. To sygnał w naszym regionie o tyle mocniejszy, że wypracowany przy ataku na nas prowadzonym z wielu stron, od wielkich zachodnich mediów, przez środowiska lewicowe i liberalne, które próbują dyktować, co ma się dziać w Europie Środkowej, zwłaszcza w Polsce i na Węgrzech.

Dominujący opis ekip rządzących w obu państwach sprowadza się do określenia „populiści". Jak pan je przyjmuje?

To sformułowanie niegodne użycia w stosunku do narodów, które tak jednoznacznie wskazują, jaka jest ich wola. To atak na decyzję wyborczą obywateli. To próba wymuszenia woli na narodach Europy Środkowej, które mają inne podejście do kilku kluczowych spraw.

Jakie jest źródło tej odrębności naszego regionu? Gdzie szukać przyczyn obawy przed stworzeniem superpaństwa? Może w historii? W końcu nasze narody doświadczyły mocno sytuacji podporządkowania, a nawet zniewolenia.

To ma ogromne znaczenie. Europa Środkowa doświadczyła w przeszłości w wielu obszarach tego, co nigdy nie było w takiej skali udziałem państw i społeczeństw zachodnich. Nigdy nie doświadczyły one z taką mocą, jak ważne jest zachowanie suwerenności, jak boli brak możliwości mówienia tego, co się myśli. Dziedzictwo historyczne naszego regionu nakazuje ostrożność przy próbach osłabiania państwowości i – co ciekawe – jest to silniejsze niż naturalne bieżące różnice choćby między państwami Grupy Wyszehradzkiej. Dlatego nie sądzę, by ktokolwiek w naszym regionie zgodził się kiedykolwiek, by Bruksela dyktowała, jak mamy kształtować nasze prawo, organizować nasze życie w obszarach nieobjętych traktatami unijnymi.

Tak, w naszym regionie przeszłość ma znaczenie, jest lekcją nie do zapomnienia. Dla Węgrów wyroki historii XX w. są do dziś, podobnie jak dla Polaków, szczególnie bolesne. Z uwagą obserwowałem niedawne (4 lipca) obchody Węgierskiego Dnia Jedności Narodowej, upamiętniające rocznicę traktatu z Trianon, który narzucony w 1920 r. oznaczał okrutne oderwanie wielu ziem rdzennie węgierskich. Ten ból wydaje się nadal niezałagodzony?

Jestem przekonany, że akurat Polakom nie trzeba tłumaczyć, co to znaczy, kiedy kraj jest podzielony, kiedy jest niemal unicestwiony. To stało się z Węgrami po I wojnie światowej. Z powodów politycznych i strategicznych ważne państwo historyczne, dobrze funkcjonujące, dobrze zasłużone w Europie zostało podzielone, jego części przekazane innym krajom, całe

eprasa.pl 93ce4e52b2

grupy ludności węgierskiej znalazły się w innych państwach. Głównym powodem tej decyzji był polityczny odwet na Królestwie Węgier. W pamięci o traktacie z Trianon ważne jest jednak nie tylko pokawałkowanie Węgier, ale i hipokryzja oraz podwójne standardy, jakie wobec mojego kraju wtedy zastosowano. To jest coś, czego ciągle, także teraz od czasu do czasu, ponownie doświadczamy w naszym regionie, szczególnie Węgry i Polska.

Często ze strony krytyków współczesnych Węgier pada pytanie – czy za pamięcią o Trianon nie idzie chęć zmiany granic w Europie?

To jeden z największych nonsensów, jakie zdarza się słyszeć o Węgrach. Mamy pełną świadomość, że żyjemy w ramach Unii Europejskiej, wierzymy w wartość, jaką daje swoboda przemieszczania się ludzi, świadczenia usług, handlu, inwestowania. Za tym idzie spadek znaczenia granic i Węgrzy doskonale to rozumieją, widzą w tym wielką wartość UE. To pozwala narodowi węgierskiemu czuć się wspólnotą, działać razem, bez względu na to, gdzie kto mieszka, bez naruszania interesów innych państw. Mówił o tym niedawno premier Viktor Orbán: chcemy, by narody wokół nas były zainteresowane współpracą z nami, chcemy wspólnych działań. Pracujemy dla naszego narodu, ale nigdy nie pracowaliśmy przeciw innym. Odwrotnie: szukamy okazji, by działać wspólnie tam, gdzie to możliwe. Warto też pamiętać, że w ostatnich latach zagrożenie dla granic w Unii nie przyszło ze strony któregokolwiek państwa Europy Środkowej, ale z Brukseli, która nie potrafiła podjąć koniecznych decyzji dla chronienia zewnętrznych granic naszej wspólnoty w czasie kryzysu migracyjnego.

Właśnie na tym tle doszło do napięć także w ramach Europejskiej Partii Ludowej, do której w Parlamencie Unii Europejskiej należy Fidesz. Chcecie zostać w tej frakcji czy z niej wyjść?

To zależy od tego, czy będziemy mogli realizować naszą wizję przyszłości Unii Europejskiej, a ona jest jasna: mocna współpraca między silnymi państwami, bez przekazywania więcej suwerenności do Brukseli niż to jest konieczne. To jest istota naszego podejścia. Ale to też konstrukcja naturalna dla Europy. Wszelkie próby budowania superpaństwa zderzą się z duchem kontynentu, z tym, czym zawsze on był, i mogą przynieść skutki odwrotne do zamierzonych. Dlatego decyzję o tym, do której grupy w PE należeć, podejmiemy sami, zależnie od oceny, co jest najlepsze dla Węgrów. Musimy przy tym pamiętać, że Unia zmienia się na naszych oczach, system polityczny jest pod presją obywateli. Nikt nie może powiedzieć, że wie, jak to będzie wyglądało za jakiś czas.

Zmieniają się także Stany Zjednoczone. Premier Orbán spotkał się z prezydentem Trumpem, który bardzo go pochwalił. „Fenomen, ikona, ktoś reprezentujący coś znacznie większego niż on sam" – powiedział. Myśli pan, że można mówić o jakimś podobieństwie między oboma politykami?

Na pewno podobne są ataki, jakie na nich spadają z zewnątrz, ataki w ogóle nieuwzględniające tego, jak duże mają osiągnięcia i jak silnym mandatem demokratycznym dysponują. Łączy ich też podejście do spraw takich jak masowa, nielegalna migracja, której obaj się sprzeciwiają. Ale oczywiście nie możemy sprowadzać wszystkiego do relacji personalnych, bo więzi łączące Węgry ze Stanami Zjednoczonymi są silne i trwałe.

Wściekłe ataki na środowiska konserwatywne to element typowy dla dzisiejszej Europy. Nieważne, ilu ludzi zagłosuje na listy prawicowe, może to być nawet ponad połowa, i tak dostęp tej grupy do mediów, uniwersytetów, kultury jest minimalny. Czy widzi pan jakąś szansę na zbudowanie bardziej zrównoważonego kształtu społeczeństw europejskich?

Na pewno potrzeba na to dużo czasu. Na pewno mamy do czynienia z niebezpiecznymi próbami wykluczenia poglądów, które nie są zgodne z liberalno-lewicową perspektywą. Coraz więcej ludzi dostrzega, że celem tych środowisk jest uzyskanie monopolu w przestrzeni publicznej. Musimy się temu przeciwstawić, musimy walczyć o prawo obecności w przestrzeni publicznej. Ale to jest zadanie nie tylko dla polityków.

Na Węgrzech udało się zmienić nieco tę sytuację? Fidesz rządzi już dziewięć lat.

Przez ten czas próbowaliśmy zbudować ramy, które uniemożliwiłyby tworzenie takich liberalno-lewicowych monopoli. Ale to nie jest łatwe, także ze względu na to, jak działania zmierzające do pluralizacji życia publicznego opisują media, jak działają instytucje europejskie, które same są stronnicze.

No i także ze względu na zasilanie strony lewicowo-liberalnej ogromnymi sumami, jakie napływają choćby od instytucji związanych z miliarderem i spekulantem Georgem Sorosem. Węgry doświadczają tego mocno, Polska zresztą też.

To problem związany nie tylko z Sorosem, ale wszystkimi nielegitymizowanymi w żaden sposób organizacjami i ośrodkami, które uzyskują ogromny wpływ na życie polityczne państw i społeczeństw. Bardzo często używają one przykrywek, udają społeczeństwo obywatelskie. Musimy umieć rozróżniać między prawdziwym społeczeństwem obywatelskim, bardzo ważnym, a tymi organizacjami, nie wiadomo przez kogo finansowanymi, mającymi ogromne ambicje, przypisującymi sobie prawo do walki z demokratycznie wybranymi rządami, coraz mocniej wkraczającymi na scenę polityczną. Nikt ich nie wybrał, nikogo nie reprezentują, a roszczą sobie prawo wpływania na decyzje demokratycznych parlamentów. To narastający problem całej Europy. Mamy prawo wiedzieć, kto to finansuje, jakie ma cele, dlaczego występuje w kamuflażu, zamiast stanąć otwarcie do demokratycznej walki. I jak pokazuje przykład Węgier i Polski, można się takim działaniom przeciwstawić.

eprasa.pl 93ce4e52b2

Pekin w Warszawie?

Chiński ekonomista Justin Yifu Lin uważa, że azjatycki model sukcesu można przenieść na polski grunt. Krytycy zarzucają mu propagowanie etatyzmu i protekcjonizmu



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Gdy Justin Yifu Lin – którego gospodarcza teoria, zwana nową ekonomią strukturalną, miała znacząco wpłynąć na kształt Strategii Odpowiedzialnego Rozwoju premiera Mateusza Morawieckiego – odchodził po czterech latach w 2012 r. z Banku Światowego – jak pisze pismo „Finance & Development" – wyliczono, jak się czyni przy takich okazjach, wszystkie jego osiągnięcia. Pierwszy Chińczyk tego pokolenia, który uzyskał doktorat na Uniwersytecie w Chicago (w 1986 r.), drugi obywatel Chin, który jeździł własnym, prywatnym samochodem po Pekinie, pierwszy główny ekonomista Banku Światowego pochodzący z kraju rozwijającego się, człowiek pragmatyczny i cierpliwy. Od owej pożegnalnej gali minęło już siedem lat, a wpływy Lina tylko wzrosły.

Wykładowca Uniwersytetu Pekińskiego, krytyk neoliberalizmu i konsensusu waszyngtońskiego, uchodzi dziś za jednego z głównych doradców prezydenta Chin Xi Jinpinga. Jego teoria rozwojowa, postulująca aktywną rolę państwa w gospodarce, jest promowana przez Bank Światowy. Lin jest także autorem wielu książek, m.in. o cudzie gospodarczym Chin („Chiński cud: strategia rozwoju i gospodarcze reformy"), fiskalnej decentralizacji, reformach sektorów prywatnego i publicznego oraz o możliwościach wyjścia z pułapki średniego rozwoju. Dla takich krajów jak choćby Polska, wzorując się na doświadczeniach Chin, Japonii czy Korei Południowej. To właśnie jego Mateusz Morawiecki wskazał jako wzór w wywiadzie dla „Polska The Times".

Sam Lin, który zdezerterował w latach 70. z tajwańskiej armii i uciekł do Chin, szczyci się tym, że już w latach 80. XX w. przewidział rozwój i wzrost potęgi Państwa Środka. W końcu nowe nazwisko, które przybrał po ucieczce z Tajwanu – urodził się w 1952 r. jako Lin Zhengyipo – Lin Yifu oznacza wytrwały człowiek.



Justin Yifu Lin

Zdjęcia Andrzej Wiktor

eprasa.pl 93ce4e52b2



BŁĘDY MAINSTREAMU

Nauka, którą wyciągnął z ostatnich dekad chińskiego rozwoju, ale także z sukcesów azjatyckich i południowoamerykańskich tygrysów, jest taka, że „trzeba wycisnąć, ile się da, z tego, co się ma". Zidentyfikować mocne strony gospodarki i zyskać dzięki temu „konkurencyjną przewagę". Kluczową rolę w tym procesie ma odgrywać państwo, wspierając (innowacyjne) branże przemysłu, i nie ingerując jednocześnie zasadniczo w mechanizm rynkowy. Jak stwierdził Lin w rozmowie z tygodnikiem „Sieci", w której wziął udział także prezes Pekao SA Michał Krupiński, nowa ekonomia strukturalna czerpie z doświadczeń nie tylko Chin, lecz wszystkich krajów, które odniosły sukces, jak Japonia, Korea i inne kraje Azji Wschodniej.

„Japonia chciała doścignąć Stany Zjednoczone po II wojnie światowej. Udało się to, ponieważ państwo pomogło sektorowi prywatnemu pokonać różnego rodzaju przeszkody. Nie chodzi więc o Chiny, lecz o sumę doświadczeń wszystkich krajów, które odbiły się od dna" – zaznaczył Lin. Według niego w latach 80. i 90. XX w., gdy kraje dawnego bloku sowieckiego przechodziły transformację z gospodarek planowych w rynkowe, większość z nich postawiła na wolny rynek. Wyłącznie. A to był jego zdaniem błąd. „Na szczęście Chiny nie zapomniały o roli państwa" – podkreślił.

Nowa ekonomia strukturalna ma być jednak także odpowiedzią na wady tradycyjnej ekonomii. „Ekonomiczny mainstream czerpie swoje wzorce z krajów bogatych, a wiemy przecież, że stosowalność gospodarczych modeli zależy od istniejących warunków, które w krajach rozwijających się są zupełnie inne. Choćby siła i struktura instytucji" – przekonuje. Według niego pomiędzy krajami rozwijającymi się istnieje także bardzo dużo różnic, szczególnie dotyczących potencjału gospodarczego. „Musimy zrozumieć strukturalne różnice i wynikające z nich konsekwencje dla roli państwa, rynków, sektora prywatnego. Także odnośnie do polityki monetarnej i fiskalnej. Chodzi o wygenerowanie wzrostu, a co za tym idzie dobrobytu" – dodał.

Według Michała Krupińskiego Chiny to „ogromna historia sukcesu", nie tylko pod względem wzrostu gospodarczego, ale także dlatego, że setki milionów ludzi dzięki temu zostało „wyciągniętych z biedy". „Wielkość klasy średniej Chin odpowiada dziś całej populacji Unii Europejskiej. […] Chiny prowadzą także w dziedzinę rewolucji przemysłowej 4.0, w tym w rozwoju sztucznej inteligencji" – podkreślił. Jak zaznaczył, „chiński model to w dużej mierze wynik nauk wyciągniętych z poprzednich modeli, choćby amerykańskiego, niemieckiego czy południowokoreańskiego". „Chyba wszyscy w międzyczasie zrozumieli, że aktywna rola państwa jest niezbędna dla gospodarczego sukcesu" – dodał prezes Pekao SA.

BUDOWAĆ PRZEWAGĘ

Jego zdaniem państwo polskie powinno więc inwestować więcej w technologie, inwestycje ze strony sektora prywatnego są bowiem daleko niewystarczające. „Nie muszą one tworzyć wielu miejsc pracy. Przez lata przy każdej inwestycji zastanawiano się, ile miejsc pracy ona stwo-

eprasa.pl 93ce4e52b2



rzy. To się zmieniło. Dziś w Polsce brakuje rąk do pracy. Musimy się skupić na inwestycjach w technologię i innowacje, w klastery i huby. Powinniśmy także stymulować wzrost, tworzyć międzynarodowe korporacje, opracować skuteczną politykę przemysłową oraz eksportować kapitał. Musimy być bardziej aktywni międzynarodowo" – zaznaczył Krupiński.

Według Justina Lina polityka gospodarcza Polski w ciągu ostatnich trzech lat „była wyjątkowa", dlatego Polska nie została dotknięta przez już wyraźnie odczuwalną, choćby u naszych niemieckich sąsiadów, stagnację. „Wiele europejskich krajów boryka się ze stagnacją i bezrobociem. Polska prowadzi w Unii pod względem wzrostu. Przez długi czas młodzi, uzdolnieni ludzie wyjeżdżali z Polski, dziś wracają i będzie ich wracać coraz więcej. To największy sukces Polski na przestrzeni ostatnich 200 lat. Przyciągacie także siłę roboczą z innych krajów" – argumentował prof. Lin. Według niego polskie państwo na przestrzeni ostatnich 30 lat transformacji wspierało gospodarkę, zachowując kluczowe sektory w państwowych rękach, podczas gdy inne kraje regionu postawiły na prywatyzację. „To uczyniło polską gospodarkę bardziej odporną. To samo zrobiły Chiny. Tyle że chiński rząd był bardziej proaktywny w rozwijaniu przemysłu. Poprzedni rząd (PO-PSL – red.) niewiele zrobił dla gospodarki. Zabrakło miejsc pracy dla młodych Polaków. Rząd PiS stworzył odpowiedzialny plan rozwoju wycelowany w sektory o dużym potencjale konkurencyjności, podczas gdy inne kraje regionu pozostały pod wpływem neoliberalnych idei, regulując wyłącznie służbę zdrowia i edukację. Wolny rynek jest oczywiście bardzo ważny dla procesu gospodarczego rozwoju. Dostarcza konkurencję i zachętę do pracy. Jednocześnie proces ten wymaga ciągłego unowocześnienia przemysłu. Kiedyś potrzebny był pracochłonny przemysł, bo potrzebne były miejsca pracy. Dziś jest inaczej. Konieczne jest przejście na przemysł 4.0. Przemysł wysokiej technologii. To szansa. Musicie zidentyfikować przeszkody na tej drodze. Czasami jest to brak wiedzy, czasami brak środków finansowych. Usunięcie tych przeszkód to zadanie dla państwa" – podkreślił ekonomista.

> Teoria chińskiego ekonomisty miała znacząco wpłynąć na kształt Strategii Odpowiedzialnego Rozwoju premiera Morawieckiego

Według niego Polska musi stworzyć nowe gałęzie gospodarki napędzające wzrost. „W tym celu państwo musi współpracować z rynkami, z sektorem prywatnym" – przekonywał Justin Lin.

Według Michała Krupińskiego inwestycje w technologie są kosztowne. „Jeśli komuś się wydaje, że może zainwestować 3 mld dol. w polskie technologie i będzie miał hub, to się bardzo myli. Trzeba zainwestować co najmniej 50 mld dol., by mieć czempionów. By tak się stało, potrzebne jest wsparcie państwa, globalnych inwestorów. Trzeba wybrać „zwycięzców", branże najbardziej konkurencyjne. Mamy kilka takich jednorożców w Polsce – Allegro jest tu dobrym przykładem. Albo CD Projekt, w ogóle cały sektor gamingowy, w którym Polska się zresztą specjalizuje" – wyjaśnił prezes Pekao SA. Wtórował mu Justin Lin. „Potrzebujecie narodowych czempionów, firm rozpoznawalnych na całym świecie. Globalnych graczy" – mówił.

KONKUROWAĆ, ALE CZYM?

Jakie szanse ma jednak Polska, kraj średniej wielkości, w ostrym wyścigu o nowe technologie, z takimi potęgami jak Chiny, Niemcy czy USA? Zdaniem prof. Lina odpowiedzią na to pytanie jest kapitał ludzki, rozwój sztucznej inteligencji opiera się bowiem właśnie na nim. „Nie jesteście numerem jeden na świecie, ale jakość waszego kapitału ludzkiego, poziom waszych informatyków daje wam konkurencyjną przewagę. Powinniście ją rozbudować. W tym celu będziecie potrzebowali centrów inkubacji. Mogą je stworzyć uczelnie, ale także rząd. Powinniście mieć także wystarczające fundusze na start-upy, na spółki podwyższonego ryzyka kapitałowego (venture capital). Nie możecie i nie powinniście czekać, aż ktoś inny coś wymyśli, a potem wam to łaskawie przekaże" – stwierdził ekonomista w rozmowie z tygodnikiem „Sieci".

Krytycy zarzucają Justinowi Linowi, że nowa ekonomia strukturalna wymaga od państwa, by było w stanie przewidzieć, które branże w przyszłości będą innowacyjne i sprawdzą się na rynku. To jednak nie zawsze jest możliwe, tymczasem rozwój technologiczny postępuje w bardzo szybkim tempie. Co dziś jest innowacyjne, przestaje takie być jutro. A interesy wewnątrz państwa potrafią być sprzeczne. Tak japońskie ministerstwo handlu i przemysłu usiłowało w przeszłości zablokować ekspansję Hondy, która chciała przejść od produkcji motocykli do samochodów, bo uznało, że rynek jest już nasycony. Podobnie było z planami eksportowymi japońskich producentów aut. Dla krytyków nowa ekonomia strukturalna to więc nic innego, jak mariaż miękkiego protekcjonizmu (państwo chroni najbardziej konkurencyjne branże) i etatyzmu. Model, który dobrze sprawdził się w Chinach i innych krajach Azji, ale niekoniecznie sprawdzi się na Zachodzie. Jak będzie w przypadku Polski, czas pokaże.

eprasa.pl 93ce4e52b2



Ź jak źródła (informacji dziennikarza)

Dr Hanna Karp, medioznawca

Dawno nie czytałam tak podle wysmażonego „reportażu". Może stanowić doskonały wzorzec tego, jak nie wolno i nie należy uprawiać dziennikarstwa. „Newsweek" – polskie wydanie, jeden z najbardziej opiniotwórczych i bogatych tygodników na polskim rynku prasy. Pismo z aspiracjami i równie potężnym kapitałem szwajcarsko-niemieckim oraz jego szefem, gwiazdą dziennikarstwa, wcześniej telewizyjnego, teraz już tylko prasowego. Ale wciąż z niegasnącymi ambicjami i żądzą kreowania wzorców dziennikarstwa. Redaktor z poczuciem wyjątkowości, nieomylności i misją oświecania tych, którzy chcą go choć przez minutę słuchać. Ma zresztą okazję ku temu – w każdy piątek, w porannym paśmie jednej z komercyjnych radiowych stacji, związanych kapitałowo z Agorą, tygodnikiem „Polityka" i Fundacją Batorego.

DWUNASTU INFORMATORÓW

Kończę lekturę tekstu i nachodzą mnie czarne myśli nad upadkiem przede wszystkim dziennikarskiego rzemiosła. Okładkowy, pięciokolumnowy artykuł jest o red. Danucie Holeckiej, kierującej od 1 maja br. głównym wydaniem „Wiadomości" TVP 1. Z artykułu wynika, że autorka tekstu korzystała z co najmniej – bagatela – 12 dziennikarskich źródeł informacji. Jakich? Wymieńmy je, tak jak zostały w tekście przedstawione i kolejno pojawiają się: 1. Znajoma dziennikarka (Danuty Holeckiej), 2. Była koleżanka (Danuty Holeckiej), 3. Wydawca z TVP Info, 4. Polityk PSL Janusz Piechociński, 5. Były pracownik TVP, 6. Znajomy z dawnych lat, 7. Dziennikarki z prasy kobiecej, 8. Młody dziennikarz z TVP (wcześniej stacja komercyjna), 9. Jeden z dziennikarzy w „Wiadomościach", 10. Jeden z kolegów (Danuty Holeckiej), 11. „Inni" przy pl. Powstańców, 12. Katarzyna Lubnauer, polityk partii Nowoczesna.

Większość informatorów, jak wynika z tekstu, miała okazję spotkać się z bohaterką reportażu służbowo. I jako tacy zapewne, mniej lub bardziej przypadkowo, mogli jej się jakoś przyglądać, przysłuchiwać lub ją obserwować. I wiedzą tak uzyskaną dzielą się z autorką reportażu. Żaden z informatorów nie zdecydował się ujawnić. Pod nazwiskami występują tylko politycy. Reszta to – można powiedzieć – donosy. Tak bowiem się je upublicznia – anonimowo. Wszystkie opisy stawiają

eprasa.pl 93ce4e52b2

redaktor w kompromitującym, prześmiewczym, negatywnym lub bardzo negatywnym świetle. I wiele z nich wygląda na takie, które mógłby właściwie wymyślić przy biurku dziennikarski stażysta. A jedyne wypowiedzi wymagające zadania sobie trudu, choćby zdobycia numeru telefonu, nagrania wypowiedzi i opracowania ich, to opinie polityków.

ŹRÓDŁA ZASTANE I WYWOŁANE

Już początkujący adept dziennikarstwa wie, że istnieją zasadniczo dwa rodzaje dziennikarskich źródeł informacji: zastane i wywołane. Te, które prezentuje autorka artykułu, mają wyglądać na wywołane, a więc zdobyte jako autorskie wiadomości. Jednak, jak wspomniano, tu wszystkie są anonimowe i praktycznie nie mogą być w żaden sposób zweryfikowane. Oczywiście dziennikarz ma prawo do trzymania w tajemnicy swoich informatorów. Jeśli jednak cała zawartość i konstrukcja artykułu opierają się wyłącznie na takich „źródłach", to materiał zbudowany choćby i z 50 takich wypowiedzi zmienia się w jednoźródłowy. I takie „dzieło" nadaje się tylko do kosza. Żadna poważna ani niepoważna redakcja nie powinna tego publikować. Tym bardziej redakcja zarzucająca wcześniej opisywanej postaci propagandę i manipulacje w „fabryce kłamstw" (czyli w „Wiadomościach" TVP). Tym razem redaktorzy na okładce zapowiadają opis tego: „Jak niezbyt zdolna dziennikarka, która jest twarzą i szefową »Wiadomości« TVP, zabiega o karierę, sławę i względy polityków".

DZIENNIKARSTWO JAKO ZBIERANIE STARYCH PLOTEK

Podstawowa zasada każdego adepta dziennikarstwa brzmi – przedstawić przynajmniej dwa źródła informacji. Owszem w tekście występuje 12 informatorów, ale z wyjątkiem jednego wszyscy brzmią jak jeden głos. Są wrodzy, niechętni. Pochodzą od dawnych koleżanek i współpracowników bohaterki. W tej sytuacji tekst powinien mieć raczej tytuł: „Jak redaktor Holecką oceniają dawne koleżanki i dawni znajomi z pracy?". Natomiast w sytuacji tego reportażu – sylwetki, cały materiał domaga się uzupełnienia o wypowiedzi przede wszystkim aktualnych pracowników, współpracowników red. Holeckiej. Chyba że dziennikarstwo traktujemy nie jako opis rzeczywistości, a jedynie jako zbieranie złośliwych (starych) plotek. Oczywiście nie znaczy to, że autorka reportażu nie może prezentować ocen swojej bohaterki. Nawet skrajnie jej nieżyczliwych. Ale jeśli tak, to czytelnikowi musi być bardzo wyraźnie podane ich uzasadnienie.

Z POZIOMU MAGLA – DO REPORTAŻY „LOVE"

Okazuje się jednak, że autorka „Newsweeka" tych banalnych zasad dziennikarstwa nie zna, podobnie redakcja na czele z redaktorem naczelnym. Czym skutkuje ten rodzaj zawodowej ignorancji? Artykuł „Królowa »Wiadomości«" nie poszerza świata informacji czytelnika, ale odbiera dobre imię bohaterce reportażu. Buduje niechęć czy wręcz pogardę wobec niej. Wypełnia, moim zdaniem, znamiona paszkwilu, dyskredytacji, wręcz nagonki. W najlepszym wypadku przedstawia opisywaną postać na poziomie magla – anonimowych pomówień i plotek. Wszystko byłoby może nawet niewarte uwagi, poza tym, że mamy do czynienia – według mnie – z napaścią na osobę wykonującą zawód publicznego zaufania. Jest to pięciokolumnowa konstrukcja insynuacji ośmieszających i dezawuujących niemal w każdym zdaniu postać bohaterki reportażu.

Już pierwszy nagłówek otwierający cały artykuł o treści: „TVP to dla Danuty Holeckiej element tożsamości i dowód na jej wysoki status społeczny. Bez »Wiadomości« czuje się nikim, dlatego zrobi wszystko, żeby się w nich utrzymać", wskazuje, iż autorka artykułu ma zdolności wręcz przenikania umysłu swojej bohaterki. Więcej. Czyta myśli, zna plany, marzenia i najbliższe postanowienia „babci Danusi", „telewizyjnego Kopciuszka", „pani z okienka", „protegowanej", „znajomej Kury", „z tylnego szeregu", „reliktu epoki". I to – jak wynika z artykułu – bez minuty rozmowy z nią. Jest to dosyć dziwne, gdyż już z pobieżnego poszukiwania w internecie okazuje się, iż autorka artykułu jest dziennikarką doświadczoną. Od 25 lat w zawodzie, pracowała w tygodnikach regionalnych, dziennikach i tabloidzie „Super Express". Ostatnio związana z tygodnikiem „Polityka", w 2016 r. zaś ukazał się zbiór jej reportaży o miłości pod tytułem „Love".

LITOŚCIWIE POTRAKTOWANA?

Chętnie poznałabym opinie profesorów medioznawców, co sądzą o takich pismach, gdzie autor tekstu snuje się śladami swojego bohatera, na swój sposób inwigiluje, zbiera plotki, a potem publikuje, co usłyszał. Nie wspomnę już o tym, że rodzina bohaterki – w tym wypadku mąż i synowie – jako osoby niepubliczne mają prawo do zachowania pełnej prywatności. W publikacji to ich prawo, według mnie, zostało naruszone. Gdyby red. Danuta Holecka miała w rodzinie osoby chore, chrome lub niepełnosprawne, one także zostałyby z detalami opisane? Na szczęście bohaterka reportażu niewiele zwierzała się w pracy. Była za to bacznie i nieżyczliwie obserwowana. Jednak na łamach obserwacje te brzmią żałośnie i miałko.

Dziś „Królowa »Wiadomości«" patrzy z ekranu czarno-białego telewizora, zaciskając zęby, podpisana przez redakcję jako „Gotowa na wszystko". Wcześniej, w lipcu 2016 r., na okładce, obok kolegów dziennikarzy, ubrana została w mundur wojskowy i zaprezentowana jako dziennikarka czytająca wiadomości w okresie stanu wojennego (sic!). Szefowa „Wiadomości" i tak jest szczęściarą. Na tle polityków Prawa i Sprawiedliwości została potraktowana ulgowo. Mógłby ją spotkać los o niebo gorszy. Inni negatywni bohaterowie „Newsweeka" (a zawsze są to politycy związani z prezesem PiS) nie spotkali się z taką łaskawością wydawcy Axel Springer. Na przykład Jarosław Kaczyński już w 2015 r. został na okładce uśmiercony, a jego martwa twarz zaprezentowana w formie odlewu pośmiertnej rozbitej maski. Pani redaktor, wygląda na to, że wszystko jeszcze przed panią.

eprasa.pl 93ce4e52b2

De-Beściak

Adrian Beściak z Rzeszowa co roku pokonuje na wózku inwalidzkim setki, a nawet tysiące kilometrów, by zebrać pieniądze na pomoc niepełnosprawnym. On i inni zaprzyjaźnieni z nim wolontariusze robią to po prostu z serca. Efekty są imponujące



JAROMIR KWIATKOWSKI



Fot. z archiwum autora (x5)

Dobro zawsze wraca i zmienia wszystkich, którzy się w jego rozprzestrzenianie angażują. Doświadcza tego Adrian Beściak, 24-letni rzeszowianin na wózku inwalidzkim, który kilka lat temu zainicjował The Best Trips – podróże, podczas których, poruszając się na wózku, zachęca napotkanych ludzi do finansowego wsparcia wybranej przez siebie osoby niepełnosprawnej. Udało mu się skupić wokół siebie grono zapaleńców, z którymi w ub. roku założył stowarzyszenie The Best Life. – Chyba zaraziłem ich „narkotykiem pomagania". Chcą coraz więcej i więcej, i robią to z serca – podkreśla Adrian.

WYPADEK

Od szóstego roku życia trenował sporty walki. – Jako dziecko miałem bardzo dużo energii, więc rodzice zapisali mnie na treningi. Bardzo mi się tam spodobało – wspomina.

Okazało się, że ma do tego wielki dryg. Już jako dziewięciolatek został wicemistrzem Europy młodzików w synchron kata (startował w zespole trzyosobowym). – Z każdych zawodów wracałem z medalem – podkreśla. – Zdobyłem dwa tytuły mistrza świata, siedem tytułów mistrza Europy, byłem też dziewięciokrotnym mistrzem Polski młodzików w kick-boxingu i mieszanych sztukach walki.

Adrian podkreśla, że ta sportowa pasja wyrobiła w nim wolę walki. Nie tylko na macie, lecz i w życiu. To mu się później bardzo przydało, zwłaszcza gdy po wypadku na motorowerze trafił na wózek inwalidzki.

Do wypadku doszło w Rzeszowie 3 czerwca 2011 r. Adrian kończył akurat trzecią klasę gimnazjum.

– Po latach mówię otwarcie, że to było na szkolnych wagarach – opowiada. – Jechałem jako pasażer z kolegą na motorowerze. Wypadliśmy z zakrętu, ale nie z powodu brawury kierowcy, lecz dlatego że... zauważyłem nauczycielkę, z której lekcji uciekliśmy. Klepnąłem kolegę delikatnie w ramię, on się odwrócił, a zrobił to akurat w momencie, kiedy wchodził w zakręt. Lekko wyprostował kierownicę, a zaraz za chodnikiem było ogrodzenie z betonowym murkiem. On uderzył motorowerem w siatkę, a ja poleciałem głową w dół i uderzyłem kręgosłupem w kant murka. Kiedy się ocknąłem na chodniku, nic mnie nie bolało. Chciałem wstać, ruszyłem się i... było tak, jakby mi ktoś wyłączył prąd.

Obrażenia, jakich doznał Adrian, były bardzo poważne. Najpoważniejszy to uraz kręgosłupa na odcinku piersiowym DH4. – Takie złamanie „wybuchowe". Kręgosłup był wygięty do przodu o 45 stopni i tak jakby spadł w dół o dwa kręgi.

eprasa.pl 93ce4e52b2





Jeden kręg został zmiażdżony, do tego doszło kilka kręgów połamanych w górę i w dół. Na wysokości DH4 nastąpiło przerwanie rdzenia kręgowego, przez co od klatki piersiowej do stóp nie mam czucia ani władzy w mięśniach. I jeszcze złamanie podstawy czaszki, połamane żebra i ręka, dużo wewnętrznych urazów, odma płucna – wylicza Adrian.

Miał szczęście, że wypadek zdarzył się blisko szpitala wojewódzkiego przy ul. Lwowskiej. Dzięki temu w ciągu niespełna godziny trafił na stół operacyjny. Lekarze przez trzy dni walczyli o jego życie. Później było długotrwałe leczenie i rehabilitacja.

– Lekarz powiedział, że nie będę nawet siedział. To było megafajne uczucie – zobaczyć jego minę, gdy podjechałem do niego na wózku na szpitalnym korytarzu – wspomina Adrian. I dodaje: – Miałem dużo szczęścia, bo DH4 jest blisko serca. Także dlatego, że przy złamaniu podstawy czaszki nie uszkodziłem bardzo mózgu.

Spędził w szpitalu wakacje; wyszedł po ponad trzech miesiącach, 7 września. W tym czasie mama przebudowała stary dom, postawiony jeszcze przez dziadka, by mogła w nim zamieszkać osoba na wózku inwalidzkim.

Mama to dla Adriana ktoś wyjątkowy, nie tylko dlatego, że jest mamą. – Po wypadku była cały czas przy mnie, przez pierwsze dni 24 godziny na dobę – opowiada Adrian. – Widziałem, że ta sytuacja ją zdołowała, ale nie roztkliwiała się nade mną, nie próbowała zagłaskać mnie na śmierć, lecz potrafiła zacisnąć zęby i zmotywować mnie do tego, żebym się rehabilitował i w domu nikim się nie wyręczał. To bardzo ważne, bo nadmierna troskliwość rodziny do niczego dobrego nie prowadzi. Człowiek bardzo szybko przyzwyczaja się do komfortu, do tego, że ma wszystko podane pod nos. To nie motywuje do działania.

Dobrze pamięta pierwszą jednodniową przepustkę ze szpitala. – Poprosiłem mamę, żeby mnie nie zabierała do domu, tylko do największej galerii handlowej w naszym mieście – wspomina rzeszowianin. – Ale nie po to, że chciałem sobie coś kupić, lecz żeby zobaczyć, jak wygląda świat z perspektywy wózka inwalidzkiego, kiedy ludzie się na ciebie patrzą. Założyłem sobie, że jeżeli popatrzy na mnie ładna kobieta, to się uśmiechnę i puszczę buziaka, a jeżeli mężczyzna – puszczę oko i też się uśmiechnę. I tak zrobiłem. Wtedy to ja byłem górą, a oni się peszyli.

Adrian przyznaje, że w stosunku społeczeństwa do osób niepełnosprawnych wiele się zmieniło nie tylko od czasów PRL, lecz także przez osiem lat, jakie upłynęły od jego wypadku. – Jednak w porównaniu z zagranicą nadal jeszcze jesteśmy zaściankiem, jeżeli chodzi o mentalność, bariery architektoniczne – podkreśla. – Młodzi ludzie są na osoby na wózkach bardzo otwarci i nigdy nie odczuwałem żadnej bariery między nami. Ze starszymi różnie bywa.



W pierwszej klasie liceum Adrian miał nauczanie indywidualne. Do szkoły poszedł od drugiej klasy. – Dyrektor tak ustawił plan godzin, że moja klasa miała wszystkie lekcje na parterze, a kiedy miałem informatykę w drugim skrzydle szkoły, to dyrektor zgodził się na to, abyśmy – ja i dwóch moich kolegów – byli zwalniani z poprzedniej lekcji 10–15 minut wcześniej po to, by oni pomogli mi się przemieścić do pracowni informatycznej.

THE BEST TRIP

Adrian został beneficjentem Fundacji Aktywnej Rehabilitacji (FAR). Tam, jak podkreśla, nauczył się życia na wózku – począwszy od techniki jazdy po wiedzę na temat, jakie dyscypliny sportu można uprawiać. Został także skierowany na szkolenie dla instruktorów, po którym rozpoczął pracę w fundacji i sam szkolił beneficjentów.

– Zorganizowałem kilkanaście obozów dla dzieci, młodzieży i osób starszych po urazach – wylicza. – Najlepiej czułem się w roli instruktora techniki jazdy na wózku albo dyscyplin sportowych. Prowadziłem też wykłady, jak dobrać wózek oraz jak rozwiązać różnorakie problemy, z jakimi spotyka się na co dzień osoba na wózku.

Po wypadku starał się też znaleźć taką dyscyplinę sportu, która zastąpiłaby mu sztuki walki. Na początku była to koszykówka. Potem pod okiem Rafała Wilka, byłego żużlowca, po wypadku na torze poruszającego się na wózku, trzykrotnego mistrza paraolimpijskiego w hand bike'u, trenował kolarstwo. Zaczął się zastanawiać, jak połączyć obie pasje: sportową i związaną z pomocą potrzebującym, która – jak podkreśla – dzięki pracy w fundacji stała się jego „narkotykiem".

– Powiedziałem kumplowi, że chciałbym przejechać na wózku w ciągu tygodnia z Krakowa do Warszawy – wspomina. – On stwierdził, że to niewykonalne. We wrześniu 2014 r. przejechałem w siedem dni 500-kilometrową trasę Rzeszów–Kraków–Warszawa.

Podróż zrealizował z pomocą kilku znajomych. Celem było zebranie pieniędzy na rehabilitację pięcioletniego Krystiana spod Sanoka. – Udało nam się wtedy zebrać w tydzień ponad 5 tys. zł – wspomina Adrian.

eprasa.pl 93ce4e52b2



Kiedy z grupką wolontariuszy przekonali się, że „się da", postanowili ten pomysł kontynuować w kolejnych latach. Tak powstała akcja The Best Trip „W drogę po pomoc".

Rok później Adrian przejechał w ciągu 12 dni 600 km. Dzięki tej podróży udało się zebrać 26 tys. zł dla Kuby z Brzostka w powiecie dębickim na Podkarpaciu, u którego zdiagnozowano m.in. otwartą przepuklinę oponowo-rdzeniową, wodogłowie i porażenie kończyn dolnych.

– Celem zbiórki była pomoc jego rodzinie w dokończeniu budowy domu, w którym chłopak mógłby normalnie mieszkać – podkreśla Adrian. – Wcześniej mieszkali w starym, walącym się drewnianym domu, tam nie było nawet łazienki. Tata Kuby budował nowy dom od dziesięciu lat i był on w stanie surowym półotwartym. Kwota, którą uzbieraliśmy, pomogła zapewnić ekipę, która kończy budowę. Wiem, że Kuba z rodziną już mieszkają w nowym domu. Nie jest on jeszcze w 100 proc. wykończony, ale już się nadaje do zamieszkania.

Adrian podkreśla, że najlepszy „trip", jaki do tej pory zrealizował, to ten z 2016 r. Była to podróż „z Rzeszowa do Rzeszowa". Tyle że... dookoła Polski. W ciągu 54 dni przejechał na wózku ponad 2,3 tys. km. Celem była pomoc Karolince z Narola, chorej na przepuklinę oponowo-rdzeniową. Udało się zebrać 38 tys. zł.

– Jestem pewien, że mieliśmy duży wpływ na to, jak Karolinka funkcjonuje dziś – podkreśla Adrian. – Jeździ na rehabilitację, ma nowy sprzęt. Jej tato spadł ze schodów, doznał urazu mózgowo-czaszkowego i też porusza się na wózku. Te pieniądze pomogły rodzinie odnaleźć się w nowej dla niej sytuacji.

Adrian zaznacza, że osoby zaangażowane w akcję dbają o to, by pieniądze nie przechodziły przez ich ręce. Po to, żeby nikt im nie zarzucił, iż czerpią z tego jakieś profity. Krystiana, Kubę i Karolinę, beneficjentów akcji z pierwszych trzech latach, Adrian znał z FAR – cała trójka była podopiecznymi tej fundacji. Pracował z nimi, znał ich sytuację materialną i zdrowotną. Każde z dzieci miało swoje subkonto na koncie jakiejś fundacji charytatywnej, np. Avalon czy Zdążyć z Pomocą. W czasie „tripu" Adrian z wolontariuszami reklamowali to subkonto. Wieźli też puszkę do kwesty pieniężnej, która była organizowana także na starcie i mecie „tripu". Akcję starali się nagłaśniać w mediach społecznościowych, docierali także do mediów ogólnopolskich i regionalnych.

W 2017 r. Adrian zamierzał pokonać trasę ze Szwecji przez Danię i Niemcy do Polski. Ale miesiąc przed wyprawą pękł mu wyrostek robaczkowy i lekarze zabronili takiej podróży. Z gronem najbliższych współpracowników zdecydowali, że nie będą przerywać akcji. Wpadli na pomysł, że na skwerze przed galerią Millenium Hall w Rzeszowie zorganizują The Best Festiwal – koncert charytatywny o tyle nietypowy, że hiphopowy. W ciągu jednego wieczora udało się zebrać 8 tys. zł dla podopiecznych Podkarpackiego Hospicjum dla Dzieci.

Rok temu z kilkoma przyjaciółmi Adrian założył stowarzyszenie The Best Life i został jego prezesem. Stowarzyszenie zorganizowało ubiegłoroczną edycję The Best Trip. Wpadli na pomysł, by połączyć podróż z koncertem. Przejazd rozpoczął się 3 sierpnia w miejscowości Spanga koło Sztokholmu, sprzed siedziby głównego sponsora „tripu" – firmy Panthera, będącej producentem wózków dla niepełnosprawnych. Do Rzeszowa Adrian dotarł 15 września – w tym dniu doszło do drugiej edycji The Best Festiwalu. Dzięki przejazdowi i podczas koncertu udało się zebrać dla pięcioletniej Zosi z podrzeszowskiej miejscowości Kielnarowa ponad 14 tys. zł.

– Zosię poznałem, odwiedzając regionalne zajęcia dla dzieci niepełnosprawnych, podopiecznych FAR – opowiada Adrian. – Kilka dni później pojechałem do biura fundacji, by porozmawiać na jej temat z osobami, które pracują z nią na co dzień. Zosia urodziła się z przepukliną oponowo-rdzeniową, wodogłowiem i rozszczepem kręgosłupa. Była już jedną nogą na tamtym świecie, odwiedził ją nawet ksiądz z namaszczeniem chorych. Urzekło mnie to, że chce walczyć, że chce się rehabilitować.

5 stycznia tego roku na swoje piąte urodziny, Zosia dostała nowy wózek firmy Panthera. Dzięki temu, że warszawska firma Apco, dystrybutor tych wózków, sprzedała go ze zniżką 3 tys. zł oraz dzięki dofinansowaniu z PFRON, z kwoty, którą uzbierano podczas The Best Trip i koncertu, na wózek poszło jedynie 6,5 tys. zł. Reszta pieniędzy została przeznaczona na rehabilitację Zosi.

CZŁOWIEK BEZ BARIER

Adrian ze współpracownikami ze stowarzyszenia The Best Life z przebiegu ubiegłorocznej edycji akcji wyciągnęli wniosek, że połączenie przejazdu i koncertu było fajnym przedsięwzięciem organizacyjnym, ale z punktu widzenia celu, jakim jest zebranie jak największych funduszy, nie do końca trafionym. Dlatego w tym roku zamierzają te dwa wydarzenia rozdzielić.

Jesienią ubiegłego roku Adrian otrzymał wyróżnienie w plebiscycie „Człowiek bez Barier 2018" organizowanym przez Stowarzyszenie Przyjaciół Integracji. – To dla mnie bardzo cenne wyróżnienie, bo do plebiscytu zostało zgłoszonych mnóstwo kandydatur, a poza tym pokazało mi ono, że ludzie wierzą w to, co robimy, widzą, że pomagamy z serca, a nie dla korzyści – podkreśla.

Wiosną tego roku Adrian został wyróżniony nagrodą im. Jana Radowicza „Anody", przyznawaną przez Muzeum powstania Warszawskiego. Rzeszowaianin został doceniony za przezwyciężanie barier społecznych.

Pytam, czy ci, którzy podziwiają jego działalność, nazywają go – bawiąc się jego nazwiskiem –„debeściakiem". Przyznaje, że zdarza się to dość często. I zaraz dodaje: – Aczkolwiek ja nie uważam się za debeściaka. Jestem po prostu Adrianem.

eprasa.pl 93ce4e52b2



Wypełnione muzyką stadiony i miejskie przestrzenie. Dla jednych Scorpions, Rammstein, Pink lub Bon Jovi. Dla innych Nosowska i Muniek Staszczyk. Do wyboru festiwale i przeglądy sztuk wszelakich, bogate w atrakcje trasy turystyczne oraz zapierające dech w piersiach rycerskie inscenizacje i pojedynki

Lipiec pełen wrażeń

Mela Koteluk będzie jedną z gwiazd festiwalu „Lata z radiem", którego koncerty odbędą się w lipcu w Pucku i Zakopanem, oraz w sierpniu – w Stalowej Woli i Krakowie

Fot. Mateusz Jagielski/East News

eprasa.pl 93ce4e52b2

Wakacyjna karuzela, rollercoaster, a może lokomotywa. Koncerty, turnieje, spotkania z gwiazdami. Czas letnich atrakcji ruszył pełną parą. Komu nie w smak leniwe leżenie pod gruszą, ma w czym wybierać.



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

RADIO W PLENERZE

Polka „Dziadek", bynajmniej nie tylko dla pełnych wigoru dziadków, zapoczątkowała kolejną odsłonę kultowej audycji „Lato z radiem", rozbudowanej także o pełen atrakcji festiwal. Cztery miasta (19–20 lipca Puck, wcześniej Zakopane, w sierpniu Stalowa Wola i finałowy Kraków), dwudniowe koncerty i wiele innych wydarzeń. Na scenach 26 wykonawców, m.in.: Daria Zawiałow, Fisz Emade Tworzywo, Kayah, Kortez, Krzysztof Zalewski, Mazolewski/Porter, Mela Koteluk, Muniek Staszczyk, Nosowska, Perfect, Voo Voo, Warszawskie Combo Taneczne. To radiowy sposób na dotarcie do wakacyjnego słuchacza. Opracowany z myślą o całym przekroju wieku i gustów.

Większość, nie tylko festiwalowych wydarzeń, można śledzić dzięki bezpośrednim filmowym przekazom. Koncerty są transmitowane na antenach Polskiego Radia, z każdego z festiwalowych miast będą nadawane audycje z udziałem publiczności (m.in. „Zapraszamy do Trójki", „Markomania", „Muzyczna Jedynka", „Dwójka na miejscu" i „PlanAir Czwórki"). Wiele będzie się dziać w strefach festiwalowych: muzycznej (spotkania z gwiazdami i dziennikarzami muzycznymi), familijnej (gry i zabawy edukacyjne), relaksu (ćwiczenia z prowadzącymi „Gimnastykę poranną" w radiowej Jedynce).

Nowością, zarówno dla uczestników festiwalu, jak i słuchaczy, jest wirtualne studio. Radiowi reporterzy od poniedziałku do soboty będą wędrować po Polsce. Dzięki specjalnej aplikacji można ich zlokalizować i zdobyć jedną z czterech tegorocznych maskotek symboli parków narodowych.

W soboty kultowa audycja będzie nadawana z plenerowego studia. W pierwszy weekend lipca trafi do Międzyzdrojów. Na wszystkie koncerty oraz dodatkowe imprezy związane z „Latem z radiem" wstęp jest wolny.

MUZYCZNE PRZESTRZENIE

Lipiec 2019 to także wiele biletowanych atrakcji. Będzie energetycznie i nostalgicznie. Z wyjątkiem Open'er Festivalu 2019, na którym – od 3 do 6 lipca, na lotnisku Gdynia Kosakowo – pojawi się wiele metrykalnie młodych zespołów, większość lipcowej oferty sięga do tego, co uznane od kilku dekad. Zresztą Open'er poniekąd również, skoro jedną z najpowszechniej rozpoznawalnych gwiazd festiwalu jest Kylie Minogue, od trzech dekad współtworząca kanon muzyki pop (począwszy od „I Should Be So Lucky", przez „Where the Wild Roses Grow", po „Can't Get You Out of My Head"), w ub.r. obchodząca 50. urodziny.



Kylie Minogue będzie jedną z gwiazd tegorocznego Open'era w Gdyni, gdzie wystąpi 5 lipca

Fot. Shutterstock

Poruszające od lat 80. balladowe „Send Me an Angel", „Still Loving You" „When the Smoke Is Going Down" czy napisane w 1990 r., przełomowe „Wind of Change" – zabrzmią na dwóch koncertach grupy Scorpions: 21 lipca w Arena Gliwice oraz dwa dni później w Ergo Arenie Gdańsk/Sopot. Scorpions nie mówią „dość", bo też wciąż mają wielką grupę fanów, która sprawia, że Klaus Meine – wokalista, gitarzysta i autor tekstów – zapomina na scenie o skończonej rok temu siedemdziesiątce (!).

75 lat skończy w grudniu Mick Jones. Założyciel formacji Foreigner (w 1977 r.) i twórca jednej z najpiękniejszych rockowych ballad „Want to Know What Love Is", z odmłodzonym składem wystąpi 17 lipca na 13. Festiwalu Legend Rocka w Dolinie Charlotty w Strzelinku (pomiędzy Słupskiem a Ustką). Spodziewać się można m.in. „Juke Box Hero", „Cold as Ice", „Hot Blooded", „Waiting For a Girl Like You", „Head Games", „Say You Will" czy „Long, Long Way From Home".

Tydzień wcześniej, 10 lipca w Tauron Arena Kraków i 11 lipca w Ergo Arenie, Gdańsk/Sopot, zagra Mark Knopfler. Brytyjski gitarzysta, wokalista i kompozytor (twórca takich standardów jak „Money for Nothing", „Sultans of Swing", „Walk of Life"), w sierpniu skończy 70 lat, ale z werwą promuje album „Down the Road Wherever". Mówi: „Lubię całe to zamieszanie – podróżowanie z miasta do miasta, interakcje. To totalna przyjemność".

12 lipca na PGE Narodowym pojawi się Bon Jovi, amerykańska grupa, znana m.in. z takich przebojów, jak „You Give Love a Bad Name", „Livin' on a Prayer", „Always" czy „It's My Life". Sześć lat temu, w Gdańsku, zespół oszołomił widzów, występując na scenie przypomi-

eprasa.pl 93ce4e52b2







Fot. Shutterstock (×3)

Mark Knopfler (w środku) wystąpi 10 lipca w Tauron Arenie Kraków i 11 lipca w Ergo Arenie w Gdańsku. Bon Jovi (po prawej) zagra na PGE Narodowym w Warszawie 12 lipca, tydzień później, 20 lipca, także na Narodowym, wystąpi Pink (z lewej)

nającej maskę starego cadillaca. Teraz chce wypełnić 50-tysięczną stadionową widownię. Warszawa to kolejny przystanek wielkiej trasy, promującej płytę „This House Is Not for Sale".

GORĄCE GRANIE

Osiem dni po Bon Jovi i 15 lat od poprzedniej wizyty w Polsce 20 lipca na PGE Narodowym wystąpi Pink. Jesienią ub.r. wokalistka wydała studyjny album „Beautiful Trauma" (tak też zatytułowane jest tournée), na którym znalazł się m.in. przebój „What About Us" nominowany do nagrody Grammy. 8 września Pink będzie obchodzić 40. urodziny.

Kolejny stadion, tym razem Śląski w Chorzowie, otworzy się dla fanów występem działającej od ćwierć wieku niemieckiej metalowej grupy Rammstein. Koncert odbywa się w ramach pierwszej stadionowej trasy grupy słynącej z kontrowersyjnych teledysków i spektakularnych show. 24 lipca zabrzmi m.in. „Deutschland", „Radio" i „Ausländer", a na oficjalnej stronie Rammstein pojawiła się informacja, że za rok (17 lipca) zobaczymy formację na warszawskim PGE Narodowym.

Tymczasem jeszcze tego lata, 25 lipca, w Dolinie Charlotty zagra amerykańska grupa Thirty Seconds To Mars dowodzona przez Jareda Leto, który parę tygodni temu zajął wysokie miejsce w tekście o aktorach gotowych dla filmowej roli na najbardziej spektakularne przemiany. W Strzelinku Jared pojawi się jako wokalista i współzałożyciel grupy (1998).

Trasa koncertowa Męskiego Grania poprowadzi w nadchodzącym miesiącu przez Poznań (Cytadela, 13 lipca), Kraków (Muzeum Lotnictwa, 20 lipca) i Gdynię (Park Kolibki, 27 lipca). Wystąpią m.in.: Bass Astral x Igo, Jamal, Natalia Przybysz, Nosowska, Ørganek, O.S.T.R, Krzysztof Zalewski, Lao Che, Mazolewski/Porter, Męskie Granie Orkiestra.

ALEJE GWIAZD

Na 24. Festiwalu Gwiazd Międzyzdroje (4–7 lipca) dłonie odcisną w tym roku: Anna Gornostaj, Sławomira Łozińska, Mikołaj Roznerski, Zdzisław Kuźniar, Anna Wyszkoni, Krzysztof Gosztyła, Krzysztof Tyniec i Krystyna Tkacz. Przyjadą też członkowie rodziny Stanisława Barei. Motywem przewodnim festiwalu będzie bowiem twórczość reżysera (z okazji 90. rocznicy jego urodzin).

Z kolei w sobotę 13 lipca, tym razem w łódzkiej Alei Sław przy ul. Piotrkowskiej 70, odsłonięta zostanie gwiazda reżysera, scenarzysty i pedagoga Wojciecha Marczewskiego. Będzie on gościem 9. Festiwalu Transatlantyk (12–19 lipca).

Wcześniej, bo od 5 do 11 lipca, stolicą animacji stanie się Poznań. 12. Międzynarodowy Festiwal Filmów Animowanych Animator pokaże ponad 300 produkcji z całego świata. Przyjedzie Tim Allen, brytyjski animator stop-motion, który pracował m.in. przy „Gnijącej pannie młodej" Tima Burtona.

19. Sopot Film Festiwal (13–21 lipca) zaprezentuje współczesne kino Ameryki Południowej oraz koncerty: „Muzyki filmowej: Quentin Tarantino i jego mistrzowie" i „Gra w Komedę".

Tradycyjnie, pod koniec lipca (od 25) we Wrocławiu ruszy 19. Międzynarodowy Festiwal Filmowy Nowe Horyzonty. W programie 19. edycji znajdą się m.in. obrazy: Alberta Serry, autora „Śmierci Ludwika XIV"; Japończyka Shūjiego Terayamy, wyróżnionego w Cannes za „Wiejską ciuciubabkę" czy Oliviera Assayasa, znanego m.in. dzięki

eprasa.pl 93ce4e52b2



Fot. M. Czerski

Od 5 do 27 lipca w Łazienkach Królewskich odbędzie się II Festiwal Polskiej Opery Królewskiej, gdzie można będzie m.in. zobaczyć „Wesele Figara”

„Sils Maria”. Silnie reprezentowany będzie nurt kobiet. Osobne miejsce zajmie kino azjatyckich mistrzów oraz filmy zauważone przez publiczność i krytyków festiwali w Berlinie, Toronto czy San Sebastian.

Nowe Horyzonty potrwają do 4 sierpnia. Tego samego dnia zakończy się 13. Festiwal Filmu i Sztuki Dwa Brzegi, który w malowniczej scenerii Kazimierza Dolnego nad Wisłą wystartuje 27 lipca.

WE WŁASNYM RYTMIE

W muzykę korzeni zagłębi się 21. Festiwal EtnoKraków/Rozstaje (2–7 lipca). Wystąpi ponad 100 artystów z kilkunastu krajów i trzech kontynentów.

21. Mazurska Noc Kabaretowa, 6 lipca, na deskach amfiteatru w Mrągowie, dowiedzie, że „Mazurska jest kobietą!”, a wakacyjny luz przyniesie Suwałki Blues Festival. W tym roku od 12 do 14 lipca.

Dylematy mogą się pojawić w ostatni weekend miesiąca. Co wybrać? Carnaval Sztukmistrzów 2019 (25–29 lipca), koncerty nad jeziorem Czos, a może folkowy Szczyrk? Pierwsza propozycja wypełni Lublin widowiskami z pogranicza teatru, współczesnego cyrku, klaunady i akrobatyki. Dodatkowo odbędzie się Urban Highline, czyli festiwal chodzenia po taśmach.

„Jak co roku w... Mrągowie” będą kowbojskie stroje, motocykle, samochody terenowe i charakterystyczne brzmienia. 38. Międzynarodowy Festiwal „Piknik Country & Folk” (26–27 lipca) to podróż do krainy country, bluegrassu i folku oraz, po raz pierwszy w historii imprezy, typowego dla country line dance i square dance, ale także dynamicznego irlandzkiego step dance.

Blisko 100 zespołów pieśni i tańca z kilkunastu państw z całego świata oraz parę tysięcy śpiewaków i muzyków od 27 lipca do 4 sierpnia, wystąpi na kilkudziesięciu plenerowych koncertach 56. Tygodnia Kultury Beskidzkiej w Szczyrku.

WAKACYJNE SCENY

Dla zapracowanych w ciągu roku mieszkańców, ale też przyjezdnych, gdy już zapoznają się z najważniejszymi atrakcjami turystycznymi, kulturalną propozycję lata oferują teatry.

W Warszawie na Letni Przegląd zaprasza Teatr Dramatyczny. Proponuje podróże do... m.in. Petersburga, Wenecji i Nowego Jorku! Na tych, którzy chcieliby się przekonać, gdzie jeszcze dzieje się akcja spektakli Dramatycznego, do wyboru są aż 34 tytuły. Można je oglądać w pakietach (3/6/9), zbierając pieczątki do teatralnych paszportów (z szansą na rabat na premiery w nowym sezonie).

Łazienki Królewskie to przestrzeń obowiązkowa na mapie zwiedzania Warszawy, zarazem ukochana przez mieszkańców. Od 5 do 27 lipca odbywać się tu będzie II Festiwal Polskiej Opery Królewskiej. W programie: 11 spektakli i pięć koncertów. W sumie ponad 50 godzin muzyki.

Na otwarcie w Teatrze Królewskim w Starej Oranżerii premiera „Così fan tutte” Mozarta. Wyjątkowym punktem programu będzie „Orfeus” Monteverdiego zaprezentowany w Sali Wielkiej Zamku Królewskiego, podobnie jak przeznaczona dla młodszych widzów inscenizacja młodzieńczego utworu Mozarta „Bastien i Bastienne”.

Dla miłośników muzyki kameralnej otworzą się wnętrza pałacu Na Wyspie. Ukoronowaniem festiwalu będzie opera „Straszny dwór”, której premiera otworzyła w Polskiej Operze Królewskiej rok 2019.

DO BOJU

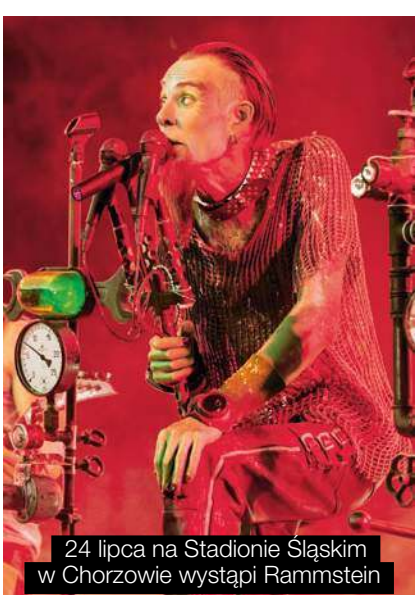
Dla rozkochanych w szczęku oręża lipiec ma też wiele propozycji. W Porosiukach k. Białej Podlaskiej odbędzie się I Turniej Rycerski Fortis 2019 (6 lipca). W programie: pojedynki, walki drużyn, turniej łuczniczy i rzutu oszczepem, warsztaty zdobienia tkanin oraz wiele innych atrakcji.

Dni Grunwaldu potrwają od 10 do 14 lipca. XXII inscenizacja bitwy pod Grunwaldem rozpocznie się w sobotę o godz. 15. Jak co roku weźmie w niej udział ponad 1000 rycerzy z całej Europy. Pełny program m.in. na stronach grunwald1410.pl.

Od 19 do 21 lipca rycerstwo będzie się szykowało do oblężenia Malborka, a goście na atrakcje Jarmarku Średniowiecznego (szczegóły: zamek.malbork.pl).

W ostatni weekend lipca (26–28) można wybierać. 2. Turniej Rycerski pod Zamkiem Cisy (5 km od Świebodzic) to, poza inscenizacją bitwy o zamek, biegi, pokazy rzemiosła oraz gry plebejskie. W Rudnie odbędzie się rekonstrukcja zatytułowana „Obrona Zamku Tenczyn przed Szwedem 1655”, a w ruinach zamku biskupów w Siewierzu VIII Turniej Rycerski.

Przed letnim wyjazdem w Polskę warto zerknąć na lokalne strony internetowe, bo nie tylko duże miasta i znane kurorty mają wiele do zaoferowania.



Fot. Shutterstock

24 lipca na Stadionie Śląskim w Chorzowie wystąpi Rammstein

eprasa.pl 93ce4e52b2

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Sfiksowana boskość Florence

Wreszcie obejrzałem – dzięki TVP Kultura – „Boską Florence", film Stephena Frearsa sprzed trzech lat. Znałem sztukę „Boska" Petera Quiltera – wystawioną w Polonii, a potem w Teatrze Telewizji, dla Krystyny Jandy. Tamto przedstawienie bardziej mnie zirytowało, niż zachwyciło. Byłem ciekaw, czy tu będzie tak samo. Wszak dobry reżyser i Meryl Streep w tytułowej roli, to wręcz powinno się podobać.

Przypomnę: i sztuka, i film to opowieść o niejakiej Florence Foster Jenkins, Amerykance z dużymi pieniędzmi, która sama fundowała sobie występy, choć nie miała głosu. I po której pozostały nawet płyty z jej wyciem imitującym operowy śpiew. Przeszła do historii jako najgorsza śpiewaczka świata.

Trochę się wychowałem na filmach Frearsa. „Niebezpieczne związki" sprzed 31 lat kształtowały moje wyobrażenie o świecie. Potem miał jeszcze kilka celnych trafień. Ale jeśli zdawało mu się, że „Boska Florence" to nowa „Królowa", też o kobiecie, którą trzeba zrozumieć, pomimo słabości i błędów, to ja takiej interpretacji nie kupuję.

Wszystko kręci się wokół cudzego dziwactwa, które trzeba hołubić, bo starszej pani zrobi się przykro. Wydaje mi się to rażąco błahe, zwłaszcza na tle tego, co w roku akcji, 1944, działo się na świecie. Owszem, mamy trochę obyczajowych smaczków z epoki, Anglik Frears dobrze oddaje ówczesny Nowy Jork, z jego mieszaniną pompy i kiczu. Ale to tylko przyczynek, anegdota.

Podobno każdy ma prawo do swoich marzeń. Cóż... Gdyby jeszcze ta kobieta startowała na równi z innymi. Tyle że jej kochający mąż oraz przede wszystkim pieniądze dawały jej przewagę. To za nie – drogą korumpowania świata, także mediów – można było fundować absurd pozorów. I kazać nam zgadywać, czy ona wierzyła, że ma talent.

Oczywiście można ten film odczytać jako opowieść o miernocie z aspiracjami. Tyle że Frears (a autor sztuki jeszcze bardziej) zdaje się dziwaczce kibicować. To w gruncie rzeczy odmiana modnej dziś filozofii „możesz być tym, kim chcesz", która mnie jawi się jako mocno bałamutna, nawet jeśli wybrukowana dobrymi chęciami. Gdzieś w tle przebija się przekonanie, że nie ma czytelnych kryteriów. To dlatego lansuje się dziś beztalencia i debili, z których media robią gwiazdy, bo „liczą się chęci".

Oczywiście w sztuce kryteria nie są matematycznym wzorem. Subiektywne ludzkie emocje też mają znaczenie. Ale akurat w muzyce, w śpiewie, kryteria są precyzyjniejsze niż gdzie indziej. I nieprzypadkowo prości ludzie szybciej demaskują Florence niż jej znajomi z towarzystwa. Ale są przywoływani do porządku. Bo pani ma prawo do marzeń.

Jest to ładnie zrobione. Przyjemnie ogląda się (gorzej słucha) wyjącą Meryl Streep, a Hugh Grant w roli męża po raz pierwszy występuje jako starszy pan. A jednak mnie to irytuje. Pianista (dobry Simon Helberg) też się zakochuje w paniusi, a ja szukam bezskutecznie dowodów, że – zapatrzona tylko w siebie – miała dobre serce. Choć moja przyjaciółka przekonuje mnie, że „marzenia też są ważne". Cóż, może przynajmniej z samego sporu jest pożytek. Bo rozmawiamy o stosunku do świata.



Mam sentyment do postaci Florence z jednego tylko powodu. W polsatowskim programie „Twoja twarz brzmi znajomo" udawał Streep w arii z tego filmu mój ulubiony Krzysztof Szczepaniak. Mając niższy głos, a zmuszony do udawania kobiety, przerysował ją nawet bardziej niż ona sama swoją postać. Ale to było naprawdę zabawne. I może to zasłużona kara dla upiornej pani Jenkins.

Piotr Zaremba

Szyderca w Sowietach



Wojciech Stanisławski

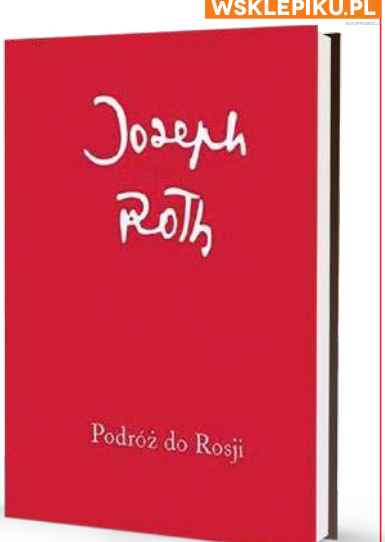
Joseph Roth, dziedzic i wychowanek świetlistego, cesarskiego Wiednia, wszędzie czuł się wygnańcem, nigdzie pewnie bardziej niż w Rosji Sowieckiej lat 20. A jednak nawet tam na każdym kroku dostrzegał bliźnich: niewolnych, nieszczęśliwych

Czytelnicy niniejszej rubryki mogli już, mam nadzieję, nabrać przekonania o wartości „Dzieł zebranych" jednego z najwybitniejszych XX-wiecznych autorów języka niemieckiego, publikowanych w Polsce przez niestrudzone Wydawnictwo Austeria. Co jednak, jeśli oficynie tej mogła się zdarzyć w kampanii marketingowej podobna opieszałość jak w odpowiadaniu na e-maile czytelników i recenzentów? Warto uprzedzić taką sytuację, ogłaszając zawczasu: oto ukazał się kolejny tom „Dzieł..." Josepha Rotha, świadectwo jego podróży do Związku Sowieckiego w połowie lat 20.

Zbiór felietonów i korespondencji składających się na „Podróż do Rosji" można czytać jako przykład osobnego gatunku, zestawiając je z bezmiarem podobnych relacji powstałych w tym czasie w Europie. Eksperyment społeczny na niespotykaną skalę, „państwo robotników i chłopów" trwożyło i fascynowało, w rezultacie zaś do Moskwy trafiały setki ludzi pióra, od Romain Rollanda po Ksawerego Pruszyńskiego. Ich publikowane po latach relacje bywają świadectwem talentu obserwacyjnego, częściej – łatwowierności. Dodajmy przy tym, że ogromna większość tych podróży dokonywała się w tym samym czasie (apogeum NEP lub pierwsza pięciolatka), zwykle na dość podobnych trasach. Inostrannym żurnalistam pokazywano Moskwę, Leningrad, czasem Kijów. Jednym pozwalano na ekskursję parostatkiem w dół Wołgi, innym do Odessy lub któregoś z kaukaskich kurortów, czasem aranżowano spotkanie z mnichami pozostawionego dla efektu klasztoru.

W rezultacie literacki obraz świata, jaki otrzymujemy z wielu relacji, wydaje się uderzająco podobny: to zwykle pogodna, entuzjastyczna, upalna Rosja z prozy Bułhakowa lub humoresek Ilfa i Pietrowa, obfitująca w jegomościów w prostych płóciennych marynarkach i kaszkietach, zapalczywych agitatorów, sumiastowąsych milicjantów, oddane sprawie nauczycielki i robotnice zakładów włókienniczych, rozgorączkowanych pionierów oraz groteskowych burżujów, w bezsilnej pasji pielęgnujących swój cwikier, wąsik i wspomnienia o dawnym majątku. To Rosja, w której uderza obfitość automobilów, traktorów, słupów trakcji elektrycznej i sanatoriów w znacjonalizowanych pałacach. Owszem, pojawia się nieco błota, jest to jednak zazwyczaj błoto pozytywne, państwowotwórcze, powstałe w trakcie budowy linii kolejowej, tamy na rzece lub zaorywania nowych gleb w tym widzianym z okien wagonu restauracyjnego kraju, brakuje zaś zarazem terroru, łagrów i więzień, ludzi pozbawionych praw, kolektywizacji, ba, kultu Stalina.

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL



Joseph Roth, „Podróż do Rosji", tłum. Małgorzata Łukasiewicz, Wydawnictwo Austeria, 2019

Można zrozumieć te ograniczenia, wiedząc, jak wąską, „potiomkinowską", wytyczoną przez Inturist i funkcjonariuszy ścieżką prowadzeni byli oficjalni goście. Tym bardziej niezwykłe, jak wiele zdołał dostrzec Roth, który przecież, choć nie stronił od kwestii politycznych, pozbawiony był zarówno szczegółowej wiedzy „sowietologicznej", jak i szczególnych uprzedzeń czy obaw wobec ZSRS: owszem, jechał do Moskwy jako korespondent liberalnych gazet niemieckich, ciekaw szczególnie obietnic dotyczących wykorzenienia w nowej Rosji antysemityzmu.

Co począć: nic nie mógł poradzić na towarzyszący mu we włóczęgach po świecie garb, na nieopuszczającą go nigdy uważność, gotowość do zachwytu, ale i „scyzoryk ironii", cienkie ostrze drwiny, którym podważał wszel-

eprasa.pl 93ce4e52b2

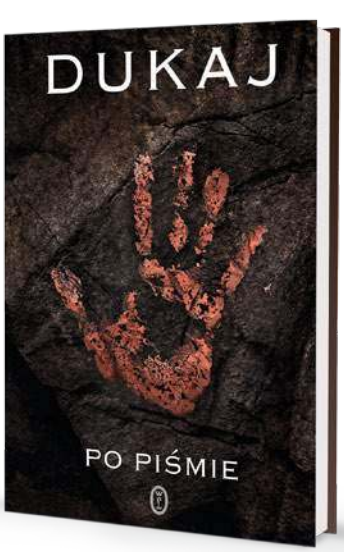
kie pozory, obłudę, nawet gotowość do samooszukiwania się bliźnich. Zbrojny w te narzędzia, których nie wykryli celnicy na granicznej stacji Niegorełoje („Rosyjska lokomotywa nie gwiżdże, ale wyje jak syrena okrętowa, doniośle, ochryple i oceanicznie. W hali robi się niemal przytulnie. Walizki zaczynają mościć się wygodnie, rozchylać, jakby było im za gorąco. […] Z walizki młodej, ładnej i nieco zrozpaczonej kobiety sączy się połyskliwy jedwab, smugi pociętej tęczy. Potem wynurza się wełna, pęcznieje, oddycha z ulgą po długich dniach ściśnionej egzystencji bez powietrza") pozostawia nam obraz jedyny w swoim rodzaju. Nie jest to analiza napięć i sił społecznych, nie jest to jednak również zapis bezrefleksyjnego zachwytu. Roth, galernik współczucia, ironista w meloniku, dostrzega „nową Rosję", oddaje co należne entuzjastom i wysokościowcom, zdaje się nawet wierzyć w trwałość NEP, zawsze jednak widzi przede wszystkim pojedynczego, ograniczonego w swojej wolności człowieka – i otaczające go kolory. „Młode mahometanki zasłaniają usta białymi niebieskimi chustami; wyglądają jak zamurowane, każda w swoim własnym więzieniu" – pisze o Baku. „Żebrakom przed wielką bramą starego miasta nie trzeba nic dawać; są ornamentami. Starzy sajidzi, potomkowie Mahometa, w białych, suto zamotanych turbanach, żują pestki słonecznika. Na żółtawoszarych brodach zawisają lekkomyślne łuski". Tak mógłby pisać o Rosji sowieckiej Pasternak, gdyby trafił do niej jako przybysz z zewnątrz. Może Herbert, gdyby zechciał był kiedyś przekroczyć jej granice.

Przewrotne epitafium

Rzadko zdarza się autor, który zdobyłby się na podobny trik, pełen wirtuozerii i przekory zarazem: stworzyć epitafium dla technologii, która odchodzi, przy użyciu dawnych narzędzi złożyć krytyczny hołd nowym? Czymś podobnym bywają figle dzisiejszych wielbicieli steampunku, którzy konstruują laptopy o wyglądzie XIX-wiecznych mosiężnych maszyn do pisania, czymś podobnym bywały rozterki konstruktorów sprzed 100 lat, którzy budowali pierwsze samochody na wzór dorożek; ale obu próbom wiele brakuje do dokonania Jacka Dukaja, który spisał zapowiedź nadejścia kilku niewyobrażalnych dla nas epok: brak potrzeby pracy, dominacji sztucznej inteligencji oraz – to właśnie przesądza o przewrotności tej książki – końca epoki pisma jako podstawowego narzędzia komunikacji i utrwalania wiedzy oraz stanów indywidualnej świadomości.

Tych perspektyw, tak zawrotnych, a tak nieuchronnych, nie sposób opisać jako danych i poznawalnych, skoro w każdej z tych dziedzin mamy do czynienia ze społecznym odpowiednikiem „punktu osobliwości". Zadaniem autora, z którego Dukaj wywiązuje się nienagannie, jest ukazanie, jak wiele się zmieni, jak kolejne zjawiska, które na mocy przyrodzonego konserwatyzmu skłonni jesteśmy uważać za fundamenty życia społecznego, ulegną anihilacji – od mechanizmu podejmowania decyzji politycznych aż po rozmywanie się osobowego ja w formule, jaką stworzyły tysiąclecia cywilizacji – właśnie od chwili nastania piśmienności.

Wędrówka przez te szkice jest jak lektura wyroku wydanego przez diagnostę: zniewalająca, obezwładniająca i nieprzyjemna. Czy można mieć nadzieję, że mamy do czynienia z efektownym czarnowidztwem, z podkręceniem diagnoz? Obawiam się, że nie. Maniera autora (stylisty równie świetnego, jak oschłego) może nużyć, szczególnie może neologizm „myślunek". Mniejsza jednak o ten dyskomfort, skoro strona po stronie docierają do nas kolejne fakty i ustalenia z obszaru kognitywistyki, neurologii i neuropsychiatrii, antropologii i filozofii analitycznej, którym niełatwo zaprzeczyć. Fakty, dodajmy, niemal nieobecne w polskiej debacie publicznej: Dukaj podejmuje rozmowę o wyzwaniach przeszłości obok i ponad naszymi sporami, z polskich autorów cytuje, bagatela, Nowosielskiego i Kołakowskiego (a dla hurrapatriotów – Conrada), cały zbiór opisuje jednak rzeczywistość nadciągającą od strony Doliny Krzemowej, Pekinu i Tokio.



Jacek Dukaj, „Po piśmie", Wydawnictwo Literackie, 2019

Można by się jeszcze łudzić, że – jak nieraz bywa w przypadku ambitnych prób odczytania rzeczywistości, dążenia do syntezy – mamy do czynienia z humbugiem, „ogólną teorią wszystkiego", nieprecyzyjną i falsyfikowalną w szczegółach. Nie mam jednak takiej nadziei. „Po piśmie" to futurologia najwyższego rzędu, futurologia, jak określa ją sam autor, „egzystencjalna", usiłująca opisać, jak ludzie będą czuć, myśleć oraz przeżywać siebie i innych. To największe dokonanie polskiego autora w tej dziedzinie od czas „Summa technologiae" Stanisława Lema – i bardziej jeszcze niewesołe.

eprasa.pl 93ce4e52b2



Po prostu Boston

Lubię to miasto. Ma w sobie większy luz niż Nowy Jork. Czuć na jego ulicach też amerykańską historię. W końcu to tutaj rewolucję zapoczątkowała herbatka bostońska, stająca się symbolem sprzeciwu wobec podatkowego wyzysku kolonii przez Brytyjczyków. Prawicowy ruch Tea Party, wywracający kilka lat temu stolik w Partii Republikańskiej, wziął nazwę od tego wydarzenia. Boston to też jedno z najbardziej filmowych amerykańskich miast świata, zwłaszcza gatunków takich jak kryminał i kino gangsterskie.

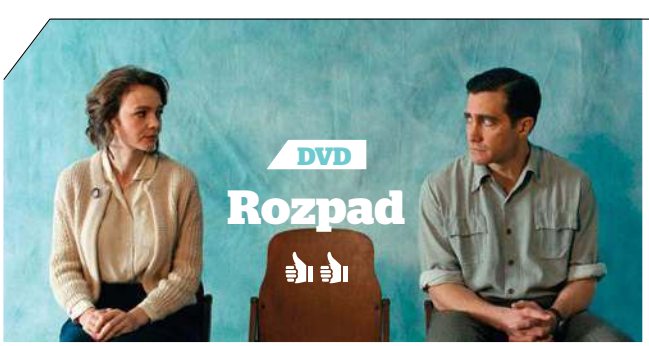
Martin Scorsese osadził tu akcję swojej oscarowej „Infiltracji", po ulicach biegali „Święci z Bostonu", Clint Eastwood zaś nakręcił wybitną przypowieść „Rzeka tajemnic". No, ale przecież to tutaj powstał „Werdykt" Lumeta ze wspaniałą rolą Paula Newmana, „Spotlight", wiele odcinków genialnego serialu „Ray Donovan", niegrzecznie bawił się miś Ted, a przeciwko światu buntował się Will Hunting z „Buntownika z wyboru". Ten film zapoczątkował wielką karierę Mata Damona i Bena Afflecka (dostali Oscara za scenariusz). Dziś Affleck systematycznie opowiada o Bostonie w swoich filmach („Gdzie jesteś Amando?", „The Town"). Razem z Damonem wyprodukowali też „Miasto na wzgórzu".

Serial opowiada historię współpracy ideowego prokuratora (Aldis Hodge) i skorumpowanego agenta FBI (Kevin Bacon), którzy wspólnie prowadzą śledztwo w sprawie rodziny z Charlestown napadającej na konwoje z pieniędzmi. Sprawa prowadzi ich w sam głąb powiązań bostońskiej policji ze światem przestępczym i pokazuje skorumpowany system. Mieliśmy już takich opowieści w kinie wiele, zaczynając od klasycznego „Serpico" Lumeta. Siłą tego serialu jest ukazanie Bostonu lat 90. i dotknięcie akcji „Wstrzymać ogień", znanej też jako „Cud w Bostonie". Miasto w latach 90. było siedliskiem przemocy. Między 1987 a 1990 r. napady z bronią w ręku młodocianych wzrosły w mieście o 230 proc. Dzięki bliskiej współpracy policji, kuratorów pilnujących więźniów zwolnionych warunkowo, chrześcijańskich pastorów w najniebezpieczniejszych dzielnicach i kierującego projektem profesora kryminologii z Harvardu Davida M. Kennedy'ego udało się w 1996 r. zmniejszyć zabójstwa wśród młodych o 63 proc.



„Miasto na wzgórzu" jest hołdem oddanym tym, którzy poważnie zajęli się ratowaniem Bostonu przed totalnym upadkiem. Historia intryguje jednak też w warstwie sensacyjnej, mimo że kino w każdy możliwy sposób eksploatowało już wizerunek upadłego gliniarza, budzącego się z letargu w imię wyższego dobra. Również dzięki takim gliniarzom jako turysta świetnie czuję się w Bostonie, który jeszcze ćwierć wieku temu był wylęgarnią brutalnych gangów. Warto też wejść w ten serial dla Kevina Bacona, który jest specjalistą od tworzenia portretów niejednoznacznych postaci. Na uwagę zasługuje to, że u Eastwooda w „Rzece tajemnic" też grał bostońskiego gliniarza. Jakże innego od postaci z „Miasta na wzgórzu"!

„MIASTO NA WZGÓRZU" DOSTĘPNE NA HBO GO



To zaskakujące, jak dojrzałym reżyserem okazał się aktor Paul Dano. Jego debiut „Kraina wielkiego nieba" to mądra opowieść o rozpadzie rodziny. Carey Mulligan i Jake Gyllenhaall grają zmagających się z finansowymi problemami rodziców dorastającego syna (Ed Oxenbould). Rodzina mieszka w małej mieścinie w stanie Montana. Gdy ojciec wyjeżdża do niskopłatnej pracy gasić pożary lasów, matka na oczach syna wdaje się w romans z miejscowym biznesmenem.

Dano dokonuje przenikliwej wiwisekcji przyziemnych problemów rodziny, ale pokazuje też przemiany obyczajowe Ameryki przełomu lat 50.–60. XX w. Carey Mulligan tworzy znakomitą kreację kobiety, która mimo miłości do dziecka chce zerwać z siebie gorset konwenansów. To pęknięta wewnętrznie osoba, kipiąca w środku od sprzecznych emocji. Jej wspaniała rola wybrzmiewa w ściskającym za serce finale dzięki subtelnemu scenariuszowi i reżyserii Dano, który wyciąga całą gorycz i słodycz powieści „Wildlife" Richarda Forda.

„KRAINA WIELKIEGO NIEBA", REŻ. PAUL DANO, DYSTR. M2FILMS

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 93ce4e52b2

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Adamski odradza

Chucky stał się cyborgiem

Laleczka Chucky bez Dona Manciniego jest jak Freddy Krueger bez Wesa Cravena. Pozornie wszystko jest na swoim miejscu. Części „Koszmaru z ulicy Wiązów" niesygnowane nazwiskiem Cravena też nie dorównywały oryginałowi i zdumiewającej ostatniej części. Jednak nawet one miały w sobie miłość do postaci stworzonej przez jednego z mistrzów amerykańskiego horroru. Problem remake'u „Laleczki Chucky" polega nie tylko na braku tej miłości, ale i szaleństwa Manciniego, który postać stworzył w 1988 r.

No, ale gdzie ma być miłość, skoro nowa wersja nie ma nawet tego, na czym zbudowany był jeden z najpopularniejszych slasherów „najntisów". Nie ma tajemnicy demonicznego zła, którą upiorna laleczka została zarażona przez rytuał wudu. Filmy Manciniego ewoluowały od horroru, przechodząc przez komedię i kończąc na rasowo odjazdowym kampie. Nowa wersja na starcie jest wykastrowana z całej demoniczności. Zamiast wudu widzimy fabrykę w Wietnamie, gdzie sfrustrowany wyzyskiem informatyk przeprogramowuje jadącą do USA lalkę w zabójczego cyborga. A więc zło idzie wprost z fabryk budowanych przez tych „przeklętych turbokapitalistów" w typie Jeffa Bezosa? Trudno o większy banał.



Buddy jest sterowaną aplikacją i algorytmem zabawką w stylu Alexy właśnie Amazona. Spokojnie pasowałby ten skomunikowany z urządzeniami całego domu android do odcinka „Black Mirror". Ba, mógłby nawet podać rękę kuriozalnemu robotowi Miley Cyrus z ostatniego sezonu (taki odjazd bym w sumie chętnie zobaczył). Oparty na scenariuszu twórcy gier wideo Tylera Burtona Smitha (m.in. „Sleeping Dogs") i wyreżyserowany przez Larsa Klevberga („Polaroid") nawiązuje oczywiście do oryginału i próbuje grać schematami horrorów lat 80. Jest więc kilka pomysłowych krwawych jatek (finał w sklepie zabawkowym!) i mrugnięcia okiem do fanów gatunku (Chucky oglądający „Teksańską masakrę piłą mechaniczną 2"). Są też dzieciaki biorące na swoje barki walkę z potworem jak w świetnym remake'u innego klasyku „najntisów" „To" lub opartego na tym schemacie „Stranger Things". Pojawiają się też żarty zrozumiałe dla widzów wychowanych na popkulturze lat 90. (brawa za „zemstę za Tupaca"!).

Niestety wszystko to jest mechaniczne jak sama laleczka. Zło w niej jest ukryte w danych, a nie czymś „nie z tej ziemi". A to powoduje, że cała koncepcja horroru nawiązuje do pierwszego „Terminatora" Jamesa Camerona. Mnie taki horror po prostu nie przeraża. Mnie przeraża tajemnica zła, o której nie zapomniał czuwający nad zeszłorocznym sequelem własnego „Halloween" John Carpenter. W „Laleczce" wyparowała ona wraz z kolejnym algorytmem.

Mark Hamill podkładający głos za laleczkę wypada świetnie (czego innego można się spodziewać po tym Jokerze) i bez wątpienia wznosi film na wyższy poziom. Co jednak z tego, skoro zamiast kampowego slashera dostajemy przestrzegający nas przed nowymi technologiami horror o cyborgu, który na dodatek całe zło przejmuje od otoczenia. Bo przecież zło bierze się ze złego wpływu społeczeństwa, a agresor jest zawsze ofiarą. Nawet jeśli jest Chuckym. Nie tego chciał chyba Mancini.

„LALECZKA", REŻ. LARS KLEVBERG, DYSTR. KINO ŚWIAT

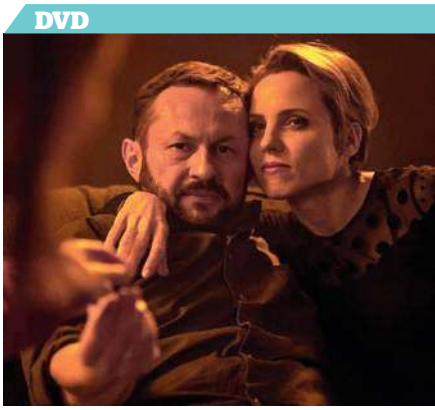
Manifest ideologiczny

„Płynące wieżowce", „W imię", a teraz „Nina" pokazują, że polscy filmowcy zbudowali już gatunek, jakim jest kino LGBT. Olga Chajdas robi to tym chętniej, że sama jest partnerką Kasi Adamik i opowiada o swoim naturalnym środowisku. „Nina" jest filmem zbudowanym jak rodzinny dramat, ale jest głęboko podszyta ideologią.

Nina (Julia Kijowska) nie może ze swoim mężem Wojtkiem (Andrzej Konopka) mieć dzieci. Wydaje im się, że znaleźli idealną kandydatkę na surogatkę Magdę (Eliza Rycembel), która okazuje się lesbijką. Nina odkrywa w sobie pociąg do kobiety, co przemeblowuje całą relację między trójką bohaterów. Chajdas od początku gra zbyt wieloma znaczonymi kartami. Dużo w tym filmie banału (ile było już filmów o tłumionych frustracjach w małżeństwie?) i kiczowatej symboliki. Wszystko wyrachowanie zatopione w sosie artystycznego kina ze zbyt wielką liczbą dziur w logice scenariusza. To szczery film, ale tak nieznośnie ideologiczny (mężczyzna wystarczy jako reproduktor), że odrzuci widza niezakochanego w tęczowej rewolucji.

„NINA", REŻ. OLGA CHAJDAS, DYSTR. FILM

DVD



Skala ocen: dno | koszmar | rozczarowanie | można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 93ce4e52b2

Westerplatte.
Specustawa jest niezbędna

Gdańsk jest dumnym miastem ściśle związanym z historią Rzeczypospolitej. W okresie jagiellońskim i królów elekcyjnych to była korona RP, okno na świat. Potem była dramatyczna historia rozbiorów oraz II wojny światowej. I agresywnego państewka antypolskiego – czyli Wolnego Miasta Gdańska. Gdańsk ma jednak niepodważalnie swoją wagę w historii Polski. I my to chcemy pokazać

Co udało się wypracować z prezydent Gdańska Aleksandrą Dulkiewicz podczas ubiegłotygodniowego spotkania? Kompromis, porozumienie? Jest pan zadowolony z tej rozmowy?

Jarosław Sellin: Przede wszystkim jestem zadowolony, że ta rozmowa się odbyła. Prosiłem o nią od dłuższego czasu. Chciałem rozmawiać spokojnie, żeby nie było wokół tego niepotrzebnego konfliktu, niepotrzebnego napięcia. Dobrze, że wreszcie się udało. Myślę, że to powinno nas łączyć. Żeby powstało narodowe, atrakcyjne, ciekawe, merytoryczne, plenerowe Muzeum Westerplatte. Zabiegamy o to od kilkunastu lat. Już w 2006 r. powołaliśmy pełnomocnika wojewody pomorskiego do budowy tego muzeum, a 1 września 2007 r. powołaliśmy je jako oddział Muzeum Historii Polski. Potem straciliśmy władzę i okazało się, że rząd PO-PSL, a także władze Gdańska nie są tym zainteresowane. W grudniu 2015 r., gdy wróciliśmy do władzy, natychmiast powołaliśmy Muzeum Westerplatte i Wojny Obronnej 1939, wkrótce tworząc z niego filię Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Dziś chcemy je zbudować nie w konflikcie, tylko we współpracy z miastem. Jednak o kompromisie i porozumieniu będę mógł mówić wtedy, kiedy nasze prośby zostaną zrealizowane.

Rozumiem, że porozumienie w tej kwestii zostało osiągnięte?

Mam nadzieję, że tak. Zaproponowałem pani prezydent, żeby, po pierwsze, przedstawiciele miasta weszli do Komitetu Honorowego Budowy Muzeum Westerplatte, który będzie miał wpływ na to, aby przygotować szczegółowe plany, jak upamiętnienie ma wyglądać w konkretnych miejscach, jeszcze zanim inwestycja powstanie. Myślę, że to jest atrakcyjna propozycja dla miasta. Żeby miało poczucie, że jest współautorem koncepcji. Po drugie, żeby przedstawiciel miasta wszedł do Rady Muzeum II Wojny Światowej. Ona funkcjonuje już dwa lata. Prosiliśmy miasto o to, żeby przedstawiciele tam zasiedli. W Radzie są wybitni historycy, muzealnicy, kombatanci, a nie ma przedstawiciela miasta, w którym to muzeum funkcjonuje. Z niezrozumiałych dla nas przyczyn miasto dotąd odmawiało oddelegowania swoich przedstawicieli do Rady. Po trzecie, zapraszamy do Komitetu Honorowego Budowy Pomnika Witolda Pileckiego w Gdańsku. Pomnik jest już gotowy. Będzie odsłonięty we wrześniu. I podobnie, z niezrozumiałych dla nas przyczyn, mimo próśb, miasto nie oddelegowało przedstawiciela, choć zgodził się w nim zasiąść marszałek pomorski Mieczysław Struk z Platformy Obywatelskiej. Mam nadzieję, że te trzy prośby będą zrealizowane i będziemy współpracować. To będą wspólne pola współpracy.

Jak w takim razie oceniać plany wprowadzenia specustawy, która oddaje teren Westerplatte pod władanie państwa? Ona jest jeszcze potrzebna?

To jest, moim zdaniem, niezbędne. Postulatu pani prezydent, żeby wycofać się ze specustawy, nie przyjąłem. Aby zrealizować tę inwestycję, czyli postawić muzeum, a uważam, że jest to możliwe w ciągu trzech–czterech lat, ustawa jest niezbędna. Mamy tam problem z rozproszeniem właścicielskim i nie dotyczy to tylko własności miasta i jego zarządu nad gruntami skarbu państwa. Tam jest kilka podmiotów, które mają współwłasność. I bez specustawy trudno będzie to muzeum wybudować. Podtrzymujemy wolę uregulowania tej kwestii przez specustawę. Właściciele dostaną odszkodowanie. Ustawa zakłada także pewne uproszczenia proceduralno-administracyjne, które umożliwią szybkie zrealizowanie tej inwestycji. Deklaracji pani prezydent, że wniesie ona te tereny pod budowę muzeum pod warunkiem wycofania spec-

eprasa.pl 93ce4e52b2

ustawy, nie przyjmujemy, dlatego że specustawa reguluje kwestie gruntów w ogóle, a nie tylko kwestię gruntów miasta Gdańska.

Jak czyta pan słowa pani prezydent o tym, że działania przewidziane w specustawie to powrót do czasów stalinizmu? Przeprosiła pana za nie?

Spuszczę nad tymi słowami zasłonę milczenia. Chcę dobrej współpracy i nie chcę eskalować niepotrzebnego napięcia. Myślę, że właściwa reakcja posłów na te słowa już była, na posiedzeniu sejmowej komisji infrastruktury, gdzie te słowa padły.

Czy wierzy pan, że do 1 września, czyli 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej, ta kwestia nie będzie już wywoływała politycznych sporów na linii samorząd gdański – rząd?

Mam taką nadzieję. Jednak w opinii publicznej łączy się i miesza dwie odrębne sprawy: uroczystości i budowy muzeum. Uroczystości upamiętniające wybuch II wojny światowej o godz. 4.45 pod pomnikiem są od 21 lat organizowane przez miasto. Ze względu na ich wagę przedstawiciele władz rządowych zawsze na te uroczystości przyjeżdżali. Przyjadą również w tym roku. Będzie premier, duża część rządu, godna reprezentacja parlamentu. Prezydent ma plan, by ten dzień spędzić w Wieluniu i w Warszawie razem z prezydentami Stanów Zjednoczonych i Niemiec. Mamy jednak też swoje plany na uroczystości, do udziału w których zachęcałem władze Gdańska. To podpisanie paktu Ribbentrop-Mołotow 23 sierpnia, wystawa i konferencja międzynarodowa z udziałem przedstawicieli poszkodowanych przez pakt państw. Od Finlandii na północy po Rumunię na południu. 1 września mamy też swoje wydarzenia w Muzeum II Wojny Światowej, a 17 września odsłonięcie pomnika Pileckiego. Liczę na to, że pojawią się tam władze Gdańska. Liczę na miły rewanż.

Patrząc na to, co działo się w ostatnich tygodniach, władze miasta nie chciały, tu cytat, „oddać PiS-owi Gdańska". A „Westerplatte należy do gdańszczanek i gdańszczan". To jest rzeczywiście miejsce gdańszczan czy pisanie historii od nowa?

Na spotkaniu z panią prezydent przytaczałem badania, które prowadziliśmy wśród Polaków. Pytani o to, z jakimi miejscami geograficznymi kojarzy im się II wojna światowa, na pierwszym miejscu wskazują Auschwitz-Birkenau, na drugim Westerplatte, na trzecim Warszawę. Miasto, gdzie istniało całe podziemie, gdzie były dwa powstania, gdzie dział się wielki dramat. Mimo to Westerplatte jest wskazywane częściej. To oznacza, że jest to silny symbol, a jego zagospodarowanie to sprawa narodowa, państwowa. Nie przyjmuję retoryki, że Westerplatte to jest miejsce wyłącznie gdańszczan. W Warszawie rządzi polski rząd, z mandatem demokratycznym. Nawet ostatnio zweryfikowanym w wyborach do europarlamentu. Radziłem na posiedzeniu komisji infrastruktury samorządowcom, którzy taką retorykę stosują, by nie mówili o „rządzie pisowskim" czy „opresyjnym rządzie pisowskim". To jest rząd polski. I ma prawo prowadzić swoją politykę historyczną.



Fot. Andrzej Wiktor

A ta jest najskuteczniejsza, kiedy jest prowadzona przez trwałe instytucje. Takie jak Muzeum Westerplatte i Wojny Obronnej 1939. Od trzech lat Muzeum prowadzi np. badania archeologiczne na terenie Westerplatte. Główne zadanie to jednak zbudowanie plenerowego muzeum na miejscu.

Wicepremier Jacek Sasin powiedział, że spór o Westerplatte jest sztucznie wywołany.

Oczywiście. Nie powinno być tego sporu. Gdańsk jest dumnym miastem ściśle związanym z historią Rzeczypospolitej. W okresie jagiellońskim i królów elekcyjnych to była korona RP, okno na świat. Potem była dramatyczna historia rozbiorów oraz II wojny światowej. I agresywnego państewka antypolskiego – czyli Wolnego Miasta Gdańska (WMG). Gdańsk ma jednak niepodważalnie swoją wagę w historii Polski. Nie rozumiem próby budowania takiej dychotomii i napięcia wokół celów polityki historycznej, którą chce budować polski rząd, i szukania różnicy wobec tej polityki wśród obecnych władz samorządowych w Gdańsku.

eprasa.pl 93ce4e52b2

Powrót do WMG jest celem politycznym? Prezydenci miasta mawiali, że to miasto zawsze było wolne, tolerancyjne, otwarte. Że Gdańsk to wyspa wolności na mapie Polski. To ma uzasadnienie historyczne?

W ub.r. 1 września uczestniczyłem w uroczystościach pod Pocztą Polską w Gdańsku. Widząc, że są tam przedstawiciele wysokich władz Gdańska, prosiłem, by zaniechać praktyk tworzenia kultu WMG. Było to świeżo po śmierci wybitnego gdańskiego pisarza, świadka historii Brunona Zwarry, który też ostro z tą tendencją polemizował. WMG to było agresywne, antypolskie, antyżydowskie państewko, którego powstanie było błędem mocarstw tworzących w Wersalu nowy porządek w Europie po I wojnie światowej. Okazało się nawet, że samo istnienie tego państewka było pretekstem dla agresywnych Niemiec hitlerowskich do wybuchu nowej wojny światowej. To było państewko, w którym władza partii hitlerowskiej przyszła kilka miesięcy szybciej niż w całych Niemczech. Atmosfera w nim była taka, że pocztowców broniących się 1 września, a potem prowadzonych do niewoli ulicami Gdańska, spontanicznie ludność opluwała, biła, choć nikt jej do tego nie przymuszał. Taka była atmosfera w Wolnym Mieście Gdańsku.

To czemu to służy?

Nie wiem, może jest jakiś sentyment. Może do kultury materialnej? Uważam, że to nie jest dobre. To był wstydliwy okres w dziejach Gdańska, a nie czas, do którego można z sentymentem wracać i go kultywować.

Nie ma pan wrażenia, że władze Gdańska wykorzystują ten kult do celów politycznych? Wolny Gdańsk kontra cała Polska, Polska PiS?

Jest takie zjawisko wśród niektórych samorządowców, włodarzy dużych miast. Zamiast zajmować się tym, do czego zostali powołani, czyli realizować pragmatyczne interesy mieszkańców miasta, mają aspiracje, ambicje ustawiać się w opozycji do rządu polskiego, bo wywodzą się z innych środowisk politycznych. To jest mieszanie ról. Jeśli chcesz być w opozycji do rządu, to startuj z list opozycyjnych do Sejmu i Senatu.

Jak w takim razie znaleźć kompromis z przedstawicielami samorządu w kwestii historii dotyczących nowych muzeach? Także na Westerplatte?

Rzecz jest prosta. Trzeba opowiadać prawdę. A prawda była taka, że Polska stawiła czoła dwóm totalitaryzmom jako pierwsza. Walczyła przez niemal całą II wojnę światową na dwóch frontach, nie kolaborowała, wystawiła największą armię podziemną w całej Europie. Walczyła od początku do końca. I o tym polskim wysiłku trzeba opowiadać. Mówić, kto był oprawcą, a kto ofiarą. Mówić i o Niemcach, i o Sowietach. Zarówno w Muzeum II Wojny Światowej, jak i na Westerplatte.

Duże kontrowersje dotyczą też Europejskiego Centrum Solidarności (ECS). Uważa pan, że ta instytucja jest upolityczniona?

Niestety na Pomorzu od ponad ćwierć wieku rządzi to samo środowisko polityczne. Przyznaję, że z mandatem społecznym. Ma ogromne poparcie. Miasto i marszałek są współorganizatorami ECS, ministerstwo także. Ale miasto i marszałek mają większość. Atmosfera jest tam taka, że ECS staje się ich siedzibą partyjną. Tam są briefingi prasowe polityków związanych z układem rządzącym na Pomorzu. Nawet wiece o charakterze wyborczym i agitacyjnym. Nie znam takiej sytuacji w żadnej innej instytucji kultury. Próbowaliśmy tę sytuację złagodzić, ale nasze działania spotkały się z odmową. Zarzucano nam, że chcemy złamać niezależność tej instytucji. A moja teza jest taka, że niezależność ECS została złamana już dawno. Tyle że zawłaszczyła tę instytucję PO i jej akolici.

Jak pan na to wszystko patrzy jako gdańszczanin? Historia miasta jest taka, że to było miejsce narodzin Solidarności, a potem konserwatywnej z założenia PO. Piotr Semka postawił tezę, że to dlatego, że osiedlili się tam mieszkańcy Kresów Wschodnich, którzy mieli silne antykomunistyczne poglądy.

Rozszerzę tezę Piotra Semki. Buntowniczość Gdańska w '70 i '80 roku, i jeszcze później, wzięła się z takiej mieszanki wybuchowej Kresowian i Kaszubów. Z różnych powodów władza komunistyczna nie była lubiana przez oba te żywioły. Z powodów także mentalnych. Widziałem to na własne oczy jako student pracujący w stoczni. Z tego konserwatywnego matecznika PO pozostały, jak to ujął wicepremier Jarosław Gowin, współtworzący niegdyś PO, postrzępione pióra. Moim zdaniem, nawet z tych strzępów niewiele zostało. W czasach kiedy politycy PO i PiS nazywali siebie jeszcze przyjaciółmi, czyli przed 2005 r., pamiętam, że Paweł Śpiewak zadał takie pytanie: jak szybko PO zostanie skolonizowana ideowo przez „Gazetę Wyborczą" i podobne środowiska? Okazało się, że stało się to szybciej, niż się ktokolwiek spodziewał. Liderów tej partii interesowała konsumpcja władzy, a nie idee. PO szybko stała się bezideową partią władzy (dziś bezideową partią tęskniącą do władzy), ale tę pustkę zaczęły wypełniać i narzucać jej agendę dobrze zorganizowane środowiska lewicowe i lewackie. I to w tę stronę ewoluuje cała Platforma.

A co się stało z tym konserwatywnym duchem gdańszczan?

On nadal jest. My tam, owszem, wybory przegrywamy, jednak 1/4, czasem 1/3 mieszkańców głosuje na PiS i prawicę. Zawsze podkreślam ludziom, którzy mają skłonność do obrażania się na wyniki wyborów, że spacerując po moim pięknym mieście, trzeba pamiętać, że średnio co trzecia osoba mijana w mieście to nasz zwolennik. Nie zapominajmy, że mieszkańcami Gdańska są nie tylko Wałęsa, Borusewicz czy Bogdan Lis, ale także państwo Joanna i Andrzej Gwiazdowie, Krzysztof Wyszkowski czy Czesław Nowak. To są legendy Solidarności i ludzie wierni jej ideałom. Ruchu wolnościowego, republikańskiego i niepodległościowego. Jest też dzisiejsza Solidarność z centralą w Gdańsku, która jako związek zawodowy jest kontynuatorem tych samych idei.

eprasa.pl 93ce4e52b2



Książka zakazana nadal godna lektury

Konspiracyjne publikacje były potężną dawką aktualnych informacji, niezafałszowanej wiedzy historycznej, wolnościowych idei, zbiorów wartości nieobecnych w życiu sowietyzowanych społeczeństw. Przyczyniły się w dużej mierze do pokonania imperium zła. A przecież za ich wydawanie, kolportaż, a nawet lekturę groziły represje



KRZYSZTOF DYBCIAK

W ostatnich dniach w związku z obchodami rocznicy wyborów 4 czerwca 1989 r. odbywały się wydarzenia przypominające wielonurtowe zjawisko wolnej kultury istniejącej poza strukturami komunistycznego państwa. Obradom Szczytu Przewodniczących Parlamentów Państw Europy Środkowej i Wschodniej oraz spotkaniu opozycjonistów narodów podporządkowanych Związkowi Sowieckiemu (oryginalne i szlachetne przedsięwzięcia odbywające się w gmachu Sejmu RP) towarzyszyła wystawa antykomunistycznych druków konspiracyjnych nie tylko z Polski, lecz również z innych krajów ujarzmionych przez rosyjski marksizm-leninizm. Eksponaty na wystawę pochodzą ze zbiorów marszałków Sejmu i Senatu Marka Kuchcińskiego (najwięcej) i Bogdana Borusewicza, posłanki Małgorzaty Zwiercan (sprzęt poligraficzny) oraz Ośrodka Karta i Biblioteki Sejmowej. Z okazji tej ekspozycji zatytułowanej „1989. Rok wolności ludów. Zwycięstwo wolnego słowa" wydrukowano ładną graficznie broszurę z pożytecznym tekstem Błażeja Popławskiego.

Fot. Mat. prasowe

1. SZACUNEK DLA WYSOKIEJ KULTURY

Warto się zastanowić nad tytułem wystawy, bo obecnie opinia publiczna nawet w krajach dawnego bloku sowieckiego słabo uświadamia sobie rolę odegraną przez drugi obieg wydawniczy, a młodzi – żyjący w okresie dewaluacji słowa i obniżenia autorytetu pisma są zdumieni twierdzeniem, że to publikacje czasopiśmiennicze i książkowe przyczyniły się w dużej mierze do pokonania imperium zła oraz ustanowienia państw niepodległych i demokratycznych. Ale to prawda – konspiracyjna produkcja wydawnicza była potężną dawką w miarę obiektywnej informacji współczesnej, niezafałszowanej wiedzy historycznej, wolnościowych idei, zbiorów wartości nieobecnych w życiu sowietyzowanych społeczeństw. Już same liczby budzą szacunek. Historycy, badacze literatury, bibliografowie ustalili (ciągle ustalają), że w latach 1976–1989/1990 ukazało się ponad 6 tys. druków o charakterze książkowym i ponad 5 tys. tytułów czasopism: od parostronicowych i krótkotrwałych biuletynów po grube zeszyty periodyków literackich, humanistycznych,

eprasa.pl 93ce4e52b2

teoretyczno-programowych: „Zapis", „Kultura Niezależna", „Arka", „Głos", „Krytyka", „Spotkania"...

Ten imponujący ilościowo dorobek wydrukowano w warunkach dyktatury PZPR i komunikacyjnego monopolu komunistycznego państwa. Ale nawet w pracach historyków prezentacja wolnego piśmiennictwa bywa jednostronna. Opisuje się zjawisko wyjątkowe pod względem technicznym, organizacyjnym i moralnym, ponieważ uczestnicy drugiego obiegu, szczególnie drukarze i kolporterzy, byli narażeni na represje, zwłaszcza w okresie wojny polsko-jaruzelskiej, jak nazywano stan wojenny. Ale za mało pamiętamy i piszemy o twórczym charakterze niezależnej literatury. To nie było tylko ofiarne i umiejętne przedrukowywanie publikacji emigracyjnych lub przedwojennych. Od końca lat 70. pisarze i uczeni z humanistycznych dyscyplin pisali dzieła specjalnie przeznaczone dla drugiego obiegu; a byli to pisarze czołówki naszej literatury (Andrzejewski, Brandysowie, Herbert, Konwicki, Marek Nowakowski, Rymkiewicz) i historycy tej klasy co Bohdan Cywiński i Wojciech Roszkowski (pod pseudonimem Andrzej Albert).

Należy podkreślać, że duch konspiracji, walka polityczna, natężenie emocji patriotycznych i religijnych nie powodowały obniżenia poziomu publikacji pozacenzuralnych i wybierania łatwizny intelektualnej przez odbiorców. Smaku estetycznego i kultury literackiej możemy obecnie pozazdrościć uczestnikom drugiego obiegu. Oto bardzo znamienna rzecz. W opartej na szerokiej bazie dokumentacyjnej rozprawie Beaty Dorosz „Literatura i krytyka drugiego obiegu", w zbiorowej publikacji Instytutu Książki i Czytelnictwa Biblioteki Narodowej z 1992 r., znalazła się lista autorów najczęściej wydawanych poza cenzurą. Otóż w owym rankingu pierwsze miejsca zajęli najwybitniejsi polscy pisarze (głównie prozaicy, ale to zrozumiałe) XX w.: Czesław Miłosz (84 publikacje, na czele ze „Zniewolonym umysłem") Józef Mackiewicz (51), Witold Gombrowicz (32), Gustaw Herling-Grudziński (26), Stanisław Barańczak (25), Leszek Kołakowski i Sławomir Mrożek po 23, dziesiątkę najpopularniejszych pisarzy zamykają Marek Hłasko, Piotr Wierzbicki i Marek Nowakowski.

Dzisiaj na listach bestsellerów dominują utwory parę klas słabsze, najbardziej czytane są powieści sensacyjne, romansowe, fantastyczne, a od tej „literatury" jeszcze popularniejsze są wszelkiego rodzaju poradniki. Teraz możemy tylko podziwiać ówczesną pasję do prawdziwej i trudnej literatury. Niezależna kultura obejmowała także przesyconą narodowymi i katolickimi wartościami wysoko artystyczną twórczość czołowych artystów plastyków, muzyków i... ludzi teatru. Wielu uczestników obecnego życia kulturalnego słucha i czyta opowieści o tego rodzaju zjawiskach jak bajki o żelaznym wilku.

2. ANGLOSASCY FILOZOFOWIE I ARTYŚCI NA PRZEMYSKIM PODDASZU

Również na początku czerwca ukazał się staraniem Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej cenny tom będący reprintem niezależnego (początkowo podziemnego) czasopisma literacko-artystycznego „Strych Kulturalny" redagowanego przez Marka Kuchcińskiego i Jana Musiała, graficznie opracowywanego przez Mirosława Kocoła. Niejednego ten pięknie wydany tom zaskoczy. Przyzwyczajeni jesteśmy do wspomnień o doraźnych, czysto użytkowych, publikacjach poza cenzurą, jako ubogich graficznie drukach z ledwie czytelną czcionką na złej jakości papierze, dlatego ze zdumieniem przeglądamy czasopismo wypełnione wierszami i literackimi szkicami ozdobione reprodukcjami dzieł sztuki współczesnej.

Czasopismo było rezultatem paroletniej działalności kulturalnej i politycznej środowiska przemyskiej inteligencji. Od 1983 r. odbywały się tu indywidualne i zbiorowe wystawy artystów polskich i zagranicznych, koncerty, dyskusje, spotkania autorskie. Małe miasto położone przy granicy ze Związkiem Sowieckim tętniło kulturalnym życiem na najwyższym poziomie. Przypomnijmy przykładowo, że wystawiali tam tej klasy artyści, co Tadeusz Boruta i Henryk Waniek, spotkania autorskie mieli Bohdan Cywiński, Jan Józef Szczepański, Ryszard Legutko, Leszek Moczulski, Tadeusz Mazowiecki, angielscy twórcy i Mark Lilla z Harvard University (obecnie wybitna postać światowej humanistyki).

Chyba jeszcze większe wrażenie wywołuje międzynarodowy wymiar „Strychu...", pamiętając, że chodzi o periodyk podziemny wydawany w małym mieście. Od drugiego numeru drukowane były teksty brytyjskich artystów i uczonych reprezentujących wolnościowe, antykomunistyczne postawy, którzy dlatego nie mogli się pojawić w oficjalnej kulturze PRL. Jakie wrażenie na nich wywierała ta wyspa wolności na brudnoczerwonym morzu komunizmu, świadczy spisane po kilkudziesięciu latach wspomnienie czołowego obecnie w świecie filozofa konserwatysty Rogera Scrutona: „Wszędzie, gdzie pojechałem, było jasne, jak skutecznie partia komunistyczna ponownie wymazała z Polski jej społeczeństwo obywatelskie, pozostawiając resztki Kościołowi. (...) A potem natknąłem się na Przemyśl. (...) Ich grupa dyskusyjna została opisana jako poddasze, i gdy ich spotkałem, znalazłem się w otwartej społeczności normalnych ludzi, którzy byli zdeterminowani żyć, malować, pisać i dyskutować, jakby Partia była niczym więcej niż strumieniem brudnej wody płynącej w ściekach poniżej. Na ich czele stał Marek Kuchciński, dawny student historii, który żył poza systemem i był gorliwym wyznawcą kultury jako wyzwolenia ducha i przeciwstawienia się porządkowi totalitarnemu. Wokół niego zgromadzili się pisarze, malarze, nauczyciele i to dzięki niemu udało się zorganizować serię wizyt zachodnich intelektualistów, aby omówić na tych strychach najważniejsze zagadnienia dnia" (cytat ze wstępu do wspomnianej książki reprintów „Strychu...").

Rzeczywiście, Przemyśl lat pierwszej Solidarności i stanu wojennego – a rozszerzam zakres czasowy tego zjawiska historycznego poza (pseudo)prawne regulacje, np. formalne złagodzenie czy zakończenie wojny polsko-jaruzelskiej, czyli do 1989 r. – był enklawą wolności w rządzonej przez komunistów Polsce. Najpierw swą wyjątkowość wykazał przemyski Kościół rzymskokatolicki kierowany przez abp. Ignacego Tokarczuka, jedną z wybitniejszych postaci tamtych czasów. Pod jego przywództwem rozwijało się religijne życie na wielu poziomach, dynamiczne było duszpasterstwo, organizowano

eprasa.pl 93ce4e52b2

Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej i prowadzono akcję budownictwa sakralnego niemającą sobie równych w skali całego bloku sowieckiego, od Łaby do Pacyfiku. Historycy zgodnie twierdzą, że w tamtym okresie budowa kościołów i punktów katechetycznych największe rozmiary przybrała w diecezji przemyskiej. Arcybiskup zachęcał wiernych do wznoszenia obiektów sakralnych bez zezwolenia władzy ludowej, „na dziko", a więc nielegalnych z punktu widzenia obowiązującego w PRL prawa.

3. PODKARPACIE JAKO DUCHOWA FORMA ŻYCIA

Pod opieką przemyskiego Kościoła mogły się dobrze rozwijać działania intelektualne: artystyczne, literackie, popularnonaukowe, metapolityczne. Pamiętam, że przyjeżdżając na odczyty w ramach Tygodni Kultury Chrześcijańskiej, a potem działalności „Strychu Kulturalnego", zaraz po wyjściu z zabytkowego dworca kolejowego oddychałem lżej nie tylko z powodu świeżego powietrza okolic podkarpackich. Oprócz wnętrz świątyń i sal przykościelnych niezapomniane były spotkania dyskusyjne w domach prywatnych, a szczególnym miejscem było poddasze domu rodziny Kuchcińskich. Młody Marek kontynuował tradycje rodzinne jako ogrodnik, a jednocześnie rozszerzał swą działalność na tereny artystyczne i naukowe – współorganizując wystawy sztuki, spotkania autorskie, z czasem redagując czasopismo kulturalne.

„Strych Kulturalny", rozumiany szerzej jako aktywne środowisko organizujące spotkania autorskie, wystawy i dysputy, miał swoją specyfikę. Przywołując wspomnienia i porównując rozmaite miejsca i środowiska opozycyjne, muszę stwierdzić, że na poddaszu Marka Kuchcińskiego panowała swobodniejsza atmosfera towarzyska stwarzana przez gospodarza, który wniósł też trochę elementów tradycji cyganerii o hipisowskim odcieniu. Nie było tam zupełnie ponurej zaciekłości koterii politycznych ani doktrynalnego fanatyzmu lewicowych grup już wtedy kiełkujących, a tak bujnie rozkrzewionych obecnie. Ale również nie było na strychu Marka tak wtedy powszechnego eklektyzmu światopoglądowego – wspomniany artystowski estetyzm interesująco i prekursorsko łączył się z filozofią chrześcijańską, wartościami narodowymi i konserwatyzmem o trochę liberalnym odcieniu.

Niezwykłych ludzi związanych z ziemią lub diecezją przemyską, późniejszych współpracowników „Strychu Kulturalnego", poznawałem od końca lat 70. w innych miejscach Polski, przede wszystkim w opozycyjnych środowiskach Krakowa i Warszawy. Na przykład wspomnianego już redaktora „Strychu..." polonistę Jana Musiała, późniejszego pierwszego wojewodę wybranego na Podkarpaciu w wolnych wyborach i senatora, a jeszcze później historyka literatury i nauczyciela akademickiego; Jana Drausa, senatora pierwszych kadencji, ale przede wszystkim świetnego historyka najnowszych dziejów; trochę później młodszego od nich Mariusza Olbromskiego, pisarza, dyrektora muzeów, znawcę spraw polsko-ukraińskich.

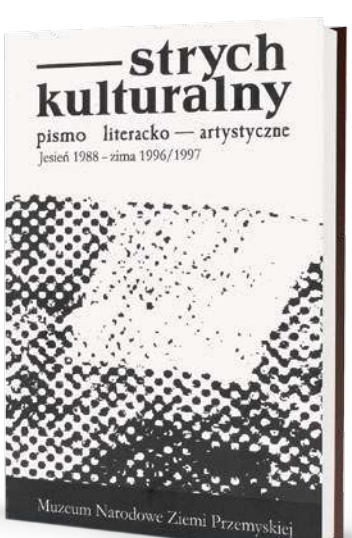

Marszałek Sejmu Marek Kuchciński

Fot. Fratria

Także w niepodległej Rzeczypospolitej Przemyśl i całe Podkarpacie zachowały swą wyjątkowość, stając się bastionem patriotyzmu i katolicyzmu. Nigdy nie zdobyli tu przewagi postkomuniści ani lewicowi liberałowie, nie zyskały poparcia nihilistyczne i prostackie ruchy współczesnej rewolucji kulturalnej. Dla mieszkańców innych regionów Polski i Unii Europejskiej, jak niżej podpisany, postawa obywateli dawnej Galicji była pokrzepieniem w ostatnim 30-leciu.

Zagadka odporności duchowej Podkarpacia wymaga szczegółowych badań, ale można już teraz wskazać kilka przyczyn. Silny jest tu przekaz tradycji polskich i wysokiej kultury Zachodu, religijność jest wyższa niż w innych częściach Polski. Trzeba też brać pod uwagę wymiar estetyczny, jest to przecież – obok województwa małopolskiego – najpiękniejszy region naszej ojczyzny; np. spiętrzenie trzech poziomów wspaniałych kościołów w Przemyślu jest cudem architektonicznym i widokiem porównywalnym na świecie chyba tylko z panoramą Toledo widzianego zza Tagu.

Być może kulturowa i polityczna wyjątkowość Podkarpacia polega na połączeniu piękna moralnego i estetycznego, miał rację Herbert, pisząc wiersz „Potęga smaku". Kiedy myślę o miastach południowo-wschodnich Kresów obecnej Rzeczypospolitej, przypomina mi się również klasyczny esej Tomasza Manna „Lubeka jako duchowa forma życia". Jeden z największych pisarzy XX w. pisał w nim o małym mieście na kresach jego ojczyzny, jako środowisku wyjątkowo cennym kulturotwórczo, dzięki któremu stworzył swoje dzieła. Warto prowadzić badania nad dziejami Przemyśla i sąsiednich miast, warto je odwiedzać. Przemyśl zasługuje na swoich pisarzy. Ostatnim świadectwem inspirującej siły tego miasta jest wiersz Wojciecha Wencla „Wieczór w Przemyślu" ze zbioru „Polonia aeterna" opublikowanego w ub.r. w wydawnictwie Arcana, jeden z piękniejszych wierszy napisanych po polsku w ostatnich latach.



eprasa.pl 93ce4e52b2



Prof. Franciszek Chrapkiewicz (z prawej) z dr. Robertem Witalcem, historykiem z rzeszowskiego oddziału IPN, współautorem książki „Pozyskać »Dobrego«. Wywiad PRL wobec Franciszka Chrapkiewicza i jego rodziny"

Polowanie na Chrapkiewicza



JAROMIR KWIATKOWSKI

Siatka agentów śledzących Franciszka Chrapkiewicza we Francji, osaczanie jego siostry, obietnice rehabilitacji rodziców składane przez funkcjonariuszy wywiadu występujących w roli naukowców lub dyplomatów... Wywiad PRL nie szczędził sił ani środków, by pozyskać do współpracy wybitnego genetyka, pochodzącego z Godowej k. Strzyżowa na Rzeszowszczyźnie. Bezskutecznie

Wywiad PRL zainteresował się Franciszkiem Chrapkiewiczem (dziś 95-letnim) w latach 50., gdy naukowiec był pracownikiem Centrum Badań Energii Jądrowej pod Paryżem. – W Godowej pozostała jego siostra Teresa Gorczyca. Kiedy w 1956 r. złożyła wniosek o wydanie paszportu na wyjazd do Francji, w odwiedziny do brata, SB zainteresowała się nią, podobnie zresztą jak interesowała się każdą osobą, która ubiegała się o wyjazd na Zachód. Pani Teresa została poddana inwigilacji, która obejmowała m.in. kontrolę korespondencji. Tą drogą przechwycono list Franciszka Chrapkiewicza do siostry, w którym bardzo ogólnie informował o swoich badaniach. Poprzez tajnych współpracowników ustalono jego miejsce pracy. Wówczas zainteresował się nim wywiad – opowiada dr Robert Witalec, historyk z rzeszowskiego oddziału IPN, współautor wydanej w 2008 r. książki „Pozyskać »Dobrego«. Wywiad PRL wobec Franciszka Chrapkiewicza i jego rodziny".

REWOLUCJA W GENETYCE

Jak naukowiec trafił do Francji? W 1944 r., w okolicznościach, do których przyjdzie nam jeszcze wrócić, 20-letni wówczas Franciszek wyjechał z Godowej do Chabówki i Poronina, gdzie pracował w tartakach. Związał się z krakowskim antykomunistycznym podziemiem. Został aresztowany przez UB w Krakowie. Przesiedział pół roku. W 1945 r. objęła go amnestia. Rok później uciekł przez Szczecin i Berlin do Niemiec Zachodnich. Znając świetnie język niemiecki, wielokrotnie przekraczał zieloną granicę jako kurier, przewoził pieniądze i dokumenty dla podziemia. Ukończył szkołę średnią, po czym wyjechał do Francji.

Od tego momentu zaczyna się opowieść jak ze snu. Młody Franciszek trafił do Paryża bez franka przy duszy i bez znajomości francuskiego. Mimo to już po sześciu latach uzyskał swój pierwszy doktorat – z weterynarii, po 14 – z nauk przyrodniczych. W międzyczasie studiował biochemię i biologię molekularną na Sorbonie. W 1951 r. ożenił się z Renée Bouvier, malarką i poetką. Dwa lata później przyjął francuskie obywatelstwo i zmienił nazwisko na François Chapeville, co umożliwiło mu

eprasa.pl 93ce4e52b2

zatrudnienie w Centrum Badań Energii Atomowej.

Tam rozpoczął badania nad metabolizmem związków siarki. Wzbudziły one zainteresowanie noblisty Fritza Lipmanna, który w 1961 r. zaprosił Chrapkiewicza do współpracy w swoim laboratorium na Uniwersytecie Rockefellera w Nowym Jorku. Tam Chrapkiewicz-Chapeville dokonał swego największego odkrycia: wykazał, że odpowiedzialny za odczytywanie informacji z DNA jest RNA, czyli kwas rybonukleinowy. To była prawdziwa rewolucja w genetyce.

– Wówczas noblista Jacques Monod przyjechał do Nowego Jorku, żeby mi zaproponować katedrę na Sorbonie. Nie chcę przesadzać, ale gdybym został jeszcze rok w Stanach, z całą pewnością byłbym jednym z kandydatów do Nobla – opowiadał mi Franciszek Chrapkiewicz w 2009 r., podczas ostatniej bytności w rodzinnych stronach w związku z promocją książki „Pozyskać »Dobrego«...".

Monod doprowadził do mianowania Chrapkiewicza na profesora Sorbony i przydzielenia mu laboratorium badawczego. Tam uczony spod Strzyżowa rozszerzył swoje badania na mechanizmy funkcjonowania genomu oraz na wirusologię roślin i embriologię. Odszedł na emeryturę w 1991 r.

ZAGRAĆ RODZINNĄ TRAGEDIĄ

Zanim jednak Chrapkiewicz osiągnął swoje największe sukcesy, zainteresował się nim wywiad PRL, który nadał sprawie jego pozyskania kryptonim „Dobry". – Być może dlatego, że z analizy jego korespondencji z siostrą wyłoniła się postać człowieka szlachetnego, mocno związanego uczuciowo z rodziną i krajem – zastanawia się Robert Witalec.

Wywiad liczył, że dzięki zwerbowaniu naukowca uzyska informacje o badaniach nad bronią atomową i środkami przeciwpromiennymi oraz zagwarantuje sobie dostęp do wyników doświadczeń fizjologicznych prowadzonych na zlecenie wojska. Metody, jakie zastosowano, były przeróżne: od kontroli korespondencji, poprzez podsłuch, fabrykowanie dokumentów, rozsiewanie plotek przez agentów, po tzw. kombinacje operacyjne.

Próbowano też dotrzeć do niego poprzez siostrę. – W tym celu posłużono się zastępcą komendanta MO ds. bezpieczeństwa w Strzyżowie kpt. Kazimierzem Zawiślakiem – opowiada historyk z IPN. – W centrali Departamentu I opracowano plan, w myśl którego Zawiślak miał niby to przypadkowo spotkać się z Teresą Gorczycą, nawiązać z nią kontakt i zdobyć jej zaufanie.

Ustalono, że dwa razy w tygodniu kobieta udaje się pociągiem ze Strzyżowa do Rzeszowa. Kpt. Zawiślak miał obserwować stację i w przypadku, gdyby zauważył panią Teresę, miał wsiąść razem z nią do pociągu i nawiązać rozmowę. Plan się nie powiódł, bo Zawiślak, pomimo kilkukrotnego przychodzenia na stację nie spotkał siostry Franciszka Chrapkiewicza.

Plan więc zmieniono i wysłano kpt. Zawiślaka bezpośrednio do jej domu. Już wtedy postanowiono zagrać rodzinnym dramatem Chrapkiewiczów: w 1944 r. w wyniku tragicznego splotu wydarzeń rodzice Franciszka i Teresy zostali zamordowani we własnym domu przez patrol likwidacyjny AK. Egzekucja była wynikiem niesłusznych podejrzeń o współpracę z okupantem. Nieprzyjemną atmosferę wokół rodziny naukowca skutecznie podgrzewali agenci bezpieki, rozpuszczający sugestie, jak to dobrze powodzi się niemieckim konfidentom.

– Kpt. Zawiślak przyszedł do pani Teresy z legendą, że zatrzymano człowieka, którego podejrzewano, iż może mieć jakiś związek z likwidacją jej rodziców – opowiada Robert Witalec. – Pani Teresa przyjęła to za dobrą monetę, bardzo szeroko naświetliła tamte tragiczne wydarzenia i stwierdziła, że wraz z bratem wystąpili do strzyżowskiego ZBOWiD o rehabilitację rodziców, ale ta sprawa zbyt długo się przeciąga. Kpt. Zawiślak poprosił więc, by napisała obszerną notatkę i opisała przebieg tych wydarzeń. Obiecał, że przekaże ją do Warszawy i że być może uda się sprawę przyspieszyć.

Widząc ogromne zaangażowanie Teresy Gorczycy w rehabilitację rodziców, postanowiono grać tą kartą dalej. Do Godowej przyjechał z Warszawy ppor. Jan Bisztyga, oficer operacyjny Wydziału VI Departamentu I MSW, późniejszy rzecznik KC PZPR i doradca premiera Leszka Millera. Ppor. Bisztyga wystąpił w kostiumie historyka, który prowadzi badania na temat działań partyzanckich podczas II wojny światowej. Również obiecał, że może spróbować pomóc, ponieważ ma znajomego w Prokuraturze Generalnej – dr. Romana Tarnowskiego. Pod tym nazwiskiem występował w tej – i nie tylko tej – sprawie ppłk Michał Goleniewski, naczelnik Wydziału VI Departamentu I.

KONTRATAK NAUKOWCA

Pani Teresa odniosła się do obietnic Bisztygi pozytywnie i wraz z mężem pojechali do Warszawy na spotkanie z dr. Tarnowskim. – Doszło do dwóch spotkań. O treści pierwszego można się dowiedzieć z dokumentu sporządzonego z podsłuchu zainstalowanego w pokoju hotelowym, w którym mieszkali Gorczycowie – opowiada dr Witalec. – Stąd wiemy, że Gorczycowie początkowo byli bardzo nieufni wobec dr. Tarnowskiego, mąż pani Teresy stwierdził nawet, że być może jest to gra wywiadu. Jednak drugie spotkanie diametralnie odmieniło stosunek Gorczyców do Tarnowskiego-Goleniewskiego. Nie wiem, czy był tak bardzo przekonujący, w każdym razie jego ofertę pomocy Gorczycowie przyjęli za dobrą monetę.

Jednocześnie oficerowie wywiadu próbowali aranżować spotkania, podczas których miało dojść do werbunku Chrapkiewicza. Pod pretekstem pomocy w rehabilitacji rodziców ppłk Goleniewski chciał się spotkać osobiście z naukowcem podczas kongresu biochemików w 1958 r. w Wiedniu. Po pewnym czasie wywiad stwierdził, że będzie lepiej, gdy do spotkania dojdzie w Berlinie, tuż po tym kongresie. – Można tylko domniemywać, dlaczego zamieniono Wiedeń na Berlin, bo w dokumentach nie ma na ten temat śladu – mówi Robert Witalec. – Goleniewski na pewno chciał porozmawiać z Chrapkiewiczem sam na sam. Do Wiednia wybierała się także Teresa Gorczyca, więc mógł założyć, że nie będzie okazji do rozmowy w cztery oczy. Być może chciano też dać więcej czasu pani Teresie, by przekonała brata, że Tarnowski rzeczywiście chce pomóc.

Fot. Tadeusz Poźniak

eprasa.pl 93ce4e52b2

Do spotkania w Berlinie nie doszło. Chrapkiewicz w liście do siostry stwierdził, że nie może tam pojechać, gdyż nie dostanie w swoim miejscu pracy pozwolenia na taki wyjazd. Była to jednak tylko wymówka. – W rozmowie do książki stwierdził, że już wtedy podejrzewał, iż za tą rzekomą pomocą stoi polski wywiad – mówi historyk z IPN.

Wywiad postanowił więc zintensyfikować działania, zwłaszcza wobec siostry naukowca. Wykorzystał przy tym to, że Franciszek Chrapkiewicz – nie mogąc oficjalnie przesłać siostrze dewiz – wysyłał jej z Francji lekarstwa, które ona sprzedawała, osiągając dzięki temu dodatkowy dochód. W lutym 1960 r. Teresa Gorczyca została aresztowana pod zarzutami nielegalnego handlu i obrotu dewizami. Miał to być dodatkowy element nacisku na naukowca.

I rzeczywiście, Chrapkiewicz – mocno przestraszony, bo informacje, które dochodziły z kraju, wskazywały, że siostra może dostać wysoki wyrok – zgłosił się do polskiej ambasady w Paryżu. Przyjął go konsul generalny, a zarazem współpracownik Departamentu I o pseudonimie „Zagłoba". Powiedział Chrapkiewiczowi, że sam bezpośrednio pomóc mu nie może, natomiast ma dobrego znajomego, który pracuje w Prokuraturze Generalnej. Stwierdził też, że nadarza się dobra okazja do spotkania z synem tego znajomego, który wybiera się do Berna w Szwajcarii – tam Chrapkiewicz mógłby mu naświetlić sprawę. Konsul zaproponował również, że da Chrapkiewiczowi list polecający do konsula w Bernie. Naukowiec stwierdził, że zastanowi się nad tą propozycją, po czym panowie umówili się na następne spotkanie.

Berno nie było przypadkowe, tamtejszy konsul był bowiem pracownikiem kadrowym Departamentu I o pseudonimie Cezar, natomiast jako rzekomy syn znajomego z Prokuratury Generalnej miał tam przyjechać Jan Bisztyga, aby wspólnie z „Cezarem" zwerbować Chrapkiewicza. W trakcie drugiej rozmowy z „Zagłobą" Chrapkiewicz zaczął jednak podejrzewać, że jego rozmówca jest nie tylko dyplomatą. Konsul zaczął bowiem kierować do Chrapkiewicza zawoalowane sugestie w rodzaju: „my pomożemy panu, ale pan pomoże nam".

Naukowiec stał się więc ostrożny, co więcej, swoje podejrzenia zgłosił przełożonym z pracy. Ci przekazali tę informację kontrwywiadowi francuskiemu. – Kolejne spotkanie z „Zagłobą", na którym Chrapkiewicz miał się zadeklarować, czy pojedzie do Szwajcarii, było już operacyjnie zabezpieczone przez francuski kontrwywiad – opowiada Robert Witalec. – Naukowiec miał przy sobie aparaturę do nagrywania, spotkanie było też fotografowane.

> Wywiad liczył, że dzięki zwerbowaniu naukowca uzyska informacje o badaniach nad bronią atomową i środkami przeciwpromiennymi oraz zagwarantuje sobie dostęp do wyników doświadczeń fizjologicznych prowadzonych na zlecenie wojska

O KROK OD DYPLOMATYCZNEGO SKANDALU

Następnego dnia do polskiej ambasady w Paryżu wkroczył René Massigli, wujek żony Chrapkiewicza, były ambasador Francji w Wielkiej Brytanii i były sekretarz generalny francuskiego MSZ. Massigli udał się do polskiego ambasadora i zażądał uwolnienia siostry Chrapkiewicza oraz zaprzestania szantażowania naukowca. Zagroził zerwaniem stosunków naukowych i wydaleniem polskich dyplomatów, którzy byli uwikłani w tę sprawę.

Polski wywiad próbował zatuszować sytuację, która mogła się skończyć dyplomatycznym skandalem. W tym celu wysłano do Paryża zestaw odpowiednio przygotowanych dokumentów na temat rodziny Chrapkiewiczów. Nie cofnięto się przy tym przed ewidentnym fałszerstwem jednego z nich. Był to odpis protokołu przesłuchania Wiktora Waszka, niemieckiego żandarma ze Strzyżowa z 28 grudnia 1946 r., w którym wymienia on konfidentów, jakimi żandarmeria niemiecka dysponowała na terenie Strzyżowa i okolic. Jest tam sześć osób, wśród nich Franciszek Chrapkiewicz. Jednak w archiwach rzeszowskiego IPN znajduje się oryginalny protokół przesłuchania, w którym jest wymienionych tylko pięć osób. Oczywiście nie ma wśród nich Chrapkiewicza.

Siostra naukowca została skazana na sześć miesięcy pozbawienia wolności. Po wliczeniu okresu aresztowania wyszła na wolność niedługo po wyroku.

Po zakończeniu w 1960 r. sprawy o kryptonimie „Dobry" służby nie zapomniały o Chrapkiewiczu. Raport końcowy zawiera sugestię, by przy każdej możliwej okazji szykanować naukowca i jego rodzinę, m.in. nie wydawać siostrze paszportu, gdyby chciała odwiedzić brata w Paryżu, oraz uniemożliwiać Chrapkiewiczowi przyjazd do kraju. Naukowiec zaczął przyjeżdżać do Polski dopiero po 1989 r.

NIE DLA WYWIADU

Pomimo ogromnej presji wywieranej na Franciszka Chrapkiewicza i rodzinę naukowiec nie dał się złamać. – Nie podjąłbym współpracy z jakimkolwiek wywiadem. Tak samo polskim, jak i innym – zapewniał mnie w 2009 r. podczas wizyty w rodzinnych stronach.

Robert Witalec podkreśla, że wywiad stanowczo przeceniał możliwości Chrapkiewicza, co sam naukowiec potwierdził po zapoznaniu się z dokumentami na swój temat zgromadzonymi w archiwum IPN. Dlaczego? Bo nigdy żadnych tajnych badań nie prowadził.

Chrapkiewicz zdziwił się też, że aż tak wielu ludzi go inwigilowało. – To musiało kosztować ogromne pieniądze – powiedział mi przy okazji promocji książki „Pozyskać »Dobrego«...".

5/0619/F

eprasa.pl 93ce4e52b2



eprasa.pl 93ce4e52b2



Ukraiński protest przed ambasadą Niemiec w Kijowie po decyzji o przywróceniu Rosji w prawach członka Rady Europy

Fot. East News/Sergei SUPINSKY/AFP

Kamuflowana decyzja

Powrót Rosji do Rady Europy odbył się przy niemal powszechnej satysfakcji i zadowoleniu, a jedynym krajem, który z determinacją się temu przeciwstawiał, okazała się Ukraina. Prezydent Wołodymyr Zełenski zastrzegł sobie nawet prawo rozważenia, czy wobec tego, co się stało, jakikolwiek sens ma dalsze uczestnictwo jego kraju w pracach Rady. Ukraińskie protesty i bojkot procedur decyzyjnych dość łatwo było jednak zlekceważyć. Jest bowiem jasne, że dla Paryża i Berlina, które forsowały już od niejakiego czasu przywrócenie wszystkich praw Rosji, Kijów jest bardziej petentem międzynarodowych instytucji, nie zaś decydentem w kwestiach prowadzonej przez nie polityki. Ale też Ukraińcom trudno się dziwić ich pryncypialności. Procedura rosyjskiego powrotu została przeprowadzona w okolicznościach, które trudno określić inaczej jak skandaliczne. Odbyło się to bez jakichkolwiek, nawet choćby symbolicznych, ustępstw ze strony Kremla w kwestii okupacji Krymu i Donbasu, a przecież Rosji zawieszono prawa w Radzie właśnie z powodu jej postępowania w tych regionach Ukrainy. Zrobiono wszystko, aby decyzję uczynić anonimową, tak by nikt personalnie nie musiał ponosić za nią politycznej odpowiedzialności. A polityczny cynizm tych poczynań obnażony został najwyraźniej, gdy okazało się, że zgłoszony przez Moskwę kandydat do władz Rady Europy to niejaki Leonid Słucki, nacjonalista ze sławnej partii Żyrinowskiego, obłożony zakazem wjazdu do Unii Europejskiej z powodu swego politycznego zaangażowania w rosyjską agresję przeciw Ukrainie.



JAN ROKITA

Procedura rosyjskiego powrotu do Rady Europy przeprowadzona została w okolicznościach, które trudno określić inaczej jak skandaliczne

CENA POWROTU

Zadowolony jest Emmanuel Macron, który mówi, że „Rada Europy i Rosja wzajemnie się potrzebują" (prezydent nie sprecyzował do czego?). Francja obejmuje właśnie rotacyjne przewodnictwo w Radzie i najwyraźniej Paryż chciał mieć załatwiony kłopot z Rosją na samym początku swojej kadencji. Rosjanie bowiem od 2017 r., w odwecie za pozbawienie ich prawa głosu w Radzie, przestali płacić należne składki, co dla tej organizacji stanowiło pewien problem. Rosyjska roczna wpłata 33 mln euro jest bowiem najwyższą składką płaconą w Radzie Europy, można więc przypuszczać, że dla instytucji, która żyje z organizacji narad, posiedzeń i bankietów, taka luka finansowa mogła być dokuczliwa. W negocjacjach postawiono Rosjanom w zasadzie tylko jeden warunek: że uzupełnią zaległe wpłaty od 2017 r., na co Moskwa chętnie się zgodziła.

Argumentacja podnoszona przez Berlin próbuje tworzyć jakiś pozór pryncypialności decyzji. Niemiecki szef dyplomacji Heiko Maas podkreśla teraz, że „dalsze zawieszenie praw Rosji mogło przynieść katastrofalne skutki dla społeczeństwa obywatelskiego". Maasowi idzie zapewne o pogróżki, których autorem był m.in. szef rosyjskiej delegacji w Radzie Iwan Sołtanowski, że Moskwa może eskalować swój odwet za dalsze zawieszenie jej praw, występując z Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Spełnienie tej groźby wiązałoby się ze skutkiem odebrania rosyjskim obywatelom prawa do skargi na swoje państwo do strasburskiego Trybunału Praw

eprasa.pl 93ce4e52b2

Człowieka. A Rosjanie istotnie korzystają na razie z tego prawa dość intensywnie: według danych publikowanych przez polski Ośrodek Studiów Wschodnich na rozpatrzenie w Strasburgu czeka aż 11 750 skarg wniesionych przez Rosjan, co jest najwyższą liczbą spośród wszystkich 47 państw członkowskich. Argument Maasa ma jednak dwie słabe strony: Moskwa groziła wprawdzie, ale nie wystąpiła z konwencji, wierząc (jak się okazało, nie bez racji), że jej powrót do pełni praw jest tylko kwestią czasu. Ponadto od 2015 r. w Rosji obowiązuje prawo pozwalające władzom, w trybie decyzji moskiewskiego Trybunału Konstytucyjnego, uchylać się od skutków wyroków wydawanych przez sądy międzynarodowe.

Proces przywracania praw Rosji rozpoczął się jeszcze w maju w Helsinkach, gdzie obradował tzw. komitet ministerialny Rady Europy. Komitet ów, złożony z wysłanników 47 rządów, przyjął wówczas korzystną dla Rosji rekomendację, która była wynikiem trwających wcześniej poufnych uzgodnień pomiędzy Moskwą, Paryżem i Berlinem. Formalnie owe rekomendacje nie stanowiły jeszcze decyzji, ta bowiem została dopiero przyjęta przez delegatów 47 parlamentów 24 czerwca w siedzibie Rady w Strasburgu. Jednak od 17 maja, tzn. po rekomendacjach rządów z Helsinek, wynik głosowania posłów był z góry wiadomy. Ostatecznie w Strasburgu padło 118 głosów za Rosją, 62 przeciw i 10 wstrzymujących się. Głosowanie było anonimowe, więc nie można stwierdzić, który poseł jak głosował. Znane są tylko zbiorcze wyniki z delegacji poszczególnych krajów. Stąd wiemy, że za Rosją opowiedzieli się: Niemcy, Francuzi, Włosi, Hiszpanie, Portugalczycy, Turcy (to bardzo interesujące), Austriacy, Belgowie, Słoweńcy, Norwegowie, Irlandczycy i Islandczycy. A przeciw Rosji – Polacy, Bałtowie, Ukraińcy, Gruzini i Szwedzi (to także bardzo ciekawe). W przypadku pozostałych krajów delegacje krajowe wyraźnie podzieliły się w głosowaniu.

Prorosyjska atmosfera panująca wśród większości posłów w Strasburgu sprawiła w końcu, że sześć delegacji krajowych (polska, trzy bałtyckie, słowacka i gruzińska) w minioną środę opuściło Strasburg, dołączając do Ukraińców i z irytacją sugerując możliwość bojkotu Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy.

ZA, A NAWET PRZECIW

O wiele jednak ciekawsza i bardziej tajemnicza od tego formalnego głosowania była realna decyzja polityczna, która zapadła w Helsinkach 17 maja. Posiedzenie komitetu ministerialnego było poufne, a w komunikacie publicznym nie poinformowano, jaki pogląd reprezentowały poszczególne rządy. Główne agencje informacyjne podały wtedy z przecieków, że zdanie odrębne zgłosiło sześć rządów, które identyfikowano jako: Wielką Brytanię, trzy kraje bałtyckie, Gruzję i Polskę, nie wliczając w to bojkotującej decyzję Ukrainy. Taką informację podał też polski rządowy Ośrodek Studiów Wschodnich. Dopiero po upływie kilkunastu dni się okazało, że informacje z przecieków były fałszywe, gdyż przy ostatecznej decyzji Londyn i Warszawa postanowiły się solidaryzować z większością. W Polsce wybuchła z tego powodu spora chryja. Politycy PO – nowy europoseł Andrzej Halicki oraz senator Aleksander Pociej oskarżyli polski rząd o „kompletną zmianę polskiej polityki zagranicznej". Halicki zaatakował ekipę Morawieckiego za to, iż po cichu wsparła „zatrzymanie sankcji wobec Rosji w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy".

Większość prorządowych mediów, zgodnie z obowiązującą partyjną logiką, przyjęła oskarżenia polityków opozycji z niedowierzaniem i oburzeniem. Kiedy jednak MSZ zdecydowało się w końcu na ogłoszenie publicznego komunikatu, wynikało zeń jednoznacznie, że Halicki i Pociej mieli rację co do istoty rzeczy. Ów długi komunikat MSZ jest zresztą tekstem celowo mętnym i o wyjątkowym poziomie hipokryzji. Resort wyjaśnia w nim, że: „stwierdzenie, że Polska głosowała za powrotem Rosji do Rady Europy jest niezgodne z prawdą", ale nie dlatego, by polski przedstawiciel przeciwstawił się decyzjom podejmowanym w Helsinkach, ale z tego powodu, że (jak pisze się w komunikacie): „Rosja nie otrzymała możliwości powrotu do Rady Europy, bo cały czas jest członkiem tej organizacji". MSZ uprawia tu celowo mającą zmącić obraz grę pojęciami prawniczymi, wykorzystując to, że w 2014 r., po inwazji w Donbasie i na Krymie, Rosji istotnie nie wyrzucono z Rady, ale „tylko" pozbawiono ją prawa uczestniczenia w zebraniach, głosowania i zgłaszania kandydatów na stanowiska w samej Radzie i związanym z nią Trybunale Strasburskim. Na kanwie tego tekstu warto zauważyć, że jest on dobrym przykładem tego, jak władze państwa nie powinny informować obywateli o swoich decyzjach. Jeśli rząd zdecydował się na poparcie Rosji przy ostatecznej decyzji w Helsinkach, to warto było wyjaśnić, dlaczego tak uczynił, nie zaś ukrywać to stanowisko w gąszczu iście adwokackich wywodów.

Wtedy w Helsinkach minister Jacek Czaputowicz spotkał się z szefem rosyjskiej dyplomacji Siergiejem Ławrowem. I w świetle początkowych doniesień o sprzeciwie Polski wobec powrotu Rosji do Rady spotkanie to wyglądało dość mało zrozumiale. Teraz jest jasne, że Ławrow przyjął propozycję oficjalnego spotkania jako formę skwitowania bardziej umiarkowanego niż wcześniej stanowiska Warszawy wobec Moskwy. W wywiadzie dla „Sieci" Czaputowicz mówi, że „z Rosją należy rozmawiać". I nietrudno się z taką konkluzją zgodzić, gdy z Władimirem Putinem i członkami jego ekipy rozmawia dziś cała Europa. A niektórzy europejscy politycy (jak była już szefowa dyplomacji austriackiej) zapraszają rosyjskiego prezydenta nawet na swoje wesele.

Problem tkwi raczej w cenie, którą Polska zapłaciła za zgodę Ławrowa na miły uścisk dłoni i mało znaczącą pogawędkę z polskim ministrem. A było nią zerwanie tradycyjnej już polskiej wspólnoty działania w sprawach Rosji z Ukraińcami i krajami bałtyckimi. A także całkowity rozjazd polskiego stanowiska, które zupełnie inaczej wyglądało w wydaniu rządu w Helsinkach oraz parę tygodni później w wydaniu parlamentarzystów w Strasburgu. Najgorsze, że rząd zamiast postępować z otwartą przyłbicą, najwyraźniej ze strachu przed krytyką opozycji próbował swoje stanowisko ukryć albo co najmniej tak unieczytelnić przebieg zdarzeń, by dla polskiego czytelnika gazet i portali informacyjnych sprawa pozostała w jakimś stopniu niejasna. Po części ów kamuflaż się powiódł. I pozostało wrażenie niejasności tego, o co Polsce chodzi w Radzie Europy.

eprasa.pl 93ce4e52b2



Osobiście uważam, że demokracja nie jest kompatybilna z dzisiejszą mentalnością wyznawców islamu na Bliskim Wschodzie

Porwany przez Al-Kaidę

Z katolickim biskupem chaldejskim Saadem Siropem Hanną z Iraku rozmawia Kamila Hedvig Górny

Jak wygląda dziś sytuacja w Iraku? Mówiono, że obalenie Saddama Husajna przyniesie demokrację i pokój.

Saada Sirop Hanna: Po upadku Husajna nastąpiła duża zmiana, rozpoczęła się demokratyzacja Iraku. Był to jednak tylko teoretyczny proces. Z sąsiednich państw przybyły rozmaite grupy i partie polityczne, ale nie doszły one do porozumienia. Konflikt między różnymi odłamami islamu doprowadził do wojny domowej w latach 2005–2007. Poza tym społeczeństwo nie było w żaden sposób gotowe na zmianę systemu i nowe prawa. Osobiście uważam, że demokracja nie jest kompatybilna z dzisiejszą mentalnością wyznawców islamu na Bliskim Wschodzie.

Saddam Husajn był przedstawiany jako zło wcielone. Czy jego obalenie okazało się korzystne dla kraju?

Nie jest łatwo odpowiedzieć na to pytanie. Nie powiedziałbym, że Husajn był złem wcielonym. Każdy system polityczny ma w sobie coś dobrego, ale również coś złego. Tak naprawdę obecnie wiele osób żałuje, że upadły rządy Husajna, ponieważ od tamtego czasu sytuacja Iraku bardzo się pogorszyła. Panuje straszna bieda, dostęp do żywności i edukacji jest ograniczony, nie działa służba zdrowia, nie ma infrastruktury. To wszystko sprawia, że dzisiaj w Iraku żyje się dużo trudniej niż na początku wieku.

Jaki był stosunek Husajna do chrześcijan?

Właściwie był on bardzo przychylny chrześcijanom. Nie chodzi o to, że ich faworyzował, ale uważał za pozytywny element w społeczeństwie. Jako ludzie pracowici nieśli dużo dobrego dla państwa w sferze edukacji, kultury, ekonomii. Dbali o dobre wykształcenie i wykonywali pożądane zawody – byli lekarzami, inżynierami, nauczycielami... Choć stanowili małą społeczność, osiągnęli dużą sprawność organizacyjną, dobrze współpracując z resztą społeczeństwa. Byli uznawani za prawych i lojalnych obywateli Iraku. Pokojowo nastawieni, nie stanowili żadnego politycznego zagrożenia dla władz.

Po upadku dyktatury doszło jednak do prześladowań chrześcijan w Iraku. Dlaczego? Czy odpowiedzialny jest za to islam jako religia, czy któryś z jego odłamów?

Nie powiedziałbym, że winny jest islam. W rzeczywistości jest on bardzo zróżnicowany i zachodzą duże kontrasty między muzułmańskimi państwami, ugrupowaniami czy ideologiami. Podczas wojny domowej toczyła się walka o władzę między sunnitami i szyitami. Saddam był sunnitą, szyici zaś próbowali przejąć po nim kontrolę nad państwem. Ten konflikt spotęgował różnice między wszystkimi grupami w społeczeństwie. Wtedy eskalowało negatywne nastawienie do chrześcijan. Duża część społeczeństwa uznała, że są oni wrogami Iraku.

eprasa.pl 93ce4e52b2

Czy dociera do was pomoc z Europy lub Ameryki?

Od zawsze byliśmy pozostawieni sami sobie. Chrześcijańska cywilizacja, którą udało się zbudować na Bliskim Wschodzie, powstała bez pomocy z zewnątrz. Te wszystkie kościoły, szpitale i szkoły są owocem naszych prac i starań. Oczywiście pomagali nam dobrzy ludzie z różnych stron świata, ale było to wsparcie osób prywatnych. Nigdy nie była to pomoc od rządów innych państw: ani europejskich, ani amerykańskich, ani żadnych innych. Oczywiście mamy pomoc modlitewną z Watykanu, ponieważ jesteśmy katolikami. Jesteśmy jednością w wierze i Kościół o nas pamięta. Kościół zrobił zresztą wiele, by bronić chrześcijan. Byli księża, którzy przyjeżdżali do nas i pomagali wiernym w trudnych chwilach, dając nadzieję i wsparcie.

Podczas pełnienia takiej posługi został ksiądz biskup porwany przez Al-Kaidę. Więziony przez 28 dni, torturowany i zmuszany do przejścia na islam, odmówił ksiądz jednak wyparcia się Chrystusa.

Jak już mówiłem, w czasie wojny domowej chrześcijanie byli najbardziej poszkodowani. Zarówno sunnici, jak i szyici prześladowali ich w miejscach pracy, grozili, porywali, zmuszali do zmiany wiary, wypędzali z domów i zabijali. Liczba chrześcijan bardzo wtedy zmalała, wielu straciło życie, inni uciekli za granicę. Porywano także osoby duchowne. Ja byłem pierwszym porwanym księdzem w Iraku. Potem porwano i zabito innych: ks. Ragheeda Ganniego i abp. Faraja Rahho z Kościoła chaldejskiego w Mosulu, o. Youssefa z Kościoła obrządku syryjskiego czy o. Paulosa z Kościoła prawosławnego.

Innych duchownych zabito za wiarę. Księdza biskupa wypuszczono za okup. Porwanie miało charakter religijny czy finansowy?

Myślę, że była to mieszanka obu powodów. Chrześcijanie byli bardzo osłabieni w tamtych czasach – nie mieli politycznego ani religijnego wsparcia z zewnątrz. Nie dysponowali własną armią, policją ani oddziałami samoobrony. W żaden sposób nie mogli siebie bronić. Żyli według prawa państwowego i zwyczajowego. Niestety, kiedy oficjalne prawo jest słabe lub zanika, chrześcijanie stają się bezbronni wobec jakiejkolwiek agresji. Do tamtego czasu byli zamożni dzięki wykonywanym zawodom i zajmowanym stanowiskom. W momencie niestabilności prawa w Iraku wielu ludzi doszło do wniosku, że od chrześcijan można wymusić pieniądze, ponieważ są oni majętni, a zarazem bezbronni. Nie chodziło jednak tylko o pieniądze. Chciano oczyścić tamte ziemie z wyznawców Jezusa, zniszczyć chrześcijaństwo, najlepiej przez uderzenie w samo jego centrum, czyli w duchownych.

W swojej książce „Porwany w Iraku" opisał ksiądz biskup bardzo dokładnie, co czuł: strach, ale i gniew. A nienawiść?

Szczerze mówiąc, na początku czułem do porywaczy gniew i nienawiść. Zadawałem sobie pytania: dlaczego mi to robią, dlaczego robią krzywdę mojej wspólnocie, mojemu Kościołowi? Potem zrozumiałem, że jeśli wierzę w Jezusa, to muszę wybaczyć swoim złoczyńcom. Od niektórych doświadczyłem też dobra, np. przyjaźni od jednego ze strażników. Pomagał mi w prostych rzeczach, ale te małe gesty dowodziły, że dobro może przezwyciężyć zło. Dobro może być w każdym z nas. Jest tym, co łączy ludzi. Nie ma we mnie nienawiści do muzułmanów. Znam wielu dobrych muzułmanów, np. moich nauczycieli ze szkoły publicznej. Uczyli nas zarówno chrześcijanie, jak i muzułmanie, i traktowali nas na równi. Generalnie jednak podczas porwania i uwięzienia trzymała mnie przy życiu wiara.

Czy możliwe jest pojednanie między chrześcijanami i muzułmanami na świecie?

Tylko jeśli muzułmanie zmienią swoje nastawienie do chrześcijan, żydów i przedstawicieli innych religii. Problemem islamu są różne interpretacje Koranu. To Koran jest źródłem fanatyzmu w wielu państwach. Wiele jego fragmentów dyktuje wrogie nastawienie względem niewiernych. Jeśli uda się osiągnąć rozsądną interpretację tych słów, może dojść do pokoju między nami. Są przecież państwa muzułmańskie, również w świecie arabskim, które dają duże swobody chrześcijanom. Jest więc szansa na życie w pokoju.

Czy problemem jest interpretacja Koranu, czy może sam Koran? Są w nim bowiem różne sury. Te nastawione pokojowo do innych religii dotyczą kontekstu, gdy muzułmanie znajdują się w mniejszości, natomiast gdy zaczynają być większością, dominują sury wrogie wobec niewiernych.

Owszem, są znaczne różnice między wersami mekkańskimi a medyńskimi. Są fragmenty Koranu mówiące pozytywnie o chrześcijanach, ale są też bardzo wrogie wobec nich. Według mnie jest to kwestia interpretacji. Trzeba jej dokonywać w ostrożny, rozumny sposób, uwzględniając historię, okoliczności oraz kontekst, w jakim te słowa zostały napisane. Żaden tekst religijny nigdy nie będzie gotowym aktem legislacyjnym. Słów Koranu nie można traktować jako obowiązującego prawa ani tym bardziej jako usprawiedliwienia do zabijania. Właśnie dlatego islam przechodzi przez tak trudne chwile.

Jak możemy pomóc prześladowanym chrześcijanom na Bliskim Wschodzie? Są dwie teorie: przyjmowanie uchodźców lub pomaganie im na miejscu.

Według mnie powinno się robić jedno i drugie. Nie wszyscy chrześcijanie chcą opuścić Irak. Jest wielu, którzy chcą tam mieszkać, pracować, wychowywać dzieci. Dlatego powinno się pomóc w zagwarantowaniu takiego prawa, które będzie chronić godność i wartość każdego życia. Są jednak też tacy chrześcijanie, którym grożono śmiercią, atakowano ich, niekiedy zabijano ich bliskich, dlatego postanowili opuścić Irak. Myślę, że powinno im się pomóc i dać możliwość rozpoczęcia nowego życia. Nie można powiedzieć ludziom, którzy od kilku lat w Jordanii czy Libanie czekają na możliwość wyjazdu do Europy lub do USA: wracajcie do Iraku. Oni nie mają do czego wracać.

Fot. Sławomir Dynek/Cogito Media

eprasa.pl 93ce4e52b2



Krok od wojny

Każdego dnia z terminali naftowych w Zatoce Perskiej wypływa w świat kilkanaście tankowców mających na pokładzie 17 mln baryłek ropy naftowej. Jeśli więc dojdzie do wybuchu wojny z Iranem, to jej skutki odczuje każdy z nas. Takiej ilości ropy naftowej nie da się bowiem zastąpić. Gdy ceny paliw gwałtownie poszybują, światową gospodarkę może czekać kolejny wielki kryzys



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Wojna w Zatoce Perskiej od kilku tygodni wisi na włosku. Moment kulminacyjny nastąpił 20 czerwca czasu polskiego, gdy nad Zatoką Perską nieopodal wybrzeży Iranu został zestrzelony amerykański dron zwiadowczy. Zarówno Iran, jak i Stany Zjednoczone wzajemnie oskarżyły się o naruszenie prawa międzynarodowego: Irańczycy twierdzili, że dron wleciał w przestrzeń powietrzną Iranu, a Amerykanie przeciwnie – że do zestrzelenia doszło nad wodami międzynarodowymi. Prezydent Donald Trump na wieść o incydencie oświadczył, że Iran popełnił „poważny błąd" i nakazał przygotować się do ataku odwetowego.

Według informacji z Waszyngtonu amerykańskie samoloty bojowe zostały zawrócone do baz w momencie, gdy od celów w Iranie dzieliło je już tylko kilkanaście minut lotu. Lotnictwo USA miało uderzyć w irańskie instalacje wojskowe. Prezydent Trump wyjaśnił, że podjął decyzję o przerwaniu ataku, gdy się dowiedział, że może on spowodować liczne ofiary wśród ludności cywilnej.

Nie wiemy, czy tak było w rzeczywistości, musimy tu polegać na doniesieniach ze Stanów Zjednoczonych.

eprasa.pl 93ce4e52b2



Fot. East News/AP Photo/ISNA

> W przypadku wojny Iran wzmocni swoją pozycję jako lider walki z Ameryką i Izraelem, co zagwarantuje mu – jak sądzą ajatollahowie – niekwestionowane przywództwo w regionie

Być może Trump cofnął samoloty z innego powodu, być może nawet wcale nie wystartowały one do ataku, a podana informacja była kolejną formą nacisku wywieranego na Iran.

Przez cały czas jesteśmy bowiem skazani na wzajemnie sprzeczne doniesienia znad Zatoki Perskiej. Pewne jest jedynie to, że sytuacja w tym regionie świata jest bardzo napięta i każdy nieostrożny lub zbyt prowokacyjny gest może doprowadzić do wybuchu wojny.

SKŁÓCENI Z WSZYSTKIMI

Przyczyn konfliktu irańsko-amerykańskiego należy szukać w odległej historii, gdy w 1979 r. doszło w Teheranie do obalenia szacha Rezy Pahlawiego i powstania republiki islamskiej. Nowe państwo rządzone przez szyickich ajatollahów nadało swojej polityce religijny i kulturowy wymiar, co natychmiast doprowadziło do zaostrzenia relacji z Zachodem, w tym zwłaszcza ze Stanami Zjednoczonymi będącymi wcześniej protektorem obalonego szacha.

Co więcej, Iran bardzo szybko popadł również w konflikt z sąsiednimi państwami arabskimi. Głównymi powodami były nie tylko różnice etniczne (Irańczycy nie są – co należy niestety ciągle przypominać – Arabami), lecz również spory na tle religijnym. Iran jest bowiem szyicką wyspą na zdominowanym przez sunnitów Bliskim Wschodzie. Wspieranie przez rząd w Teheranie grup szyitów w Iraku, Libanie (Hezbollah) i Jemenie doprowadziło już do wielu otwartych wojen. W rezultacie Iran zaczął być postrzegany jako główny sponsor szyickiej irredenty w regionie i zagrożenie dla lokalnych reżimów.

Mobilizacja szyitów odbywała się często pod hasłem walki z Izraelem. Iran, który za czasów szacha uchodził za cichego sprzymierzeńca Izraela, wszedł w konflikt bliskowschodni z nadzieją przejęcia przywództwa w antyizraelskim obozie, tym bardziej że akurat zwolniło się miejsce po Egipcie, który pod koniec lat 70. znormalizował stosunki ze swoim największym wrogiem. Teraz to szyicki Iran miał się stać głównym obrońcą islamu przed żydowskim państwem. Szczególnie złowróżbnie zabrzmiało tu buńczuczne hasło Iranu, aby pewnego dnia „zetrzeć Izrael z powierzchni ziemi".

Na to wszystko nałożyły się jeszcze, mające swoje źródło w perskiej historii, ambicje do kontrolowania całego regionu. Dawna Persja była do początków XIX stulecia lokalną potęgą, której nie były w stanie złamać nawet kolonialne mocarstwa europejskie. Współczesny Iran powraca do tych ambicji, czego dowodem może być rozwijany przez Teheran program atomowy.

Dążenia Iranu do pozyskania broni nuklearnej wpisują się zresztą w szersze zjawisko. W regionie broń jądrową posiada Pakistan oraz – choć oficjalnie nigdy tego nie potwierdzono – Izrael. Gdyby Iranowi udało się skonstruować własną bombę atomową, uruchomiłoby to bardzo niebezpieczny lokalny wyścig zbrojeń. Można być bowiem niemal pewnym, że następne w kolejce byłyby Arabia Saudyjska i – prawdopodobnie – Turcja. W takiej sytuacji potencjalny konflikt w regionie miałby katastrofalne skutki dla całego świata.

Nic więc dziwnego, że państwa zachodnie wywierały silną presję na Iran, aby odstąpił od programu atomowego. Zawarte w 2015 r. porozumienie zakładało, że w zamian za zniesienie sankcji gospodarczych, głównie zakazu importu ropy naftowej z Iranu, Teheran zobowiąże się do przerwania prac nad bronią jądrową i ograniczy swój program atomowy wyłącznie do celów energetycznych. Pod porozumieniem złożył swój podpis ówczesny prezydent USA Barack Obama, co dało nadzieję na znormalizowanie sytuacji w regionie.

Jednak rok temu Stany Zjednoczone wypowiedziały porozumienie. Prezydent Trump uzasadnił ten krok podejrzeniami, że Teheran nadal prowadzi w sekrecie program zbrojeniowy, łamiąc tym samym zawarte wcześniej ustalenia. Decyzja Trumpa wywołała podziały na Zachodzie, z niepokojem przyjęła ją bowiem większość państw Unii Europejskiej, które – powołując się na raporty Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej – twierdziły, że Iran wywiązuje się z przyjętych zobowiązań. Trumpa wsparł za to Izrael, który – w trosce o własne bezpieczeństwo – od początku mocno sprzeciwiał się jakimkolwiek układom z Iranem.

Iran nie pozostał dłużny Amerykanom. W maju tego roku prezydent Hassan Rowhani wystosował ultimatum do świata, w którym ostrzegł, że jeśli w ciągu dwóch miesięcy nie zostaną wypracowane nowe warunki umowy, Teheran wznowi produkcję wysoko wzbogaconego uranu na potrzeby zbrojeniowe. Rowhani dodał również, że Iran będzie odtąd zatrzymywał nadwyżkę wzbogaconego uranu, zamiast ją sprzedawać, tak jak to przewidywało porozumienie z 2015 r.

MOCARSTWOWE MARZENIA

Dzisiejsze zaostrzenie konfliktu jest więc pokłosiem tych wydarzeń. Przy czym – wbrew oskarżeniom rzucanym na Donalda Trumpa o to, że prowokacyjnie wycofał się z porozumienia z Teheranem – dużą część winy za pogor-

eprasa.pl 93ce4e52b2

szenie sytuacji ponosi Iran. Niezależnie bowiem od tego, czy prawdziwe były doniesienia o kontynuacji przez Teheran programu zbrojeń nuklearnych, niezaprzeczalne jest, że Iran nie wyzbył się swoich mocarstwowych ambicji i nadal prowadzi działania zaczepne w regionie.

Oddziały irańskie biorą udział w walkach w Syrii, gdzie wspólnie z Rosją i ugrupowaniami szyickimi wspierają rząd Baszara al-Asada. Budzi to niepokój Izraela, który ma świadomość, że w jego bezpośrednim sąsiedztwie znajdują się żołnierze państwa, które oficjalnie chce „zetrzeć Izrael z powierzchni ziemi". Od 2018 r. izraelskie lotnictwo przeprowadziło już ponad 200 uderzeń na irańskie instalacje wojskowe (głównie rakietowe) w Syrii. Jednak Irańczycy nadal intensywnie wspierają szyicki Hezbollah, który regularnie dokonuje ataków na Izrael.

Iran wspiera także rebelię w Jemenie, prowadząc tam wojnę korespondencyjną z Arabią Saudyjską i testując w praktyce celność nowych rodzajów uzbrojenia. Teheran może również zaatakować amerykańskich żołnierzy w Syrii i Iraku poprzez sprzymierzone z nim lokalne bojówki szyickie. W rezultacie nie tylko Izrael, ale również liczne państwa arabskie znad Zatoki Perskiej postrzegają Stany Zjednoczone jako jedynego gwaranta status quo w regionie.

Problemem są zresztą nie tylko kwestie zbrojeń nuklearnych, ale potencjalnie bardzo groźny dla regionu irański program rakietowy. Teheran odrzuca tu jakiekolwiek naciski sugerujące ograniczenie rozwoju pocisków balistycznych. Iran rozmieścił już swoje wyrzutnie na terenie całego kraju, tak aby nie można było ich zniszczyć w trakcie pierwszego uderzenia amerykańskiego lotnictwa. Celem irańskich rakiet są instalacje amerykańskie w regionie, przy czym Teheran nie wyklucza – zdaniem izraelskich źródeł – uderzeń rakietowych na cele cywilne, w tym zwłaszcza na terminale naftowe w Zatoce Perskiej.

STOPNIOWA ESKALACJA

Głównym celem Iranu jest zniechęcenie potencjalnych wrogów do zaatakowania jego terytorium i zmuszenie ich do zaakceptowania jego rosnącej roli w regionie. Teheran chce to osiągnąć, nie tylko grożąc rakietowym atakiem odwetowym, ale również eskalując konflikt tak, aby jego przeciwnicy mocno odczuli go finansowo. Niedawno celem ataku uzbrojonego drona były m.in. saudyjskie instalacje paliwowe w Jemenie. Z kolei w maju dwa saudyjskie tankowce zostały poważnie uszkodzone u wybrzeży miasta Al-Fudżajra w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Znacznie poważniejszy w skutkach okazał się kolejny atak na statki przeprowadzony w czerwcu w Zatoce Omańskiej. Dwa tankowce przewożące ładunek dla Japonii miały być – według niektórych doniesień – zaatakowane torpedami. Statki się zapaliły, a ich załogi zostały ewakuowane.

Arabowie oskarżyli o ataki Irańczyków, którzy oczywiście natychmiast zaprzeczyli, że mają z nimi cokolwiek wspólnego. Nie ulega jednak wątpliwości, że Teheran próbuje zakłócić arabski handel ropą naftową. Po przywróceniu zakazu importu ropy naftowej z Iranu sytuacja gospodarcza w tym kraju gwałtownie się pogorszyła. Eksport irańskiej ropy spadł z 2,3 mln baryłek dziennie do nieco ponad 1 mln i może spaść jeszcze bardziej. Tymczasem do utrzymania płynności budżetowej Iran potrzebuje sprzedaży na poziomie 1,5 mln. Nic więc dziwnego, że przyparty do muru Iran gotów jest do dalszej eskalacji konfliktu w nadziei, że zmusi to jego wrogów do ustępstw.

> Donald Trump zapowiada, że ewentualna wojna będzie miała ograniczony charakter, nie da się jednak wykluczyć, że konflikt rozleje się na cały region i potrwa wiele lat

Ewentualny wybuch wojny doprowadziłby bowiem do załamania na światowym rynku ropy naftowej. Zdaniem niektórych ekspertów wystarczyłoby zablokowanie Cieśniny Ormuz stanowiącej jedyną drogę tankowców z portów położonych w Zatoce Perskiej w świat. Jak zablokować cieśninę? Najlepszą metodą jest storpedowanie i unieruchomienie tankowca w najwęższym punkcie toru wodnego. Żaden inny statek już go nie ominie.

Gdyby blokada utrzymała się dłużej niż tydzień, na światowym rynku zaczęłoby brakować ropy. Ceny mogłyby – według analityków – skoczyć nawet dwukrotnie lub trzykrotnie. Konsekwencje tak gwałtownego wzrostu cen paliw byłyby dla światowej gospodarki katastrofalne.

ROZNIECIĆ OGIEŃ

Jak na razie mamy do czynienia z nieustanną próbą sił. Wydaje się, że nikt nie chce otwartej wojny, ale nikt również – ani Iran, ani jego przeciwnicy – nie zamierzają pójść na żadne ustępstwa. W Teheranie największym jastrzębiem jest Najwyższy Przywódca ajatollah Ali Chamenei, który pomimo znacznie bardziej elastycznego stanowiska prezydenta Hassana Rowhaniego odmawia jakichkolwiek negocjacji z amerykańskim „Wielkim Szatanem". W tej sytuacji również Stany Zjednoczone mają stosunkowo małe pole manewru. Próby nawiązania wstępnych rozmów podjęte przez Donalda Trumpa w maju br. zostały przez Iran odrzucone.

Nieustępliwe stanowisko najwyższych władz irańskich może wynikać z tego, że w przypadku wojny Iran wzmocni swoją pozycję jako lider walki z Ameryką i Izraelem, co zagwarantuje mu – jak sądzą ajatollahowie – niekwestionowane przywództwo na Bliskim Wschodzie. Mimo że Donald Trump zapowiada, iż ewentualna wojna będzie miała ograniczony charakter, nie da się jednak wykluczyć, że konflikt zbrojny w sposób niekontrolowany rozleje się na cały region i potrwa wiele lat. Skutki takiej wojny – nie tylko gospodarcze – byłyby katastrofalne dla całego świata.

eprasa.pl 93ce4e52b2



Bezpieczne wakacje z PZU

Niech wakacje będą bezpieczne!

Doczekaliśmy się, znów są wakacje! Przed nami zasłużone i wymarzone urlopy, relaks i odpoczynek na łonie natury. Gdy myślimy o wakacjach, wizualizujemy sobie w myślach malownicze krajobrazy, kąpiele słoneczne nad czystymi wodami lub wycieczki do egzotycznych zakątków Europy i świata. Nikt raczej nie rozmyśla o zatłoczonych i niebezpiecznych autostradach, tragicznych skutkach nieodpowiedzialnego zachowania nad wodą lub dolegliwościach zdrowotnych spowodowanych zbyt długim przebywaniem na słońcu. Tymczasem, aby nasze marzenia o udanych wakacjach się spełniły, musimy z pełną odpowiedzialnością i rozwagą pochylić się na ewentualnymi zagrożeniami, jakie także niesie z sobą letni wypoczynek. Dzięki nabyciu odpowiedniej wiedzy, dzięki rozwadze i świadomości czyhających na nas niebezpieczeństw, możemy w prosty sposób uniknąć wszelkich problemów i zyskać naprawdę cudowne beztroskie chwile, a później piękne wspomnienia.

19/0619/F



Nie za szybko
i bez komórki w ręku

Bezpieczna droga na urlop

Wakacje to dla wielu z nas jedyny czas w roku, kiedy odbywamy dłuższe podróże samochodowe. To właśnie latem najwięcej korzystamy z dobrodziejstwa, jakim jest zwiększająca się z roku na rok liczba kilometrów autostrad i dróg ekspresowych w Polsce. Niestety, rozbudowa infrastruktury drogowej nie idzie w parze z powszechnym przyswajaniem zasad bezpiecznej jazdy po trasach szybkiego ruchu.

Dozwolone 120 km/h na tzw. ekspresówce i aż 140 km/h na autostradzie sprawiają, że jazda po takich typach dróg wymaga większej ostrożności, skupienia i uwagi niż poruszanie się z dużo mniejszymi prędkościami. W ciągu ostatnich 10 lat liczba kilometrów autostrad i dróg ekspresowych w Polsce wzrosła blisko 10-krotnie i wynosi obecnie ponad 3,5 tys. km. Plany rozbudowy sieci zakładają powstanie dalszych 4,5 tys. km dróg tych kategorii (A i S). Mimo że trasy szybkiego ruchu stanowią zaledwie ok. 15 proc. sieci dróg krajowych i ok. 1 proc. wszystkich dróg w Polsce, ich strategiczne znaczenie sprawia, że przenoszą one znaczną część ruchu ponadregionalnego oraz międzynarodowego. Duży odsetek pojazdów stanowią pojazdy ciężarowe, w tym zagraniczne wykonujące międzynarodowy przewóz tranzytowy. Stanowi to dodatkowy czynnik ryzyka ze względu na różnice prędkości, a także nieuwzględnianie przez kierowców samochodów osobowych całkowicie odmiennej trakcji pojazdów ciężkich i długich.

Zdaniem ekspertów polskie przepisy są zbyt liberalne, jeśli chodzi o dozwolone limity prędkości, które są jednymi z najwyższych w Europie, nie licząc oczywiście osławionych odcinków niemieckich autostrad, gdzie nie obowiązują żadne ograniczenia.

– W Polsce mamy do czynienia z kilkoma czynnikami ryzyka, które windują statystyki wypadków na drogach ekspresowych i autostradach. Przede wszystkim nasze przepisy nie uwzględniają współczesnych warunków ruchu, jaki ma miejsce na tych drogach, a w sezonie letnim jest tam szczególnie zintensyfikowany – zwraca uwagę Bartłomiej Morzycki, ekspert akcji PZU Pomoc To Moc oraz prezes Zarządu Stowarzyszenia „Partnerstwo dla Bezpieczeństwa Drogowego". – Brakuje niestety również przepisów, które nakładałyby obowiązek szkolenia kierowców w ruchu autostradowym podczas kursu nauki jazdy. Brak także przepisów wymuszających przeprowadzenie zadań egzaminacyjnych poza obszarem zabudowanym dla osób ubiegających się o uzyskanie uprawnień do kierowania pojazdem silnikowym. Brakuje wreszcie wykształconej kultury jazdy autostradowej, nawet wśród doświadczonych polskich kierowców. Trudno się temu dziwić, bo kiedyś w ogóle nie mieliśmy autostrad, a dodatkowo większość kierowców korzysta z tras szybkiego ruchu okazjonalnie, np. właśnie tylko podczas wyjazdów wakacyjnych – dodaje Bartłomiej Morzycki.

To wszystko powoduje, że stan zagrożenia bezpieczeństwa ruchu drogowego na autostradach jest zbyt wysoki. Tymczasem warto pamiętać, że przecież tego typu drogi charakteryzują się pełną separacją ruchu samochodowego od innych uczestników ruchu drogowego, bezkolizyjnymi węzłami, a także w większości przypadków co najmniej dwoma pasami ruchu dla każdego kierunku i pełną separacją od ruchu w przeciwnym kierunku, powinny być zatem szczególnie bezpieczne. Niestety statystyki wypadków na trasach i drogach ekspresowych pokazują, że wielu kierowców nie umie wykorzystać wspominanych udogodnień do zapewnienia bezpieczeństwa sobie i swoim pasażerom. Najnowszym przykładem tragedii, jaka wydarzyła się na drodze A6 w woj. zachodniopomorskim, jest karambol, w którym kierowca tira staranował samochody osobowe, skutkiem czego śmierć poniosło aż sześć osób, w tym troje dzieci.

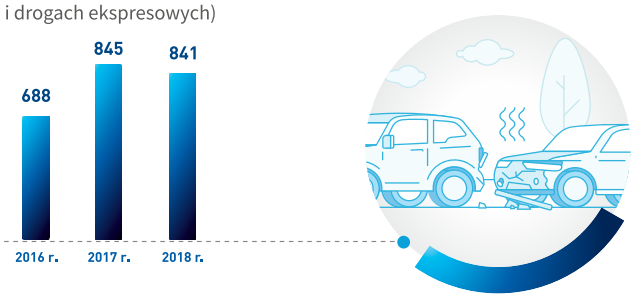
W przypadku tragedii pod Szczecinem policja ustala jeszcze dokładne przyczyny zdarzenia, natomiast pewne

eprasa.pl 93ce4e52b2

się wydaje, że kierowca ciężarówki nie zachował należytej ostrożności. W tym miejscu warto zwrócić uwagę na kolejny powszechny czynnik ryzyka obecny na polskich drogach, i to nie tylko tych, po których możemy jeździć przepisowo ponad 100 km/h. Mowa o korzystaniu z urządzeń elektronicznych podczas jazdy.

– Korzystanie z telefonu komórkowego, smartfona czy tabletu za kierownicą stało się nową plagą naszych czasów. Niestety zagrożenie, jakie niesie z sobą używanie tych urządzeń podczas jazdy samochodem, jest często lekceważone. Wielu kierowcom wydaje się, że odwrócenie uwagi na kilka sekund nie jest niczym niebezpiecznym. Podobnie jak zmienianie

Wypadki na drogach ekspresowych i autostradach
w Polsce, w latach 2016–2018



Opracowanie, Stowarzyszenia Partnerstwo dla Bezpieczeństwa Drogowego

Fot. Shutterstock (x2)

płyty CD w odtwarzaczu czy wpisywanie adresu w samochodowej nawigacji GPS. Bo to przecież tylko na chwilę odwróciliśmy wzrok i uwagę, ale właśnie ta chwila może decydować o naszym lub cudzym życiu – podkreśla Bartłomiej Morzycki.

Rozmowa przez telefon w czasie prowadzenia samochodu jest bardzo niebezpieczna. Jeszcze bardziej niebezpieczne jest pisanie w trakcie jazdy SMS-a, e-maila lub przeglądanie internetu. Chwilowe rozproszenie uwagi przez telefon sprawia, że kierowca nie trzyma kierownicy obiema rękami, a czas jego reakcji w razie potrzeby nagłego hamowania czy zmiany kierunku jazdy będzie znacząco wydłużony. Zresztą

Jak bezpiecznie używać **sprzętu elektronicznego w aucie**

- Nawigację uruchamiamy **przed wyjazdem** w trasę, albo p**odczas zatrzymania pojazdu**.
- Telefon mogą odebrać lub wysłać wiadomość współpasażerowie. Jeśli to niemożliwe należy **zatrzymać się w bezpiecznym, dozwolonym miejscu i wtedy obsłużyć telefon**. Badania dowodzą, że do istotnego **rozproszenia uwagi kierowcy** dochodzi także w czasie **używanie zestawu słuchawkowego lub głośnomówiącego**.
- Jeżeli jesteśmy kierowcą to w żadnych warunkach **nie korzystamy z tabletu** czy **laptopa podczas jazdy**.

Bezpieczne wakacje z PZU



telefon lub smartfon w ręku utrudnia również panowanie nad kierownicą, utrzymanie się na pasie, zmianę biegu czy włączenie kierunkowskazu nawet w normalnych warunkach drogowych, a nie tylko w sytuacji nagłego zagrożenia.

Jak na razie zjawisko używania urządzeń elektronicznych za kierownicą jest stosunkowo słabo zbadane statystycznie, gdyż jest to zagadnienie trudno mierzalne. Kierowcy po prostu nie przyznają się do takich zachowań. Policja wystawia średnio dziennie od 200 do 300 mandatów osobom przyłapanym na korzystaniu z elektroniki za kółkiem. Kiedy jednak obserwuje się kierowców, np. z miejsca pasażera autobusu, widać wyraźnie, że używanie telefonu za kierownicą jest zjawiskiem powszechnym.

Przeprowadzone badania wskazują jednoznacznie, że rozmawianie przez telefon w znaczący sposób zaburza spostrzegawczość. Naukowcy wykazali, że korzystanie z komórki przynajmniej czterokrotnie zwiększa ryzyko wystąpienia kolizji. Mimo że skupienie uwagi na telefonie trwa chwilę, może być równie groźne, jak prowadzenie pod wpływem alkoholu – czas reakcji osób rozmawiających przez telefon był dłuższy, niż tych, w których krwi znajdowało się nawet 0,8 promila alkoholu! Jeszcze bardziej niebezpieczne jest pisanie wiadomości tekstowych podczas kierowania autem – spędza się wtedy przeciętnie cztery razy więcej czasu niż zwykle ze wzrokiem nieskoncentrowanym na trasie.

Odebranie połączenia zajmuje ok. 5 s, wybranie zaś numeru telefonu trwa średnio 12 s. Jeśli poruszamy się z prędkością 50 km/h, te sekundy to prawie 70 i 170 m (odpowiednio) przejechanych ze wzrokiem wbitym w telefon (dla prędkości 90 km/h to już 111 i 267 m). Wydłuża się też siłą rzeczy droga hamowania – czas dostrzeżenia i reakcji kierowcy na zagrożenie na drodze wynosi średnio sekundę. Przy założeniu, że prędkość wynosi 90 km/h, daje to 25 m, zanim kierowca w ogóle zareaguje!

Powyższe wyliczenia mają też zastosowanie do używania innych urządzeń elektronicznych w trakcie jazdy, np. nawigacji samochodowej GPS. W tym przypadku również uwaga kierowcy jest rozproszona, a wzrok skoncentrowany na ekranie zamiast na drodze. Tymczasem w wakacyjnych podróżach korzystanie z GPS jest dziś standardem, zwłaszcza gdy jedziemy w nowe, nieznane miejsce i szukamy adresu.

– Wśród działań prewencyjnych należałoby wymienić przede wszystkim szerokie akcje edukacyjne skierowane do kierowców oraz pasażerów pojazdów. Należy uświadamiać, jak tragiczne skutki może mieć rozproszenie uwagi i jak ważna jest każda sekunda, ile metrów w tym czasie przebywa pojazd bez kontroli kierowcy – apeluje Bartłomiej Morzycki. ●

eprasa.pl 93ce4e52b2



Wakacje nad wodą

Piłeś? Nie pływaj!

Ponawiane co roku apele o bezpieczne zachowania nad wodą niestety nigdy się nie zdezaktualizują. Zapewne każdy z nas zastanawia się u progu kolejnych wakacji, jak to się dzieje, że co roku podczas kąpieli nadal ginie tak wiele osób. Dziwimy się temu zjawisku, nie dopuszczając myśli, że sami moglibyśmy paść ofiarą wypadku w czasie wypoczynku nad wodą. Tymczasem przyczyny utonięć się nie zmieniają i są już od dawna bardzo dobrze zidentyfikowane przez socjologów. Niezmiennie są to brawura, lekceważenie ostrzeżeń i zakazów oraz wszechobecny wśród plażowiczów alkohol.

Wydaje się, że walka z tym ostatnim z wymienionych czynników powodujących wypadki na kąpieliskach mogłaby najbardziej obniżyć coroczne tragiczne statystyki utonięć. O ile bowiem trudno rozpoznać, czy ktoś wchodząc do wody, nie przecenia swoich pływackich umiejętności, o tyle łatwiej dostrzec osobę spożywającą alkohol lub znajdującą się już w stanie upojenia, która zamierza skorzystać z kąpieli.

Troska to nie donosicielstwo

Eksperci alarmują, że spożywanie alkoholu na kąpieliskach jest powszechnie akceptowalne w społeczeństwie. Nikt nie chce przecież wszczynać awantur z plażowiczami raczącymi się zimnym piwkiem w upalny dzień. Wybaczamy innym urlopowiczom niebezpieczne zachowania także dlatego, że wychodzimy z założenia, iż mają oni prawo właśnie podczas urlopu do odrobiny szaleństwa i luzu. Ani nam w głowie zwracać komuś uwagę ani tym bardziej informować odpowiednie służby o człowieku, który odstawiwszy butelkę od ust, wchodzi do wody.

– Obojętność społeczeństwa staje się kluczowym problemem związanym z zapewnieniem bezpieczeństwa ogólnego. Brak reakcji na przemoc, niechęć do współpracy ze służbami, a wręcz agresja ukierunkowana w stronę przedstawicieli służb ratunkowych nie dotyczą wyłącznie ratowników medycznych. Takie sytuacje zdarzają się również na kąpieliskach.

Toną głównie mężczyźni, którzy stanowią aż **89% wszystkich ofiar utonięć**. W 2018 roku na terenie Polski **utonęło 545 osób**, w tym 77 kobiet.

Najczęstsze okoliczności wypadków utonięcia
(liczba osób, które utonęły):

- alkohol jako przyczyna utonięcia **– 126 osób**.
- kąpiel w miejscu niestrzeżonym, lecz niezabronionym **– 80 osób**.
- kąpiel w miejscu zabronionym **– 64 osób**.
- nieostrożność podczas przebywania nad wodą **– 44 osób**.
- nieostrożność w czasie łowienia ryb **– 29 osób**.

Bezpieczne wakacje z PZU

eprasa.pl 93ce4e52b2



Fot. Shutterstock

Osoby będące świadkiem negatywnego zachowania nad wodą boją się podjąć jakiekolwiek działania. Obawa przed agresją ze strony osoby, której ewentualnie zwrócona byłaby uwaga, doprowadza w efekcie do milczenia i skutkuje brakiem jakiejkolwiek reakcji – tłumaczy Krzysztof Jaworski, ekspert akcji PZU Pomoc To Moc oraz prezes Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego w Legionowie. – Z uwagi na to, że osoby będące pod wpływem alkoholu bardzo często stają się agresywne, to również obawa przed kłopotami powoduje sytuację, gdzie ktoś widzący towarzystwo bawiące się nad wodą i jednocześnie spożywające alkohol nie podejmuje żadnych działań. Ciągle w statystykach policyjnych odnotowujemy największy odsetek ludzi, którzy utonęli, będąc pod wpływem lub też po spożyciu alkoholu.

Eksperci podkreślają, że samo spożycie alkoholu nie powoduje u osób potrafiących pływać stanu, w którym zapominają o swojej umiejętności. Problem pojawia się za to w sferze psychicznej. Osobie pod wpływem alkoholu raptem zaczyna się wydawać, że może więcej: może dalej popłynąć, głębiej zanurkować, skoczyć do wody z miejsca, z którego w stanie trzeźwości nigdy by nie skoczyła, lub wejść do akwenu, do którego normalnie by nie weszła.

Warte podkreślenia jest to, że ani zwrócenie uwagi na złe zachowanie, ani powiadomienie odpowiednich służb o nagannym zachowaniu nie może być traktowane w kategorii donosicielstwa. Zawsze chodzi wyłącznie o bezpieczeństwo.

Nie spuszczajmy dzieci z oczu

Spożywanie alkoholu nad wodą niesie z sobą także wiele innych zagrożeń, niezwiązanych bezpośrednio z kąpielą. Zamroczeni napojami wyskokowymi dorośli – łagodnie rzecz ujmując – nie sprawdzają się bowiem najlepiej w roli opiekunów osób małoletnich. A dzieci pozostawione bez opieki dorosłych to jedno z największych ryzyk wypoczynku nad wodą. Ratownicy WOPR starają się temu przeciwdziałać.

– Ratownicy pracujący na plażach za zgodą rodziców przyczepiają na nadgarstkach dzieci opaski z imieniem i numerem telefonu opiekunów. Jest to jedna z najlepszych i najskuteczniejszych akcji przeprowadzonych na rzecz poprawy bezpieczeństwa dzieci nad wodą – mówi Krzysztof Jaworski.

Eksperci podkreślają także, że niebezpieczne zachowania, spowodowane spożywaniem alkoholu lub zwykłą brawurą, bardzo często prowadzą do tego, że cierpią osoby trzecie, a sprawca wychodzi z wypadku bez szwanku.

Jest tak najczęściej wówczas, gdy użytkownicy zachowują się nieostrożnie lub nagannie podczas korzystania ze sprzętu wodnego. Miejmy tu na uwadze szczególnie osoby korzystające z szybkich łodzi motorowych lub skuterów. Pijany lub szarżujący sternik takiej łodzi zazwyczaj nie robi sobie krzywdy w razie wypadku. Ofiarami stają się najczęściej przypadkowe osoby lub też ci, którzy korzystali z usług brawurowego sternika, np. byli przez niego holowani na kole, bananie, obiekcie latającym albo nartach wodnych.

Dzika plaża – większe ryzyko

Choć alkohol zbiera co roku śmiertelne żniwo na kąpieliskach w upalne dni, nie jest jedyną przyczyną tragicznych statystyk. Toną także osoby zupełnie trzeźwe, przekonane o swoich całkiem niezłych umiejętnościach pływackich. Dzieje się tak głównie dlatego, że do wypadków dochodzi w miejscach, w których próżno szukać jakiejkolwiek pomocy. To dlatego ratownicy do znudzenia apelują, by z kąpieli korzystać w punktach strzeżonych, w zasięgu wzroku ratownika.

eprasa.pl 93ce4e52b2



Fot. Shutterstock

– Często osoby chcące wypocząć nad wodą korzystają z kąpieli w miejscach niestrzeżonych, a wręcz zabronionych. W naszym społeczeństwie funkcjonuje fatalny pogląd, że frajdę w wodzie będziemy mieli tylko na kąpielisku dzikim, czyli niestrzeżonym. To tam będziemy mogli się swobodnie powygłupiać, poskakać czy nieniepokojeni przez nikogo wypić wspomniane piwko – mówi Krzysztof Jaworski.

Tymczasem szanse na to, że ewentualny problem w wodzie nie zakończy się tragicznymi konsekwencjami, daje nam tylko korzystanie z kąpieli w miejscach, w których ktoś o odpowiednich kwalifikacjach i umiejętnościach będzie mógł szybko przyjść nam z pomocą, a więc po prostu tych strzeżonych przez ratowników wodnych. Miejsca te to w głównej mierze tzw. lokalizacje wyznaczone do kąpieli lub też oficjalne kąpieliska. I jedne, i drugie w przeciwieństwie do basenów działają najczęściej jedynie w lipcu i sierpniu. Warto o tym pamiętać, zwłaszcza że w ostatnich latach sezon, w czasie którego występują upalne dni, znacznie się w Polsce wydłuża i kąpieliska przeżywają oblężenia także w maju i czerwcu bez względu na to, czy stanowisko ratownicze jest już w danym punkcie obsadzone.

Osobny problem stanowią akweny duże, rozległe, zwłaszcza morskie, gdzie zapewnienie nadzoru ratowników nad całym wielokilometrowym pasem wybrzeża często po prostu nie jest możliwe. Wówczas powinniśmy koniecznie zwrócić uwagę, czy miejsce, w którym wchodzimy do wody, jest na pewno strzeżone, nieoddalone za bardzo od stanowiska WOPR.

– Analizując problematykę kąpielisk nadmorskich, można wysnuć tezę, że wypoczywający na plaży ludzie często nawet nie wiedzą, że kąpią się poza kąpieliskiem. Nie zwracają uwagi, gdzie usytuowane jest stanowisko ratownika, czy są boje oznaczające granice kąpieliska. Cieszą się, że w końcu znaleźli miejsce, w którym jest mało ludzi. Idąc przez plażę, widzieli białą flagę, wieżyczki ratownicze i spokojnie uznali, że cały akwen jest dobrze strzeżony. Niestety to tak nie działa – przestrzega Krzysztof Jaworski.

Nasz ekspert podkreśla, że idealna, wymarzona dla zachowania bezpieczeństwa nad wodą sytuacja to taka, w której osoby chcące skorzystać z kąpieli robią to w miejscu wyznaczonym i strzeżonym, a dodatkowo przed wejściem do wody zasięgają informacji o budowie kąpieliska, czytają opis stref, jakie się w nim znajdują, i występujących tam głębokości.

W idealnym bezpiecznym świecie kąpiący się wiedzą także, gdzie jest zlokalizowany sprzęt ratunkowy i jak go poprawnie użyć w razie zagrożenia.

Niestety naprawdę niewiele jest osób, które tak pieczołowicie przygotowują się do letniej kąpieli. Strzeżonych bezpiecznych miejsc, gdzie schłodzimy się latem, jest zbyt mało w stosunku do potrzeb, nie chce się nam zdobywać rzetelnej wiedzy o bezpieczeństwie nad wodą, a często także korzystanie z miejsc dzikich jest po prostu naszym świadomym wyborem.

Głowa jest do myślenia, nie do skakania

Warto też uświadomić sobie, że jeżeli zdecydowaliśmy się już na skorzystanie z kąpieli w miejscu niestrzeżonym, bo np. nie mamy w okolicy innej, bezpieczniejszej możliwości, to powinniśmy sami zadbać o to, by nasza kąpiel niosła jak najmniejsze ryzyko. Przede wszystkim zapanujmy wówczas nad chęcią zbytniego szaleństwa. Wchodźmy do wody pomału, zanurzając się stopniowo, by nasze ciało nie doznało obciążającego układ krążenia szoku termicznego, i nie odpływajmy zbyt daleko od brzegu. A już pod żadnym pozorem nie skaczmy do wody!

– Problematyka urazów kręgosłupa po skoku na tzw. główkę jest powszechnie znana. Kampanie reklamowe, które odradzają skakanie do wody, pojawiają się przed każdym sezonem wakacyjnym. Niestety, tak jak w przypadku innych apeli, także i te są notorycznie ignorowane – mówi Krzysztof Jaworski.

Szef legionowskiego oddziału WOPR zwraca uwagę, że wskazując na zagrożenia związane ze skakaniem do wody na główkę, trzeba znów wrócić do problemu alkoholu.

– To wówczas włącza się tryb „nieśmiertelności", zaczynamy pałać chęcią popisania się przed towarzystwem, to wtedy staramy się oddać skok życia. Skok jak najdalszy, najśmieszniejszy, z jak najwyższej wysokości, najczęściej do nieznanej nam wody – mówi Jaworski.

Jednak katalog brawurowych i niebezpiecznych zachowań w wodzie jest znacznie szerszy. To nie tylko skoki na główkę i nie tylko po alkoholu. Brawura to również wypływanie poza strefę kąpieliska, także na materacach czy w kółkach, które nie mają odpowiednich atestów i nie powinny być używane na głębokiej wodzie. Brawura to także zawody, kto dłużej wytrzyma pod wodą, wstrzymując oddychanie (bardzo modne wśród dzieci i młodzieży).

– Brawura to wreszcie dobrze niestety znane ratownikom wszczynanie fałszywych alarmów nad wodą. To również wypożyczenie jednostki pływającej zaraz po zdobyciu upragnionego patentu, zabranie na pokład nieświadomej załogi (najczęściej najbliższych) i wypływanie bez dobrego przygotowania. Brawura to też wypożyczenie jednostki pływającej, takiej jak chociażby skuter, bez jakichkolwiek uprawnień. Niestety w wodzie możemy zrobić sobie lub innym krzywdę na bardzo wiele sposobów – kończy Krzysztof Jaworski. ●

eprasa.pl 93ce4e52b2



Ciesz się słońcem, ale zdrowo!

Lato to trudny czas dla serca i skóry

Szlachetne zdrowie... trzeba o nie dbać cały rok, ale lato, zwłaszcza upalne – a z takimi mamy ostatnio do czynienia – jest czasem, kiedy jesteśmy szczególnie narażeni na dolegliwości układu krążenia związane z wysokimi temperaturami i długą ekspozycją na promieniowanie słoneczne. To właśnie o te dwa organy: serce i skórę – powinniśmy latem zadbać w sposób szczególny.

Choroby układu krążenia stanowią niezmiennie od lat najczęstszą przyczynę zgonów Polaków, powodują ich aż 46 proc. Analizując statystyki chorób kardiologicznych, raczej nie należy się spodziewać szybkiej zmiany na lepsze. Ponad 10 mln Polaków ma nadciśnienie tętnicze, 1,5 mln boryka się z chorobą niedokrwienną serca, a ok. 700 tys. ma już niewydolność serca, która zagraża ich życiu. Dodatkowo ok. 3 mln osób w Polsce ma cukrzycę typu 2, która prowadzi do uszkodzenia naczyń krwionośnych oraz może spowodować niebezpieczny nagły spadek stężenia cukru we krwi. Te wartości w ciągu ostatnich 20 lat także uległy niemal podwojeniu.

Serce wymaga aktywności

– W naszym społeczeństwie panuje błędne przekonanie, że osoby cierpiące na dolegliwości kardiologiczne nie powinny być aktywne fizycznie – mówi Grzegorz Juszczyk, ekspert akcji PZU Pomoc To Moc oraz dyrektor Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego PZH. – Tymczasem serce należy wzmacniać właśnie poprzez regularny wysiłek. Jego najprostszą zalecaną formą jest codzienny spacer przez ok. 20–30 minut.

Oczywiście upały mogą przeszkadzać w realizacji tego zalecenia, ale w czasie gorącego lata spacerować należy wcześnie rano lub wieczorem, kiedy temperatura powietrza jest niższa. Wtedy też warto wietrzyć pomieszczenia, a w ciągu gorącego dnia, w czasie największej spiekoty zamykać i zasłaniać okna, aby gorące powietrze nie dostawało się do środka pomieszczeń mieszkalnych.

Osoby z problemami kardiologicznymi muszą uważać na nagłe zmiany ciśnienia tętniczego krwi. Proces pocenia się powoduje rozszerzenie naczyń krwionośnych i wówczas ciśnienie krwi wzrasta. U chorych może dojść w takiej sytuacji do gorszego ukrwienia serca. W czasie upałów konieczne jest też picie większej ilości wody. Przy niedoborze wody w organizmie krew jest gęstsza i to także podnosi jej ciśnienie w naczyniach krwionośnych.

W czasie upalnego lata powinniśmy także zwracać baczną uwagę na leki, jakie przyjmujemy. Niektóre z nich bowiem powodują toksyczne lub alergiczne reakcje w momencie ekspozycji ciała na działanie promieni słonecznych. Do takich leków należą antybiotyki, leki przeciwzapalne, przeciwhistaminowe a nawet popularne zioła, np. dziurawiec. Pamiętajmy także, że same leki nie tolerują upałów i nie powinny być przechowywane w temperaturach powyżej 25°C, dlatego warto je umieścić np. w łazience, gdzie temperatura powietrza jest niższa niż w pomieszczeniach z oknami. Tymczasem zdarza się, że np. popularne leki przeciwbólowe przechowywane są w zaparkowanym w nasłonecznionym miejscu samochodzie, gdzie temperatura może sięgnąć nawet 50°C. Takie specyfiki absolutnie nie nadają się już do użycia.

Długa ekspozycja na działanie promieni słonecznych może być niebezpieczna nie tylko dla osób cierpiących na choroby układu krążenia. Słońce oprócz przyjemnego ciepła emituje promieniowanie ultrafioletowe (UV), które umożliwia naszym organizmom wytworzenie witaminy D, wspierającej procesy odbudowy kości, pracę mięśni oraz układu odpornościowego. Pamiętajmy jednak, że odpowiednia ilość tej witaminy na dobę wytwarzana jest już po 15 min przebywania na słońcu w stroju odsłaniającym przedramiona i podudzia – bez filtra. Powyżej tego limitu nasza skóra zaczyna odczuwać szkodliwe skutki promieniowania UV.

Kontroluj swoją skórę

W badaniach Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego w 2018 r. na reprezentatywnej grupie dorosłych Polaków aż 71 proc. osób stwierdziło, że doświadczyło w swoim życiu poparzenia słonecznego. Równocześnie tylko 21 proc. rodziców kontroluje stan skóry dziecka u lekarza, a ponad 85 proc. dorosłych w ogóle nie bada znamion na skórze!

Fot. Shutterstock x2

eprasa.pl 93ce4e52b2

Ze słońca **korzystaj z rozwagą**.

- Unikaj przebywania w pełnym słońcu **w godzinach 10.00–16.00**.
- Wychodząc na spacer, ubieraj się odpowiednio – **osłaniaj ciało**.
- **Noś kapelusz** – najlepiej z szerokim rondem, który chroni także skórę karku.
- Zadbaj o właściwe **okulary przeciwsłoneczne** – koniecznie z filtrem UV.
- Używaj **kremów z UVA i UVB**. Pamiętaj, że **po kąpieli w morzu lub jeziorze, musisz ponownie użyć kremu**. Nawet kiedy przebywasz w mieście, po kilku godzinach ekspozycji na słońce, konieczne jest ponowne użycie kremu.

Bezpieczne wakacje z PZU

– Promieniowanie UV jest związane z powstawaniem trzech rodzajów nowotworów złośliwych skóry – w tym najgroźniejszego czerniaka. W Polsce nadal umiera jeden z trzech chorych, którzy zapadli na ten nowotwór. Przyczyną zgonu jest tutaj późne wykrycie, gdyż czerniak we wczesnym stadium jest wyleczalny w 97 proc. Czerniak jest obecnie najczęściej występującym nowotworem u osób w wieku 24–40 lat. Według danych Krajowego Rejestru Nowotworów liczba zgonów związanych z tym złośliwym nowotworem skóry wynosi 1,5 tys., a nową diagnozę stawia się co roku u ponad 3 tys. Polaków. Dla porównania w 1990 r. chorowało trzy razy mniej, a umierało dwa razy mniej osób – podkreśla Grzegorz Juszczyk.

Dlatego przed sezonem letnim, przynajmniej raz w roku, należy skontrolować skórę u lekarza. Warto też samodzielnie obserwować zmiany i prosić o to bliską osobę. Wszystkie zmiany, które mają nieregularny kształt, są poszarpane lub mają niejednolity kolor, a szczególnie wielkość powyżej 6 mm (większe niż obwód ołówka), trzeba szybko zdiagnozować.

U osób dorosłych o bardzo jasnej karnacji zaleca się stosowanie kremów z filtrem 50, przy karnacji ciemniejszej – krem z SPF 15–30. Większość kremów przeznaczonych dla dzieci ma filtr minimum 30. Najczęściej jednak dla naszych pociech przeznaczone są środki zabezpieczające przed działaniem słońca z filtrem 50.

– Aby stosowane zabezpieczenie było skuteczne, nie powinniśmy oszczędzać kremu – na pokrycie całego ciała powinniśmy przeznaczyć ok. 30 ml produktu. To naprawdę dużo! Wiele badań wskazuje natomiast, że stosujemy jednorazowo tylko kilka mililitrów. Nie zapominajmy o zabezpieczeniu uszu – podkreśla Grzegorz Juszczyk.

Czas, gdy już jesteśmy opaleni, a skóra jest złotobrązowa, nie oznacza, że możemy zrezygnować z ochronnych specyfików z filtrami, ponieważ opalenizna nie chroni nas przed ewentualnym oparzeniem. Kosmetyki zabezpieczające powinniśmy stosować także w ciepłe, lecz pochmurne dni, jako że nawet przez chmury dociera do nas 80 proc. promieniowania UV.

Przed wyjściem na plażę warto sprawdzić w internecie indeks UV, który określa promieniowanie ultrafioletowe (UV) w określonym dniu i miejscu. Indeks ten uświadamia nam, jaka ochrona jest niezbędna, by nie doprowadzić do rumieni i oparzeń. W Polsce najczęściej występuje indeks UV 3–5 (oznaczony na skalach kolorem żółtym), co oznacza, że zagrożenie jest średnie, jednak podczas wyjątkowo słonecznego lata może się zdarzyć także indeks UV 6–7 (oznaczony kolorem pomarańczowym). Indeks UV 6–7 wskazuje, że występuje duże zagrożenie – noś wtedy okulary przeciwsłoneczne z filtrem, ciało posmaruj odpowiednim kremem, zabezpiecz także uszy i usta, unikaj przebywania na słońcu w godz. 10–16. Jeśli masz jasną skórę i jasne oczy, to już kilkanaście minut spędzonych na słońcu może powodować powstanie rumienia na skórze lub nawet oparzenia.

Groźny udar

Udar cieplny (słoneczny) to stan groźny dla zdrowia i życia. Na wystąpienie udaru narażone są szczególnie osoby starsze, dzieci, chorzy na cukrzycę, choroby serca, osoby otyłe. Objawia się zaczerwienieniem skóry, osłabieniem, zawrotami głowy i zaburzeniami świadomości, przyspieszonym oddechem. Mogą też wystąpić wymioty oraz utrata przytomności i zatrzymanie krążenia. Co robić, kiedy podejrzewamy, że ktoś doznał udaru cieplnego? Należy go przenieść do chłodnego, zacienionego pomieszczenia i położyć wilgotne okłady na głowę, klatkę piersiową, tułów, kończyny. Jeśli mamy do dyspozycji wiatrak, skierujmy go na chorego lub przynajmniej wachlujmy. Podawajmy też wodę, ale tylko jeśli osoba jest przytomna i może samodzielnie przełykać. Jeśli nie wiemy, jak się zachować, albo osoba straciła przytomność, zadzwońmy na 112, gdzie ratownik poinstruuje nas, jak powinniśmy postąpić, oraz wyśle zespół medyczny, gdy będzie taka potrzeba.

Pamiętamy, że w czasie upałów powinniśmy pić nawet 3 l płynów, najlepiej wody. Mimo przekonania, że chłodzą nas zimne napoje, najskuteczniejsza do schłodzenia organizmu będzie woda w temperaturze pokojowej. ●

Dodatek sfinansowano z funduszu prewencyjnego

PZU

Z myślą o bezpieczeństwie

eprasa.pl 93ce4e52b2

Hit tygodnia

Bentley Flying Spur – nadchodzi trzecia generacja



Bentley Flying Spur (dawniej Bentley Continental Flying Spur) to samochód elegancki dla eleganckich dżentelmenów, można by powiedzieć. Ale czemuż się dziwić, w końcu to wyspiarski szyk – co prawda od 1998 r. należy do Volkswagena, ale zawsze ta brytyjskość jakoś z niego emanuje. Pierwszy Bentley Continental Flying Spur pojawił się w 2005 r. jako czterodrzwiowy wariant Bentleya Continental GT. W 2009 r. do produkcji trafił Flying Spur Speed z mocniejszym silnikiem (prędkość maksymalna 320 km/h). W 2013 r. pojazd doczekał się drugiej wersji, to nie był już tylko niewielki lifting – zmieniono prawie wszystko. Rok 2020 przyniesie kolejną wersję Flying Spura. Producent twierdzi, że to będzie najlepszy na świecie luksusowy i sportowy grand tourer. I ponownie mamy do czynienia z czymś więcej niż liftingiem: nowy Flying Spur jest dłuższy i niższy od poprzednika, ma powiększony rozstaw osi. Silnik to 6-litrowy W12 twin-turbo osiągający moc 635 KM, do setki potrzebuje 3,8 s, prędkość maksymalna – 333 km/h. Zamówienia będzie można składać już na jesieni tego roku.

AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

Dobra wiadomość dla wszystkich tych, którzy nie są Niemcami, a korzystają z niemieckich autostrad. Z pomocą przyszedł Trybunał Sprawiedliwości UE, który uznał, że projekt pewnego prawa mającego wejść w 2020 r. w życie dyskryminuje obywateli Unii, którzy Niemcami nie są. A o co chodzi? Nowe prawo zakładało, że do korzystania z autostrad miały upoważniać winiety, które trzeba było najpierw kupić. Nic w tym dziwnego, tyle że Niemcy mieli mieć obniżony podatek drogowy, co w praktyce równało się temu, że obywatele innych krajów unijnych opłacaliby niemieckie autostrady.

Francja wycofa się z ograniczenia prędkości na drogach krajowych do 80 km/h? Jest to możliwe, choć przepis o ograniczeniu prędkości obowiązuje zaledwie od zeszłego roku (ograniczenie z 90 do 80 km/h miało zmniejszyć liczbę ofiar śmiertelnych wypadków). I choć rzeczywiście liczba tragicznych zdarzeń zmalała, to jednak francuska policja twierdzi, że główną przyczyną wypadków nie jest nadmierna prędkość, ale jazda pod wpływem alkoholu i narkotyków. Francuski rząd w zasadzie jest gotów wycofać się z tego przepisu, pod warunkiem że władze departamentów zadbają o jak najlepszy poziom bezpieczeństwa na drogach.

Pół żartem, pół serio. Czy kosiarka może być szybsza niż niejeden sportowy pojazd? Skoro padło takie pytanie, to odpowiedź jest do przewidzenia: tak, może. Ta kosiarka to Honda Mean Mower V2, która na torze Lausitzring pod Dreznem (pojazdem kierowała kaskaderka Jess Hawkins) rozpędziła się do 160 km/h w czasie 6,29 s, czym ustanowiła nowy światowy rekord Guinnessa dla prototypowych kosiarek. Dodajmy jeszcze, że maksymalna prędkość osiągnięta podczas przejazdu to 242,99 km/h...

Dziś dość dużo o zmianach w prawie w różnych krajach unijnych. Chorwacja, kraj, do którego wielu Polaków jeździ na urlop, również przygotowała ważną zmianę w swoim prawie. Zaostrzono przepisy dotyczące wykroczeń drogowych (np. przekroczenie prędkości o ponad 50 km/h w terenie zabudowanym, prowadzenie pojazdu pod wpływem narkotyków lub alkoholu powyżej 1,5 promila, jazdę samochodem bez uprawnień) i mandaty stały się znacznie droższe. Uwaga! Teraz najwyższy mandat w Chorwacji – w przeliczeniu na złotówki – wynosi 11 tys. zł! Żarty się skończyły.

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 93ce4e52b2



Czy za zdrowe napoje zapłacimy więcej?

Wprowadzenie nowej matrycy podatku VAT wciąż budzi ogromne emocje. Nic dziwnego – nowe stawki przełożą się na to, ile będziemy płacili w sklepach za podstawowe produkty. Tymczasem wicepremier Sasin zapowiedział niedawno, że prace nad nowymi stawkami VAT powinny zostać dokończone jeszcze w tej kadencji Sejmu. Poprzednie zostały przerwane w marcu z powodu kontrowersji, jaką wzbudziła planowana podwyżka tego podatku na napoje z zawartością soku, co byłoby skrajnie niekorzystne dla polskich sadowników

Idea, jaka przyświeca twórcom nowej vatowskiej matrycy, jest czytelna – chodzi o uporządkowanie bardzo niejasnej sytuacji fiskalnej, z jaką mamy dziś do czynienia, a która polega na tym, że w jednej grupie towarowej istnieją różne stawki podatku VAT. Jednocześnie rząd chce obniżyć stawki na dobra najpowszechniej konsumowane, a zwiększyć na te, z których korzystamy rzadko.

„Chcemy zmniejszać stawki VAT, ale nie w formie prostej obniżki. Idea jest taka, by VAT na te produkty, które są najbardziej powszechne, najbardziej potrzebne do życia każdemu, był niższy, a na te bardziej luksusowe, mniej powszechne może być wyższy" – mówił na początku czerwca wicepremier Jacek Sasin.

Nową matrycą VAT Sejm miał się zająć już w marcu, ale projekt został wycofany z porządku obrad z powodu kontrowersji, jakie wzbudziły plany zwiększenia stawki podatku z 5 na 23 proc. na napoje z zawartością soku. Polscy producenci owoców, zwłaszcza jabłek, z dużym niepokojem oczekują, czy po powrocie do prac legislacyjnych nad nową matrycą Ministerstwo Finansów nadal będzie forsowało projekt podwyżki VAT na tę kategorię produktów.

Obecnie soki, nektary i napoje, w których udział soku warzywnego lub owo-

eprasa.pl 93ce4e52b2



Fot. Shutterstock

cowego wynosi co najmniej 20 proc., objęte są stawką 5 proc. VAT. Tak niski podatek sprawia, że polski klient ma dostęp do dużo bardziej wartościowego i zdrowego asortymentu napojów, niż oferują to rynki w innych krajach UE. Kiedy w Polsce średnia zawartość soku w napoju owocowym wynosi 20 proc., w Niemczech jest to tylko 12 proc., a w Czechach między 7,5 a 17 proc. Dodatkowo w Polsce nietrudno znaleźć produkty zupełnie niedostępne na rynkach zachodnich, gdzie zawartość naturalnego, zdrowego soku w napoju wynosi nawet 60 proc.

Tymczasem w pierwotnym założeniu nowej matrycy planowano pozostawienie w grupie objętej 5-proc. VAT jedynie nektarów i soków) (definicje handlowe i różnice między tymi kategoriami produktów zamieszczamy w ramce). Przeciwko takiemu rozwiązaniu natychmiast zaprotestowali przedstawiciele stowarzyszeń branżowych zrzeszających producentów owoców i warzyw, a także posłowie wszystkich ugrupowań parlamentarnych. Dodatkowe kontrowersje wzbudził fakt, że np. ujednolicenie VAT na wyroby piekarnicze spowodowałoby obniżenie stawek na tak niezdrowe produkty jak chipsy czy pączki, a zwiększałoby cenę wspomnianych napojów z wysoką zawartością naturalnego soku. Resort, kierowany przez ministra Ardanowskiego negatywnie odnosił się do planów zwiększenia stawki VAT właśnie na te produkty. Mowa tu o wartościowych napojach, znacząco różniących się od „kolorowej, słodzonej wody", która już obecnie objęta jest najwyższą stawką VAT.

Trudno się zresztą dziwić negatywnemu stanowisku Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi, gdyż z wyliczeń eksperckich wynika, że realizacja założeń o podwyżce na wspomniane napoje byłaby istną katastrofą dla polskich sadowników i producentów warzyw. Według ostrożnych szacunków podwyżka VAT spowodowałaby spadek zapotrzebowania na owoce o blisko 150 tys. ton, w tym głównie na jabłka. To więcej niż wynosi obecnie eksport polskich owoców do Afryki, na Półwysep Arabski czy do Azji. Dodatkowo prognozowany jest spadek konsumpcji oraz zmniejszenie zawartości soku w napojach do średniej europejskiej – czyli ok. 10 proc. Z rynku znikną po prostu napoje o wysokiej zawartości soku, bo ich produkcja przestanie być bardziej opłacalna od wytwórstwa napojów gorszej jakości. W tej sytuacji na polski rynek spróbują z pewnością wejść producenci tych gorszych jakościowo towarów z Unii Europejskiej, co będzie dodatkowym ciosem dla rodzimych producentów.

Oczekując na wznowienie prac legislacyjnych nad nowymi stawkami VAT, można mieć jednak nadzieję, że wszystkie te argumenty dotarły do osób, które będą opiniować i zatwierdzać nowe stawki. Polscy producenci owoców i warzyw zmagają się obecnie z klęską urodzaju, która skutkuje bardzo niskimi cenami w skupach prowadzonych przez spółdzielnie ogrodnicze i firmy eksportowe. Obowiązujące od lat rosyjskie embargo na polskie jabłka sprawia, że aby utrzymać opłacalność produkcji, trzeba wciąż poszukiwać nowych rynków eksportowych. Na razie jednak eksport naszych owoców nie jest w stanie zrównoważyć spadku zapotrzebowania dla rodzimego przetwórstwa, z jakim mielibyśmy do czynienia po ewentualnej podwyżce VAT na napoje. Warto o tym pamiętać.

Kajetan Kutnowski

Co nazywamy sokiem, co nektarem, a co napojem

Sok – w obrocie handlowym pod taką nazwą można sprzedawać produkt otrzymany z jednego lub większej liczby gatunków zdrowych, dojrzałych, świeżych lub schłodzonych owoców i warzyw. Ma on mieć barwę, smak i zapach charakterystyczne dla soku z owoców i warzyw, z których jest otrzymany. Do soku można dodać miazgę i komórki miąższu, które były uprzednio oddzielone. Zabronione jest dodawanie barwników, substancji słodzących, w tym słodzików, substancji konserwujących oraz aromatów innych niż uzyskane z owoców i warzyw, z których ten sok jest wyprodukowany. Soki można wzbogacać w witaminy i sole mineralne. Soki objęte są 5-proc. VAT i to się nie zmieni.

Nektar – zawiera od 25 do 100 proc. soku lub przecieru owocowego albo warzywnego. Nektar jest otrzymywany przez dodanie wody i cukru lub miodu oraz czasem kwasu cytrynowego do bazy owocowej lub warzywnej. Przykładowo nektary jabłkowe, pomarańczowe, grejpfrutowe zawierają minimum 50 proc. soku owocowego, nektary wiśniowe czy z czarnych porzeczek nie mniej niż 25 proc. Do nektarów nie można dodawać barwników i substancji konserwujących lub konserwantów oraz aromatów innych niż uzyskane z owoców i warzyw, z których ten sok jest wyprodukowany. Na nektary obowiązuje stawka 5 proc. VAT i w nowej matrycy taka ma pozostać.

Napój – pod tą nazwą znajdziemy największą liczbę produktów. Najlepiej wybierać napoje warzywne i owocowe, które wg definicji GUS muszą zawierać minimum 20 proc. dodatku soku albo przecieru owocowego lub warzywnego. Takie napoje są bogate w składniki odżywcze pochodzenia naturalnego. Napoje owocowe i warzywne w olbrzymiej większości są pasteryzowane, co jest deklarowane na opakowaniu. Nie ma wówczas konieczności dodawania substancji konserwujących. Do wszystkich napojów można dodawać również większą niż w przypadku soków i nektarów liczbę komponentów, które nadają smak, aromat, ale również mogą być dodawane w celu wzbogacenia napoju. Nawet jeżeli do 100-proc. soku owocowego dodamy np. przyprawy lub ich ekstrakty, to z punktu widzenia prawa produkt ten musi być nazwany napojem. Obecnie na napoje zawierające minimum 20 proc. naturalnego soku obowiązuje stawka 5 proc. VAT, ale w pierwotnym założeniu nowej matrycy VAT miał wzrosnąć do 23 proc.

eprasa.pl 93ce4e52b2



Zakończyło się największe wydarzenie gospodarcze w północnej Polsce

Za nami II Forum Wizja Rozwoju, które odbyło się w budynkach Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni. W ramach dwudniowego wydarzenia zaplanowanych było łącznie 100 debat upamiętniających stulecie odzyskania niepodległości z udziałem aż 500 ekspertów. Wydarzenie było objęte honorowym patronatem premiera Mateusza Morawieckiego

W poniedziałek, 24 czerwca oficjalnie rozpoczęła się II edycja Forum Wizja Rozwoju. Najważniejszym punktem programu pierwszego dnia było przemówienie premiera Mateusza Morawieckiego.

– Forum, wizja i rozwój będą wytaczać kolejne kierunki, będą azymutem zmian w naszej ojczyźnie – mówił premier Mateusz Morawiecki w czasie swojego wystąpienia w sali plenarnej Akademii Marynarki Wojennej. – Potrzebujemy forum jako miejsca spotkań, dyskusji i wymiany poglądów, takiego jak to, które dzisiaj otwieramy. Potrzebujemy wizji, by osiągnąć z pozoru nierealne cele w ciągu kolejnych lat.

Premier także wziął udział w równoległym wydarzeniu – obchodach 35-lecia Solidarności Walczącej, w trakcie którego wręczono odznaczenia nadane przez prezydenta Andrzeja Dudę – Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski. Poza tym nadano odznaczenia Pro Patria i Zasłużony dla Kultury. Medale 100-lecie Odzyskania Niepodległości wręczył prezes Rady Ministrów Mateusz Morawiecki.

Poza premierem wystąpienia programowe mieli: prezes IPN Jarosław Szarek, minister Jan Józef Kasprzyk – szef UdsKiOR oraz Jarosław Sellin z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Odbyły się także prelekcje, wręczenie krzyży SW, pokazy filmów i prezentacja książki „Wytrwali do końca" autorstwa Andrzeja Michalaka i Romana Zwiercana.

Oprócz tego od samego rana trwały panele z pierwszych dziewięciu bloków tematycznych. Jednym z nich była Srebrna Gospodarka, którego prelegentką była przewodnicząca sejmowej komisji polityki senioralnej Małgorzata Zwiercan, poseł na Sejm RP.

– Współpraca komisji polityki senioralnej, komisji polityki społecznej z rządem daje nam efekty. Wprowadziliśmy wiele dobrych zmian, m.in. program Leki 75+ czy obniżenie wieku emerytalnego – mówiła poseł Małgorzata Zwiercan. – Dużo jest jeszcze do zrobienia, dlatego staramy się działać nie tylko ustawowo, ale dedykować seniorom także programy rządowe. Współpraca rządu, parlamentu i samorządu jest bardzo istotna.

Zgodnie z zapowiedziami w czasie pierwszego dnia Forum nie zabrakło

26/0319/F

eprasa.pl 93ce4e52b2

tematów najbardziej istotnych dla polskiej gospodarki. Dużym zainteresowaniem cieszyła się sesja otwierająca „Czynniki stymulujące inwestycje".

– Bank Gospodarstwa Krajowego od początku istnienia miał za zadanie wspieranie rozwoju społeczno-gospodarczego i taką misję wypełniamy do dzisiaj – mówiła Beata Daszyńska-Muzyczka, prezes zarządu Banku Gospodarstwa Krajowego, która była jednym z prelegentów sesji. – Polska gospodarka się rozpędza, także dzięki środkom, które trafiają do przedsiębiorców za pośrednictwem naszego banku.

– Istnieją trzy składowe, które podbudowują naszą szansę na dalszy rozwój – wielkość rodzimego rynku, otwartość na handel międzynarodowy oraz kapitał ludzki – tłumaczył na spotkaniu Mateusz A. Bonca, prezes zarządu Grupy Lotos SA. – Inwestycje w projekty czysto paliwowe już się dokonały. Rozważamy szersze zaangażowanie w rozwój paliw alternatywnych.

W czasie Forum wiele uwagi poświęcono także energetyce. Duże zainteresowanie wzbudziło Forum Partnerów, w trakcie którego mówiono o przejęciu przez PKN Orlen Grupy Lotos.

– Fuzja PKN Orlen z Grupą Lotos ma na celu wzmocnienie pozycji obu spółek, ale też polskiej gospodarki. Dzisiaj przy zakupach ropy mamy status mniejszych odbiorców. Dopiero po fuzji z Lotosem będziemy większym, atrakcyjniejszym graczem, mogącym negocjować niższe ceny. Zwiększy się także baza potencjalnych partnerów – mówił Daniel Obajtek, prezes zarządu PKN Orlen. – Zatem dzięki fuzji powstanie silny podmiot, który poprzez większą skalę inwestycji będzie jeszcze silniej oddziaływał na polską gospodarkę.

Ważnym punktem programu II Forum Wizja Rozwoju było wręczenie nagród gospodarczych, które mają charakter honorowy. Nagrody otrzymały: Adamed Pharma SA, KGHM Polska Miedź SA, Energa SA, Transition Technologies SA, PIAP Space sp. z o.o., Hydromega sp. z o.o. oraz Grupa Lotos SA. Z okazji stulecia niepodległości wyłoniona została także nagroda specjalna, którą zdobył PKN Orlen. Nagrodę przyznała kapituła spośród firm wskazanych przez prawie 200 instytucji.

Wśród ekspertów nie zabrakło także zagranicznych gości. II edycję Forum uświetniła Paula Vanninen – laureatka Pokojowej Nagrody Nobla z 2013 r.

Drugiego dnia Forum, we wtorek w programie znalazły się panele w ramach bloku „Forum Partnerów", organizowane przez Energę SA oraz Agencję Rozwoju Przemysłu SA. Odbyły się także sesje poświęcone tematom m.in. inwestycji, transportu, gospodarki morskiej oraz srebrnej gospodarki.

Wręczono również nagrody CEMT 2018 za znaczące osiągnięcia techniczne. Nagrody otrzymały Stocznia Crist i biuro projektowe StoGda. Kolejnym uroczystym momentem było zakończenie Hackatonu – maratonu programowania, który rozpoczął się pierwszego dnia Forum. Zwycięzcą został Zion. Kolejne drugie i trzecie miejsca zdobyły Slavic Monsters i Eco-Sort.

We wtorek w ramach obchodów 35-lecia Solidarności Walczącej odbyły się prelekcje na temat m.in. doświadczeń opozycyjnych oraz druku prasy podziemnej.

Drugi dzień Forum Wizja Rozwoju zakończył się koncertem Eleni. Przez dwa dni II edycję Forum Wizja Rozwoju odwiedziło łącznie ok. 5 tys. osób.

Partnerami merytorycznymi Forum jest dziewięć ministerstw. Grono to powiększa przewodnicząca sejmowej komisji polityki senioralnej Małgorzata Zwiercan, poseł na Sejm RP. Mecenasem wydarzenia został PKN Orlen. Partnerzy strategiczni to Bank Gospodarstwa Krajowego, KGHM Polska Miedź SA oraz Grupa Lotos SA. Partnerami głównymi Forum są: Energa SA, Fundacja KGHM Polska Miedź i Totalizator Sportowy sp. z o.o., a Partnerem+ Bank PKO BP. Pozostali partnerzy to: Agencja Rozwoju Przemysłu SA, DGT sp. z o.o., Gas Storage Poland sp. z o.o., Jastrzębska Spółka Węglowa SA, PGNiG Obrót Detaliczny sp. z o.o., Polska Agencja Inwestycji i Handlu SA, Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości, Polski Fundusz Rozwoju, Polski Holding Nieruchomości SA, Pomorska Specjalna Strefa Ekonomiczna sp. z o.o., Zarząd Morskiego Portu Gdańsk SA i Zarząd Morskiego Portu Gdynia SA. Partnerami kolejowymi są PKP SA oraz Przewozy Regionalne sp. z o.o.



eprasa.pl 93ce4e52b2

Mi Electric Scooter Pro





Mi Electric Scooter Pro to hulajnoga elektryczna i – jak nazwa może sugerować – jest to produkt Xiaomi. Jak widać, chiński producent ma w ofercie nie tylko smartfony. Mi Electric Scooter Pro to ulepszona wersja hulajnogi z 2018 r. Jest wykonana z aluminium, ma większy ekran LED, jest w stanie poruszać się z prędkością do 25 km/h, waży 14,2 kg i pokonuje wzniesienia o kącie do 12 stopni. Pojazd można połączyć ze smartfonem poprzez aplikację. Jak zapewnia producent, hulajnogę można złożyć w 3 s, wystarczy obrócić i złożyć, aby bezproblemowo włożyć ją np. do bagażnika. Opony przednie i tylne mają 8,5 cala i są wykonane z mieszanki gumy o dobrej amortyzacji i zdolności adaptacji do drogi. Pojazd ma trzy tryby prędkości: tryb ECO, tryb standardowy (D) oraz tryb sportowy (S). Dzięki baterii litowej 18650, pojemności 474 Wh, wydajnemu zasilaniu i mocnemu przyspieszaniu hulajnoga może przejechać do 45 km na jednym ładowaniu. Aby wydłużyć żywotność baterii, skuter konwertuje i przechowuje energię kinetyczną odzyskiwaną podczas przyspieszania. Jest również wyposażony w układ hamowania odzyskowego dla zaoszczędzenia dodatkowej mocy. **premiera**

Plusy i minusy

+ Hulajnogi są w naszym kraju coraz bardziej popularne, propozycja Xiaomi wydaje się całkiem interesująca
– Jeśli już, to może cena: 2 199 zł. Choć raczej nie jest wygórowana

Razer Kraken X

Firma Razer zaprezentowała gamingowe słuchawki – Kraken X. Słuchawki zaprojektowano z myślą o zapewnianiu najwyższego komfortu przez cały dzień. Krakeny X charakteryzują się nową, przeprojektowaną konstrukcją, obniżającą ich wagę do zaledwie 250 g, co czyni z nich jedne z najlżejszych słuchawek gamingowych na rynku. Słuchawki Kraken X są wyposażone w dźwięk przestrzenny 7.1 – w przeciwieństwie do budżetowych headsetów konkurencji, cechujących się wyłącznie dźwiękiem stereo. Przełącznik wyciszenia mikrofonu i przyciski kontroli głośności umiejscowiono bezpośrednio na nauszniku. **cena: 59,99 euro**



Sony FE 200–600 mm F5,6–6,3 G OSS

Oferta, choć zapewne nietania, dla właścicieli aparatów fotograficznych Sony, lubiących fotografować dziką przyrodę. Firma Sony podała informacje o superteleobiektywie zmiennoogniskowym FE 200–600 mm F5,6–6,3 G OSS (SEL200600G). Jak wszystkie produkty z linii FE jest on przeznaczony do korpusów pełnoklatkowych. Nowy model z serii G Lens ma największą ogniskową ze wszystkich obiektywów zmiennoogniskowych Sony z mocowaniem typu E. Używając specjalnych telekonwerterów 1,4x i 2,0x, można zwiększyć ogniskową do 840 mm przy F9 lub 1200 mm przy F13 z zachowaniem odpowiedniej jakości obrazu i działania systemu AF. Obiektyw do małych i lekkich nie należy (długość: 318 mm, waga: 2115 g), ale akurat w tej kategorii obiektywów raczej to nie dziwi. Sprzedaż obiektywu FE 200–600 mm F5,6–6,3 G OSS w Europie rozpocznie się w sierpniu 2019 r. **zapowiedź**



Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 93ce4e52b2

Grupa Energa z nagrodą za proekologiczne rozwiązania

Podczas II Forum Wizja Rozwoju pomorski koncern Energa zdobył nagrodę w kategorii „Ekomobilność". To prestiżowe wyróżnienie odebrał kierujący Grupą Energa SA Grzegorz Ksepko. Nagrody gospodarcze przyznane zostały w tym roku siedmiu najbardziej innowacyjnym firmom działającym na polskim rynku

W dniach 24 i 25 czerwca br. Akademia Marynarki Wojennej w Gdyni gościła uczestników II edycji Forum Wizja Rozwoju. Forum to jest największym i najważniejszym wydarzeniem gospodarczym w północnej Polsce. W jego trakcie dyskutowano o najistotniejszych wyzwaniach stojących przed polską gospodarką. Honorowy patronat nad imprezą objął premier Mateusz Morawiecki. Szef rządu był też głównym prelegentem.

– Potrzebujemy wizji, by osiągnąć cele z pozoru nierealne do osiągnięcia w ciągu najbliższych lat – mówił premier Mateusz Morawiecki. – Potrzebujemy również rozwoju, ponieważ forum wymiany myśli i wizji, bez rozwoju i pokazania, że potrafimy kierować państwem, byłoby tylko pustymi słowami.

Rząd Mateusza Morawieckiego od dwóch lat realizuje ambitny plan szybkiego rozwoju polskiej gospodarki. Stawia na zaawansowane technologicznie i nowoczesne rozwiązania. Jednym z priorytetowych obszarów działań rządu jest energetyka.

– Nie chcemy uciekać od transformacji polskiej energetyki – podkreślał szef rządu. – Transformując polską energetykę, nie możemy abstrahować „od bilansu otwarcia", tego, że była ona oparta praktycznie wyłącznie na węglu. Polska energetyka podjęła już wiele wysiłku, by stać się bardziej czysta. Kładziemy nacisk na wielkie programy, na czyste powietrze, na energetykę prosumencką, na to, żeby Polska była krajem czystym, opartym na czystych źródłach energii.

Grupa Energa od trzech lat swoją proekologiczną strategią wpisuje się w rządowy plan dynamicznego rozwoju i unowocześniania Polski. I właśnie podczas Forum Wizja Rozwoju zostało to docenione – pomorski koncern energetyczny został wyróżniony prestiżową nagrodą w kategorii „Ekomobilność". Nagrodę odebrał p.o. prezesa zarządu Grzegorz Ksepko.

– Grupa Energa jest jednym z liderów elektromobilności w kraju. W program ten angażowaliśmy się od samego początku, gdy tylko idea ta zaistniała na polskim rynku energetycznym – powiedział prezes Grzegorz Ksepko. – Jesteśmy przekonani, że elektromobilność to przyszłość motoryzacji, a wzrost liczby aut elektrycznych przyczyni się w znaczny sposób do poprawy stanu środowiska naturalnego.

Dla grupy Energa, dla której odnawialne źródła energii stanowią ponad 30 proc. własnego miksu wytwórczego, taki kierunek jest naturalną kontynuacją działań zarządu grupy.



Program badawczy eMobility, od kilku lat wdrażany przez pomorski koncern, jest przedsięwzięciem pionierskim na polskim rynku.

– Jako pierwsi rozpoczęliśmy na taką skalę badania nad możliwościami spopularyzowania e-mobilności. Bardzo intensywnie pracujemy również nad modelami biznesowymi, które można by polskim użytkownikom zaproponować. Aby przekonać Polaków do pojazdów elektrycznych, niezbędna jest odpowiednio rozbudowana sieć ładowania. Pod tym względem Energa była jedną z pierwszych grup energetycznych, które intensywnie pracowały przy tworzeniu takich sieci – podkreślił prezes Grzegorz Ksepko. – Obecnie dążymy do tego, aby nasza infrastruktura sieci ładowarek samochodów elektrycznych w pełni zaspokajała rozwijający się w dynamicznym tempie rynek samochodów elektrycznych. Na tym polu współpracujemy m.in. z samorządami, sieciami handlowymi i z innymi spółkami Skarbu Państwa.

Grupa Energa to jedna z czterech największych krajowych spółek energetycznych i jeden z trzech największych dostawców energii elektrycznej w Polsce.

(kmz)

55/0191/F

eprasa.pl 93ce4e52b2



Globalna katastrofa to bajka. Politycy straszą, ale zawsze w ostatniej chwili jakoś się dogadują. Ale wraz z informacjami o zbliżającej się do Ziemi asteroidzie odżywają emocje. Bo to nie my zdecydujemy o tym, co się stanie. Obecnie, wśród specjalistów od przygotowań do sytuacji ekstremalnych, czyli preppersów, nie mówi się już o „końcu świata", lecz o „końcu świata, jaki znamy". I o tym, co będzie po nim

A jeśli trafi w nas asteroida?
PORADNIK PRZETRWANIA



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

O tym, jak to wygląda w praktyce, przekonała się właśnie Argentyna, która w wyniku awarii została pozbawiona elektryczności na jeden dzień. Preppersi z całego świata szykują się, nie bez pewnej lubości, na długotrwałą, powszechną katastrofę, która ma odmienić nasze życie w trudny do przewidzenia sposób. Scenariuszy jest wiele, elementem wspólnym jest brak prądu, wody i pożywienia, odcięcie od informacji i komunikacji. Zacznie się od uwięzienia tysięcy ludzi w wagonach metra i ciemnych windach. Stacje benzynowe nie będą lać paliwa. Nie skorzystamy z bankomatu, nie zapłacimy kartą. Staną lotniska, dworce i porty.

BATERIE

Ze sklepów i hurtowni znikną od razu agregaty prądotwórcze zasilane paliwami ciekłymi. Ropa będzie na wagę złota. Zaraz potem zabraknie baterii słonecznych i rozmaitych urządzeń prądotwórczych zasilanych siłą ludzkich mięśni, choćby rowerów wytwarzających prąd. Baterie wszystkich możliwych typów i kształtów będą najważniejsze w całym okresie destabilizacji.

Szybko zniknie problem braku światła albo możliwości naładowania smartfona. To pestka wobec konieczności wydojenia setek krów w wielkich gospodarstwach rolnych. W normalnych okolicznościach pracę tę wykonują elektryczne dojarki. Mleka nie będzie. I nie tylko mleka. Kurze farmy też przestaną dostarczać mięso.

W początkowej fazie katastrofy każdy stanie przed koniecznością podjęcia jakiejś akcji: najprawdopodobniej związanej z przemieszczaniem się. Dla jednych będzie to powrót z miejsca, w którym się znaleźli, do domu, dla innych ewakuacja z zagrożonego domostwa.

PLECAK

Osoba przygotowana będzie miała pod ręką specjalny plecak. O jego wyjątkowości zdecyduje to, co zostało do niego włożone jeszcze przed katastrofą. Niezbędnik na ok. 72 godziny, bo tyle ma trwać chaos po uderzeniu. Na ten czas potrzebna będzie woda oraz wysokoenergetyczne jedzenie, najlepiej w formie małych kalorycznych porcji. Użyteczne są wszelkiego rodzaju batony z pożywnymi orzechami, dużą ilością cukru, czekolady itp. Lina, nóż, latarka, krzesiwo, zapałki, mały śpiwór, apteczka, radio, tabletki do odkażania wody i filtr to podstawowy załadunek. Wszystkie te elementy są niewielkie i spokojnie zmieszczą się w plecaku o pojemności 25–30 l.

SAMOWYSTARCZALNOŚĆ

Po wydostaniu się ze strefy zagrożenia, przemieszczeniu i osadzeniu w bezpiecznym miejscu nastąpi faza druga, w której zasadniczą kwestią pozostanie samowystarczalność, z wszystkimi jej konsekwencjami. Będziemy musieli sami zadbać o bezpieczeństwo, pozyskanie jedzenia i wody, zimą o ogrzanie domostwa, o nabycie lub wytworzenie wielu

eprasa.pl 93ce4e52b2

podstawowych dóbr. Nie trzeba być Bearem Gryllsem, aby wpaść na to, że na tym etapie nie przetrwamy bez broni. Broń myśliwska, broń czarnoprochowa, wiatrówka, a nawet łuk sportowy czy kusza, wszystko to stanie się cenne. Szansę na przetrwanie zwiększą celność, szybkość, sprawność fizyczna.

Atutem będzie także odpowiednio przygotowany dom za miastem, najlepiej pod lasem ze studnią, piecem, stadem kur i innymi zwierzętami oraz polem uprawnym. Zgromadzenie dużej ilości paliwa, paszy, części zamiennych, racji żywnościowych to wyzwanie na lata poprzedzające katastrofę. Ci, którzy będą dysponowali takim zapleczem, przetrwają globalną zapaść. To wszystko pod warunkiem, że będzie słońce umożliwiające hodowlę i uprawę.

Trudniejsze będzie przeżycie chaosu w mieście. Na pewno przydadzą się: porządna siekiera, piec typu koza, który można zainstalować w każdym w zasadzie pomieszczeniu, butla gazowa, sejf, zapasy tłuszczu, cukru, mąki, ryżu, witamin, owoce w puszkach, leki, łatwe do przenoszenia zbiorniki na wodę, zapasy mydła, świece i lampa naftowa oraz nasiona roślin jadalnych. Idealnie byłoby mieć dynamo wytwarzające prąd poprzez np. pedałowanie. Przydatna może być sól, która w sytuacji bez lodówki może się stać jedynym sposobem konserwacji żywności. Jeżeli wcześniej zatroszczymy się o dużą ilość produktów na wymianę, będziemy zabezpieczeni. W przypadku „końca świata, jaki znamy" idealnie byłoby być posiadaczem ropy, źródła wody pitnej, antybiotyków lub amunicji. Jeżeli jednak nie mamy na to szans, to papierosy i spirytus, ale także pieprz, cukier, kawa, baterie, środki czystości są idealne jako produkt barterowy, który ułatwi przeżycie w mieście.

Fot. Shutterstock

RAZEM

Bezcenna pozostanie umiejętność współpracy. Organizowanie się w różnego typu sąsiedzkie grupy reagowania kryzysowego zwiększy szansę przeżycia. Zadaniem stanie się stworzenie sieci krewnych i przyjaciół wraz ze schematem niezależnej od prądu komunikacji i z planem dotarcia w przygotowane miejsce. Umiejętność zapanowania nad paniką, racjonalne myślenie, współpraca w grupie oraz elastyczność działania, tak aby móc poradzić sobie w każdej sytuacji, to cechy, bez których nie mamy co marzyć o przetrwaniu. Codziennością staną się niepokoje społeczne, zamieszki, grabieże.

BEZ INFORMACJI

Aby działały internet i telefonia komórkowa, musi istnieć zasilana energią elektryczną infrastruktura. Z pewnością już na początku upadku świata, jaki znamy, zaczną powstawać najprostsze sieci utrzymywane z agregatów, jednak równie szybko staniemy przed koniecznością komunikowania się i pozyskiwania informacji w inny sposób.

Radio na baterie będzie ostatecznie naszym głównym źródłem wiedzy o sytuacji na świecie. Prasa będzie miała małą siłę oddziaływania, padnie kolportaż, powrócą drukarnie znane ze stanu wojennego, których podstawą działania są siła ludzkich mięśni i zwykła farba. Krótkofalówki będą w cenie, a centrami gromadzącymi ludźmi staną się lokalne, płatne „stacje" nadawcze.

POWRÓT DO NATURY

Tym, którzy zamartwiają się blackoutem, czyli totalną utratą zasilania elektrycznego na skutek globalnej katastrofy i wszystkimi wynikłymi z tego konsekwencjami, warto przypomnieć, że jeszcze kilkadziesiąt lat temu świat nie był cyfrowy ani nawet analogowy. Był po prostu naturalny. Receptą jest więc powrót do naturalności. Jak taki postulat można zrealizować w świecie, który od naturalności odszedł bardzo daleko? Nie jest to łatwe, na pewno warto ograniczać idee typu „inteligentny dom", sterowany ze smartfonu, który nas nie wpuści ani nie wypuści, a z pewnością nie posłucha. Kłódka zamiast zamka na kartę, klucz zamiast cyfrowego kodu. Ważne staną się notesy z adresami, książki telefoniczne, informacje na papierze, a nawet sam papier i ołówki. Po zakończeniu kryzysu będziemy tym, co będziemy mogli wykazać na papierze. To samo dotyczy stanu posiadania.

W ramach powrotu do natury, który ocali nas przed skutkami globalnej katastrofy, jest rozwijanie zdolności funkcjonowania bez smartfona, GPS, umiejętność czytania mapy, łowienia ryb, jazdy konno, na rowerze, ale też wymiany dętki, otworzenia puszki nożem, szycia, tkania, posługiwania się siekierą, rozpalania ogniska, dbanie o rzeczy, niemarnowanie ich. Jeżeli wyobrazimy sobie, że moglibyśmy żyć tak, jak żyli ludzie przez 100 tys. lat do XIX w., to jesteśmy w stanie wyobrazić sobie, jak będzie wyglądało życie po armagedonie. Opanowanie sposobu życia chłopów sprzed wynalezienia prądu jest gwarantem przetrwania, przy założeniu, że nie nastąpi znaczące skażenie lub wspomniany „brak słońca".

HARTOWANI KOMUNIZMEM

Na jednej z amerykańskich stron znalazłem informację, że ze sklepów równie szybko co agregaty, broń i lekarstwa znikną ręczne maszynki do mielenia mięsa. Ta informacja rodem z amerykańskiego survivalowego półświatka uświadomiła mi ważną rzecz: nie będą mieć trudności z adaptacją do kryzysowych warunków po armagedonie ci, którzy przeżyli komunizm w Polsce. Warzywa w słoikach, przyblokowe ogródki, walka w kolejkach o racje żywnościowe, oszczędność, zapobiegliwość, nieufność, ale i solidarność, zdobyte nielegalnie ochłapy mięsa, które można skonsumować tylko po przepuszczeniu przez maszynkę do mielenia (oczywiście ręczną, bo nic elektrycznego człowiek nie miał), cerowanie i łatanie, używanie gazet zamiast papieru toaletowego to sytuacje, których żaden Amerykanin nie doświadczył, a które w komunizmie były normą. To, co Zachód postrzega jako funkcjonowanie w czasie apokalipsy, dla milionów Polaków było codziennością. Nam łatwiej będzie więc przeżyć uderzenie asteroidy. Jeżeli więc macie jeszcze w domu lśniącą srebrem metalową maszynkę na korbkę, nie wyrzucajcie jej, lecz strzeżcie jak oka w głowie.

eprasa.pl 93ce4e52b2



fot. kajto.pl/SnopkowskiArt (x2)

Z Kajetanem Kajetanowiczem, polskim kierowcą rajdowym, trzykrotnym rajdowym mistrzem Europy, czterokrotnym rajdowym mistrzem Polski, trzykrotnym zwycięzcą Rajdu Polski, rozmawia Maksymilian Wysocki

Mam najlepszą robotę na świecie

Może zacznijmy od kwestii podstawowych. Czy nadal sporo ludzi myli wyścigi z rajdami?

Kajetan Kajetanowicz: Coraz mniej ludzi myli rajdy z wyścigami, a gdy mylą, to się uśmiecham i cierpliwie poprawiam. Uważam jednak, że rajdy generują większą sympatię widzów i są także bardziej wymagające dla samych sportowców, bo jest w nich więcej zmiennych niż w wyścigach. Ale nie da się nie zauważyć, że w dzisiejszych czasach rajdy stają się bardziej wyścigowe. Wiedza o każdym zakręcie staje się bezcenna. W rajdach bardzo ważne staje się to, by jak najwięcej wiedzieć o danym zakręcie. Trzeba pokonywać go coraz szybciej. Podczas rajdu mamy do przejechania nawet 350 km tras. One stają się bardziej wyścigowe przez to, że szczegóły i podejmowane decyzje mają coraz większy wpływ na wyniki. Całość sprawia, że w rajdach – moim zdaniem – jest trudniej. Jest więcej zmiennych podczas rajdu: odcinki, nawierzchnia, pogoda, kwestie techniczne, opony. Do tego dochodzą konieczność posiadania przemyślanej strategii na dany rajd i współpraca kierowcy z pilotem. Idealny i rozumiejący się duet w rajdówce to bardzo ważny element w tym sporcie. Umiejętności, doświadczenie, odpowiednie przygotowanie do każdego startu, ale także szczęście, są potrzebne.

A jak oceniasz kondycję polskiego sportu motorowego?

Rozkwit przeżył w latach 90. i na początku XXI w., gdy sport motorowy w szerszym wymiarze mogły wspierać koncerny tytoniowe i alkoholowe. Później było trochę trudniej. Teraz mam wrażenie, że wracamy na właściwe tory. W Polsce zmienia się także podejście do marketingu sportowego, który często jest wartością dla danych firm, mających świadomość, że poprzez niego również można osiągać zakładane cele biznesowe. Oczywiście jest też duża konkurencja...

Jaką konkurencję masz na myśli?

Są bardziej „wygodne" sposoby spędzania wolnego czasu. Jestem pewien, że w dzisiejszych czasach większą uwagę musimy przykładać także do aktywności poza sportem, wymaga to dużego zaangażowania, żeby pozyskać kolejnego widza. Dzisiaj już sama dobra jazda i osiąganie tytułów nie wystarczą. Trzeba myśleć biznesowo, aby poprzez nasze aktywności sponsor mógł odnotować realne osiąganie zakładanych celów. Dzisiaj wszystko jest możliwe do zbadania, podsumowania, podliczenia.

Dziś chyba najbardziej deficytowymi towarami są czas i uwaga...

eprasa.pl 93ce4e52b2

Tak. Musimy zabiegać w większym stopniu o uwagę odbiorcy, bo on ma nie tylko więcej dyscyplin do wyboru, lecz – podobno to też jest sport – tak barwne przykłady zawodów, gdzie np. ludzie stoją naprzeciwko siebie i uderzają się po twarzy, każdy po jednym uderzeniu; wygrywa ten, kto wytrzyma dłużej. Nawet takie rzeczy w tej chwili są również konkurencją dla sportu. Ludzie lubią oglądać rzeczy ciekawe i widowiskowe. Ocenie widzów zostawiam to, co jest sportem naprawdę. Cieszę się, że motosport potrafi nadal pozyskać uwagę odbiorców. Ekwiwalenty reklamowe są ciągle w naszym przypadku bardzo wysokie.

Z roku na rok ten ekwiwalent uzyskiwany z poszczególnych mediów się zmienia, a uwaga widzów czy po prostu ludzi przekierowuje się na korzyść internetu i social mediów. Nie obawiasz się, że ludzie przestaną oglądać zmagania sportowców na rzecz śmiesznych filmików? Nie obawiasz się, że więcej czasu poświęcanego wcześniej na treningi trzeba dziś przeznaczać na autopromocję w mediach społecznościowych? Czy sportowcy biorą to pod uwagę?

Może nie tyle nie obawiam się tego, ile biorę takie zjawisko pod uwagę. Stale szukamy nowych sposobów dotarcia do odbiorców, budowania zasięgów, dopasowania się do aktualnych potrzeb, bo komunikacja się zmienia, świat się zmienia... Nowoczesne technologie i narzędzia, w tym social media, oczywiście wymagają ciągłego – także od nas – rozwijania się i bycia na czasie. Ale nie boję się, że te prawdziwe walki na arenach – bo tak, utożsamiamy się z gladiatorami, my, kierowcy z krwi i kości – stracą widownię. Wierzę, że tak się nie stanie.

Kontynuując wątek, jak oceniasz kondycję wyścigów, a jak oceniasz kondycję rajdów w Polsce i na świecie?

To jest ciekawe – i to chyba bardzo dobrze – promotor WRC opublikował wyniki badań i okazało się, że Polska jest na pierwszym miejscu pod względem oglądalności rajdów na świecie! Polska jest najlepszym rynkiem, jeśli chodzi o rajdy, a to także pozwala naszym partnerom na najlepszą ekspozycję w rajdach. I jest jednym z argumentów za tym, że warto inwestować w ten sport!

To widowisko, które dopiero dzięki dzisiejszym technologiom można w końcu odpowiednio pokazać.

Rajdy są trudne do pokazania i trudne do zrozumienia. Są stacje, które pokazują rajdy w zupełnie inny sposób. Ten wymiar dzięki dostępnej dzisiaj technice można pokazać inaczej na żywo, od środka samochodu! Kilka kamer na drogę, twarz, nogi, ręce... Można to śledzić z różnych ujęć na żywo i to jest niesamowite. To daje rajdom dziś zupełnie nowy wymiar uczestniczenia i powoduje, że cały czas są fascynujące, pełne emocji.

No i niebezpieczne...

To może trudne do zrozumienia, ale prawie każdy jeździ samochodem i każdy z nas wie, że szybka jazda autem dostarcza adrenaliny, a my możemy robić to zawodowo. Mam najlepszą pracę na świecie [śmiech]. Samochody też dają dziś nieprawdopodobne możliwości. Możesz lecieć w powietrzu 40 m i te zawieszenia są tak mocne, że wytrzymają zetknięcie z ziemią. To jest niesamowite. Oczywiście poczucie odpowiedzialności i wykorzystanie naszych umiejętności są bardzo ważne, wiadomo, że zadbanie o bezpieczeństwo jest ważnym elementem tego sportu. Każda dyscyplina w sporcie niesie ze sobą ryzyko.

Technologia się rozwija. A czy sporty motorowe też się rozwijają?

Tak, oczywiście. Podobnie wszystkie dyscypliny motorowe, bo widowiskowa jest każda z nich, choć są łatwiejsze i są trudniejsze do pokazania. Jeden z odcinków specjalnych Rajdu Argentyny, który stanowi rundę Rajdowych Mistrzostw Świata, oglądało na żywo ponad 100 tys. osób. Największe stadiony nie mają aż tylu miejsc dla kibiców. Rajdy mają nieprawdopodobny potencjał, zwłaszcza dzięki technice ich pokazywania.

Jesteś trzykrotnym rajdowym mistrzem Europy. Jakie to uczucie? Jak do tego doszedłeś?



Na początku dostałem szansę i starałem się ją wykorzystać. Gdy byłem dorastającym chłopakiem, nie miałem dobrych pomysłów na wypełnianie swojego czasu. Raczej były to pomysły, które nic dobrego nie wnosiły. Pasja do rajdów, która gdzieś we mnie się rozwijała, sprawiła, że w pewnym momencie poczułem, iż właśnie to jest to, co chcę robić. Wiele zawdzięczam także rodzicom. W pewnym momencie doceniłem to, co mam.

Początki?

Mój pierwszy start to start polskim Fiatem 126p. Dachowałem i wyleciałem przez dach samochodu, pół roku go potem odbudowywałem. Nie miałem wtedy sponsorów. Dzięki temu, że później dostałem szansę od partnerów biznesowych, potrafiłem bardziej to docenić. Ważniejsze czasem jest to, by spojrzeć za siebie i przypomnieć sobie, gdzie się było 5–10 lat temu. Tym bardziej doceniam dziś partnera, jakim jest Grupa Lotos. Ważne, aby docenić to, co jest teraz.

Typ zwycięzcy jest zawsze głodny?

Chcesz potem więcej, ale nie z zachłanności, tylko dlatego, że rajdy uzależniają. Ich otoczka jest fascynująca, ale najpiękniejszy moment to ten, gdy zapala się zielone światło na linii startu, oraz to, że rywalizujesz z najszybszymi na świecie. I – najważniejszy – to ten moment w świadomości, że naprawdę masz szansę z nimi wygrać. To jest piękne.

A nie ten moment, kiedy wygrywasz?

Gdy wygrywasz, to są inne emocje. Najtwardsi faceci wtedy płaczą i mogą płakać. Ale takie sytuacje mobilizują. Wraca się silniejszym na kolejny start.

A dlaczego często zwycięzcy w sporcie – twardzi faceci – płaczą?

Też się kiedyś zastanawiałem, jak to jest, że ci goście, którzy lecą 180 km/h między drzewami, mogą płakać po zwycięskim rajdzie... Aż doświadczyłem tego sam i wtedy to zrozumiałem. Ten proces przygotowań jest tak wymagający, tak długotrwały, tak wiele wtedy towarzyszy emocji, a potem presja i napięcie tylko wzrastają. Do tego dochodzi metafizyka samej przestrzeni samochodu. Zmęczenie. Adrenalina. To, co się dzieje w aucie rajdowym, jest trudne do przybliżenia, a tego, co przeżywa kierowca, nie da się opowiedzieć. Tego nie rozumieją nawet nasze rodziny. Na trasie jest nas trójka – samochód, pilot i kierowca – tworzymy jedność.

Rozumie to tylko was dwóch?

Gdy przyjeżdżamy na metę, zdarza się, że z moim pilotem Maćkiem zaczynamy się głośno śmiać, bo dociera do nas, że wróciliśmy z dalekiej podróży. Ekstremalnej. Zdarza się też, że patrzymy na siebie i często dociera do nas to, co przeżyliśmy na trasie. Gdy jest meta i do tego sukces, to ta euforia, te emocje są nie do opisania. Wtedy po prostu pękasz. A gdy masz powiedzieć, co czujesz, i zastanawiasz się nad tym, to łzy są wynikiem bezradności, że nikt tego nie jest w stanie zrozumieć. Tego, co ty przeżyłeś, ile ci dał cały zespół, jakie było zaangażowanie wielu ludzi. Bez zespołu, bez ludzi, którzy pracują na mój sukces, bez partnerów, sponsorów, bez ciężkiej pracy ich wszystkich tego sukcesu by nie było. Meta jest zwieńczeniem wszystkiego, co do niej doprowadziło. To są inne emocje. Piękne emocje. Ale chwilę później myślę już o kolejnym rajdzie. Ten sam moment ścigania się to jest jednak to, za czym najbardziej tęsknisz.

Jak Lotos wspiera sportowców? Jak wspiera ciebie?

Jestem zafascynowany sposobem wspierania przez Lotos sportowców i samego sportu. Uważam, że to ewenement na skalę Polski. Jak oni jako firma są widoczni, jak zaangażowani. To niesamowite. DNA tej firmy to motosport, ale są i skoki narciarskie, futbol... W zasadzie mają udział w wielu dziedzinach sportowych. Potrafią w nieprawdopodobny sposób zarządzać budżetem. To ludzie to robią, to po pierwsze – właściwi ludzie. Po drugie, umiejętne zarządzanie firmą – niesamowity rozwój, jaki możemy zaobserwować na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat, a także działania marketingowe zwracają uwagę.

Czyli jesteś zadowolony ze współpracy?

My współpracujemy od wielu lat i jestem dumny z tego, że tak wszystko dobrze przebiega. Razem z Lotosem osiągnąłem wszystko, co mam. Największe sukcesy, czyli cztery tytuły mistrza Polski, trzy tytuły rajdowego mistrza Europy. Teraz mam możliwość walczyć w Rajdowych Mistrzostwach Świata i tam już wygrywamy pierwsze odcinki specjalne. To są nasze wspólne sukcesy, moje i Lotosu, bo to są też ich decyzje. Staramy się jak najlepiej sprostać stawianym wymaganiom, dzięki temu każdy z nas może popatrzeć z dumą w lustro, bo współpraca przebiega z pasją i zaangażowaniem. Pracujemy na to ja i każdy członek zespołu.

Jak jest teraz? Co dalej? Miałeś poważne problemy w rajdach w Ameryce Łacińskiej, ale były wcześniej Korsyka i podium. Opowiedz więcej o ostatnich wydarzeniach.

Rajdy są sportem wspaniałym, ale częściowo nieprzewidywalnym. Czynnik ludzki odgrywa wielką rolę, ale czasem zawodzi po prostu część, którą dwa dni wcześniej wymieniłeś, i nagle całe przedsięwzięcie pryska jak bańka mydlana. Dzięki temu też doceniasz potem bardziej wygraną, ale przegrane z tego powodu są bardzo frustrujące. Bywa to bardzo niesprawiedliwe. W innych dyscyplinach wygrywasz mistrzostwo świata i zostajesz mistrzem na rok. Tu cały czas walczysz. A na koniec może pęknąć wahacz, który powinien więcej wytrzymać, i już po zawodach. Nasz sezon? Na razie bardzo dobrze. Rajd Korsyki – pierwsze podium. Rajd Argentyny – prowadziliśmy do awarii. Ale ja jestem i optymistą, i realistą, staram się nie rozgrzewać emocji w zespole, bo przed nami jeszcze większa część sezonu. Musimy nadal mieć sporo pokory i przygotować się jak najlepiej na następne rajdy. W połowie czerwca przed nami kolejny Rajd Sardynii. Trzymajcie kciuki. To kolejne wyzwanie. Będziemy pokonywać wyjątkowe kilometry na odcinkach, ale to jest coś, co kocham, i chyba mam naprawdę najlepszą robotę na świecie

eprasa.pl 93ce4e52b2



Sieć 5G jest bezpieczniejsza od 4G

Z prof. Rahimem Tafazollim, dyrektorem Instytutu ds. Systemów Komunikacji oraz dyrektorem Ośrodka Innowacji 5G Uniwersytetu w Surrey, rozmawia Maksymilian Wysocki

Czy sieć 5G jest tylko szybsza od sieci 4G?

Rahim Tafazolli: Nie tylko. W przeciwieństwie do poprzednich generacji systemów komórkowych sieć 5G ma dwa nowe aspekty działania. Pierwszy stanowi rozszerzona łączność komórkowa szerokopasmowa dająca zdolność obsługiwania jednoczesnego wielu użytkowników w tym samym miejscu. Drugi aspekt stanowi automatyzacja, która umożliwi łączność między czujnikami, robotami oraz innymi obiektami niebędącymi ludźmi.

Wdrożenie usług i sieci 5G będzie się odbywać etapami. Jakimi?

Faza pierwsza rozpocznie się w roku 2019 i będzie dotyczyć rozmieszczenia w centrach miast, gdzie występuje niedostatek przepustowości dla komórkowych połączeń szerokopasmowych. Standard dla tej fazy już został sfinalizowany. Wdrożenie na obszarach wiejskich będzie wymagało szczególnej uwagi ze strony rządu i regulatora, ale korzystanie przez 5G z szeregu różnych pasm radiowych to ułatwi. Dla zastosowań automatyzacyjnych ustanowienie i wdrożenie standardów zabierze kolejne cztery do pięciu lat.

Faza pierwsza będzie rewolucją czy ewolucją? Będzie to od razu przejście na 5G czy będzie wykorzystywać także wcześniejszą technologię 4G?

W fazie pierwszej poprawiona komórkowa komunikacja szerokopasmowa, nowe rozwiązanie radiowe dla 5G, będzie głównie wykorzystywać podstawową sieć 4G i uzupełni komunikację radiową 4G, tym samym redukując koszty kapitałowe. To w społeczności telefonii komórkowej jest nazywane nieautonomicznym działaniem (architekturą). Tak więc pierwsza faza będzie wykazywała wiele podobieństw do sieci 4G.

Czy w związku z tym w pierwszej fazie wdrażania sieci 5G zagrożeniem nie są raczej problemy, które dotyczą sieci 4G? Czy w takim razie pierwsza faza 5G jest większym wyzwaniem dla operatorów telekomunikacji?

Poprzez wszystkie generacje sieci telefonii komórkowej zawsze kładły nacisk na bezpieczeństwo i odporność sieci. Są one prawdopodobnie najbezpieczniejsze ze wszystkich naszych sieci telekomunikacyjnych. Poza działalnością na rzecz konsumentów indywidualnych wielu operatorów sieci komórkowych, takich jak Vodafone oraz EE (BT), O2 czy 3UK, ma kontrakty B2B z surowymi umowami dotyczącymi gwarantowanego poziomu usług odnośnie do odporności i niezawodności. Z tego powodu operatorzy budują własne firmowe rozwiązania w zakresie bezpieczeństwa działające obok standardowych rozwiązań. To jest jeden ze sposobów zróżnicowania usług miedzy operatorami sieci komórkowych.

Podsumowując, przez kolejne cztery do pięciu lat 5G będzie głównie zapewniać ulepszoną komunikację szerokopasmową, podobną do 4G, ale z większą przepustowością i lepszymi mechanizmami bezpieczeństwa. Czy „efektem ubocznym" technologii sieci 5G może być powstanie nowych operatorów telekomunikacyjnych?

Np. w Wielkiej Brytanii, gdy dostępne staną się aspekty automatyzacyjne standardów 5G, zapewne zobaczymy wiele nowych sieci poza czterema brytyjskimi operatorami sieci telefonii komórkowych. Pojawią się dedykowane sieci w obrębie zakładu produkcyjnego czy magazynu obsługiwane przez niszowych dostawców. To przyniesie kolejny stopień bezpieczeństwa – bezpieczeństwo przez rozdrobnienie – jako że różne sieci będą obsługiwać różne przypadki wykorzystania. Trudno wyobrazić sobie jedną sieć krajową obsługującą wszystkie różne branże obok oferowania szerokopasmowej komunikacji komórkowej.

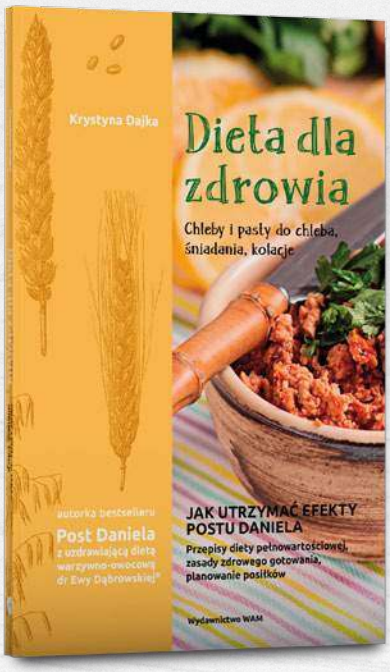
Czy dziś wiemy już wszystko o sieci 5G? Czy znamy wszystkie korzyści i ryzyka z nią związane?

Dopiero zaczynamy w pełni rozumieć przyszłość 5G, ale w przyszłości czeka nas jeszcze wiele prac badawczo-rozwojowych, jeśli mamy w pełni wykorzystać potencjał nowej technologii w sposób bezpieczny, szybki i dla dobra gospodarki, i ogólnie dla poprawy jakości życia.

Rahim Tafazolli jest profesorem ds. komunikacji komórkowej i satelitarnej na Uniwersytecie w Surrey, dyrektorem Instytutu ds. Systemów Komunikacji oraz dyrektorem Ośrodka Innowacji 5G

13/0619/F

eprasa.pl 93ce4e52b2



Zdrowo od rana do wieczora

Karolinie Szostak dzięki diecie dr Dąbrowskiej udało się schudnąć 30 kg, Katarzynie Cerekwickiej 12 kg. Wiele rozpoznawalnych osób, wśród nich np. Małgorzata Kożuchowska czy Borys Szyc, co jakiś czas decyduje się na oczyszczanie organizmu. Z powodu intensywności zajęć najczęściej korzystają z cateringowych zestawów, soków i zup. Tymczasem lato, nawet jeśli nie jest to czas urlopu, sprzyja spowolnieniu tempa, poświęceniu sobie większej uwagi.

Tym, którzy zadają sobie pytanie, co zrobić na śniadanie lub kolację, aby było zdrowo, a przygotowanie posiłku nie zajęło zbyt wiele czasu, spieszy z podpowiedzią Krystyna Dajka, dietetyk i praktyk, proponując niewielką, ale pełną inspiracji i praktycznych porad, książkę „Dieta dla zdrowia" (Wyd. WAM). Jest w niej wiele przepisów na własne chleby, także bezglutenowe. Na jaglanki, sałatki, surówki, salsy, guacamole i pesto, a także cały zestaw past (bynajmniej nie włoskich), które można wykorzystać na drugie śniadanie. A to, zabrane do pracy w pudełku, spokojnie zastąpi lekki lunch. Propozycje na kolacje sprawdzą się jako popołudniowy posiłek, by – jak radzi Krystyna Dajka – dać organizmowi więcej czasu na odpoczynek, także od procesu trawienia.

Jako praktyk autorka pomaga też czytelnikowi się zorganizować. Wyznacza w książce miejsce na zaplanowanie posiłków i zrobienie listy zakupów, dzięki czemu w sklepie do koszyka trafią tylko potrzebne produkty.

Ciekawie brzmią jej przepisy np. na roślinne masło jaglane czy masło sezamowe. Proponuje też samodzielnie przygotowane przyprawy: gomasio sezamowe (latem w proporcjach: sezam nieoczyszczony – 12, sól himalajska – 1) lub lniane (tu proporcje wynoszą: siemię lniane 12–15, sól – 1). Mieszanka zmielonych nasion: lnu, pestek słonecznika i migdałów (w proporcjach liczonych filiżankami, kolejno: 3:2:1) to, jak podkreśla autorka, bogate źródło białka, niezbędnych kwasów tłuszczowych, soli mineralnych i błonnika. Można nią posypywać dania z ryżu, makaronu, warzyw, ale też owoców. A gdy zamarzy się nam coś bardziej konkretnego, możemy zrobić pasztet.

Jolanta Gajda-Zadworna

** autorka „Postu Daniela z uzdrawiającą dietą warzywno-owocową dr Ewy Dąbrowskiej"*



Pasztet z soczewicy

Składniki: szklanka brązowej soczewicy, 2 marchewki, pietruszka, cebula, 2 ząbki czosnku, łyżka koncentratu pomidorowego, 2 jajka kurze lub 6 jajek przepiórczych, łyżeczka curry, ¼ łyżki oliwy z oliwek, sól.

Wykonanie: Soczewicę opłucz na sicie pod bieżącą wodą. Wrzuć do garnka z 2 szklankami wody i gotuj, aż zamieni się w miękką papkę, a następnie odsącz. Marchew i pietruszkę zetrzyj na tarce o dużych oczkach. Cebulę i czosnek drobno pokrój. Na oliwie podsmaż cebulę, czosnek i warzywa z przyprawami. Gdy warzywa zmiękną, połącz je z soczewicą, koncentratem pomidorowym i jajkami. Dokładnie wymieszaj. Masę przełóż do wyłożonej papierem do pieczenia podłużnej formy lub naczynia żaroodpornego. Rozgrzej piekarnik do 180°C i piecz 20–30 min. Wystudzony pasztet wyjmij z formy.

Praktyczne porady: Do zrobienia pasztetu nadaje się soczewica zielona i brązowa. Zamiast jajka możesz użyć 2 szklanek ugotowanego makaronu nitki.

Warto wiedzieć: Soczewica zawiera mało tłuszczu. Jest bogata w białko, błonnik, kwas foliowy, potas i miedź. Jako jedyna roślina strączkowa ma właściwości kwasotwórcze.

eprasa.pl 93ce4e52b2

SŁODKO-SŁONY

Pić się chce

ANNA MONICKA



Wystarczy kilka godzin w prawie 40-stopniowym upale, aby docenić szklankę wody. Ile dziennie trzeba ich wypić, żeby napoić organizm? Lekarze mówią, że ponad dziesięć, bo każdy powinien w siebie wlać przynajmniej dwa litry. Na szczęście niekoniecznie wody. Są lepsze domowe izotoniki. Na przykład zwykły kompot truskawkowy, byle tylko nie był słodzony, bo cukier w gorące dni szkodzi jeszcze bardziej niż zazwyczaj, a uczucie chłodzenia wywołuje inny smak – gorzki. Warto więc sięgnąć po zioła z lekkim posmakiem goryczki: napary z mięty, szałwii, melisy, lawendy, kolendry, bazylii. Na zimno i ciepło, te ostatnie lepiej gaszą pragnienie, bo pomagają ciału dostosować temperaturę do otoczenia.

Warto też wybierać najbardziej wodniste warzywa i owoce i zastępować nimi duże posiłki. Na przykład arbuz z fetą na obiad. Brzmi świetnie i jeszcze lepiej smakuje. Nawadnia i syci, uzupełnia poziom wypoconych pierwiastków: sodu, potasu i magnezu, wapnia, a nie obciąża żołądka i nie zmusza go do mozolnego trawienia w upale. Wybierzcie tylko twardy prawdziwy bałkański ser, nie zaś mażącą się fetę, tzw. sałatkową. Składniki kroimy w kostkę, posypujemy zmielonymi orzechami pistacjowymi lub prażonymi migdałami, na wierzch parę listków mięty i jedzenie na upały gotowe. Podajemy do tego dania podpieczoną bagietkę.

Kolejny hit to ananas z mango – drobno pokrojone i doprawione sosem z limonki, miodu, odrobiny chili i mnóstwa posiekanej kolendry. To znane z tajskiej kuchni ziółko ma wybitnie chłodzące właściwości, a oba owoce nawadniają i karmią. Oba też pasują do mięs, zwłaszcza grillowanych kurczaków, indyków, krewetek czy ryb. Czerwonego mięsa najlepiej w upały nie jeść.

Ogórki – mają aż 96 proc. wody. Mizeria z ziemniakami z koperkiem to najbardziej odżywczy swojski obiad, choć dla wielu osób niepełny bez schabowego lub mielonego. Ogórki tarte z jogurtem, doprawione solidnie cytryną, oliwą i dobrą solą, bogatą w mikroelementy, także postawią na nogi, gdy z nieba leje się żar. Warto je posypać bazylią lub miętą – efekt chłodzenia murowany. Polecam też wodę ogórkową – mieszamy ją z mineralną niegazowaną, wlewamy do słoja z kranikiem, doprawiamy limonką, szczyptą soli himalajskiej, wsypujemy świeże liście mięty, melisy, bazylii i kilka kostek lodu. Popijamy miksturę przez cały dzień małymi porcjami, wtedy nawadnia najlepiej.

WILCZYM OKIEM



Lody jak zdechły wieloryb

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Gdy na dno abysalnych głębi oceanu opada ciało zdechłego wieloryba, w kompletnych ciemnościach, pod naporem potężnego ciśnienia staje się ono na kolejne lata ogniskiem niezwykłej bioróżnorodności. Wielotonowe cielsko przyciąga nie wiadomo skąd osobliwe łódkonogi, nieznane nauce kikutnice, głębinowe chimery, zagadkowe małże, kraby, rozgwiazdy i krewetki, z których jedne chcą się pożywić, a inne z kolei polują na padlinożerców. Ciemna pusta głębia naraz ożywa, tworząc jeden z przyrodniczych fenomenów.

Opisany mechanizm działa dokładnie tak samo w świecie przyrody, jak i u ludzi, pokazując, jak dalece jesteśmy jej częścią. Socjologia i ekonomia znajdują punkt wspólny z ekologią rozumianą w ujęciu tradycyjnym – nauką badającą zależności między organizmami i ich środowiskiem życia.

Od dłuższego czasu na pewnym modernistycznym placu w Krakowie, porosłym przykurzoną zielenią, obserwuję ciekawe zjawisko. Przez całe dziesięciolecia odwiedzany był raczej tylko przez pana karmiącego gołębie, miejscowe psy, czasem (przypadkowo) przez dziecko z hulajnogą. Chociaż wbrew ostatniej modzie nie wycięto na nim drzew, a trawników nie wyłożono kostką, przyciągał jedynie znudzone spojrzenia ludzi stojących w korku na ulicy przebiegającej wzdłuż jego boku. Kilka lat temu na placu pojawiła się budka z lodami – dobrymi i niedrogimi. Pustka placu nagle się zapełniła. Codziennie, niezależnie od pory roku i pogody, do budki z lodami ustawiają się kolejki mieszkańców, których dotąd jakby nie było: matki z oseskami, studenci, emeryci, pracownicy okolicznych biur, dzieci itd.

Chociaż w kolejce trzeba czekać niekiedy ponad 20 minut, nikogo to nie zniechęca, wręcz przeciwnie. Parkowe ławki i ustawione specjalnie leżaki zawsze są zajęte. A wokół placu nagle pojawiły się kolejne: kawiarnie, pierogarnie, pizzerie; wszystkie pełne ludzi przyciągniętych przez budkę z lodami. Gdy obserwuję ten rozkwit życia, myślę o zdechłym w pustkowiu wielorybie oraz kikutnicach, strzykwach, szkarłupniach, wężowidłach, sikwiakach, brzuchonogach...

Wystarczy jeden element ogniskujący i z pustki powstaje życie.

Fot. Shutterstock x2

eprasa.pl 93ce4e52b2

D... a sprawa wolności



Zwiastun „Piłsudskiego" zaczyna się od słów „ten kraj". Zwiastun „Legionów" zaczyna się od słowa „Polska". I kolejne, jeszcze zabawniejsze porównanie. „Polacy niepodległość mają w dupie" – mówi z pasją tytułowy bohater w zwiastunie filmu „Piłsudski". Natomiast w zwiastunie „Legionów" nasz bohater, por. Stanisław „Król" Kaszubski, mówi do chłopaków, których poprowadzi na wojnę, „Byliśmy niewolnikami trzech cesarzy. Ale my mamy w dupie cesarzy. Jesteśmy wolnymi ludźmi"

Od razu przepraszam za ten tytuł, sam się przed sobą trochę wstydzę. Ale nie da się uniknąć tego staropolskiego słowa, skoro pada z ekranu w dwóch nowych zwiastunach dwóch zapowiadanych na jesień polskich filmów.

Byłby kłopot, gdybym zachwalał film „Legiony", udając, że nic mnie z tym filmem nie łączy. Ale nie udaję, z dumą przyznaję, że jestem jego producentem i współscenarzystą. I wychodzę z założenia, że jawność rozbraja dwuznaczności i czytelnikowi/widzowi pozostaje ocena, czy dobrze gadam, czy nie.

Kinowa premiera „Legionów" już 20 września, kilka dni temu wrzuciliśmy do sieci pierwszy zwiastun filmu i z radością widzimy reakcje nań. Pewnej krytyce poddawany jest tylko pomysł oprawy muzycznej, by do zwiastuna użyć utworów zagranicznych artystów: młodej angielskiej gwiazdy Birdy i rockowej kapeli Welshly Arms panów z Ohio. Nie, nie zrobiliśmy tego z powodu kompleksów, wręcz przeciwnie, nie mamy ich wcale. Film tworzą polscy artyści, także muzykę. Ale uznaliśmy, że przy tej akurat arcypolskiej tematyce kontekst międzynarodowych hitów w zwiastunie rozszerza perspektywę, bo nasza opowieść jest arcypolska, ale też arcyuniwersalna, zrozumiała wszędzie i dla każdego.

Zwiastun „Legionów" natychmiast skrytykowała Agora (gazeta.pl), która jest dystrybutorem (jej spółka Next Film) filmu „Piłsudski", który – trzeba trafu – wchodzi do kin tuż przed „Legionami". Producent filmu „Piłsudski" i Agora od dawna planowali premierę w listopadzie, ale nagle zmienili plany i chcą, by dwa filmy opowiadające o podobnym okresie historycznym i w znacznej mierze zrealizowane za publiczne środki, dokładnie w tym samym okresie z sobą w kinach rywalizowały. Cóż, Legiony i „Legiony" mają za sobą poważniejsze przeszkody. Przejdą.

Piszę o „podobnym" okresie, bo – wedle zapowiedzi – biograficzny film „Piłsudski" opowiada o latach 1900–1914, kiedy Józef Piłsudski był socjalistą i bojowcem PPS, pod czerwonym sztandarem rzucał bomby, napadał na banki i pociągi. Tymczasem akcja filmu „Legiony" rozpoczyna się w sierpniu 1914 r., gdy wybucha wielka wojna, bohaterami są młodzi ludzie, którzy poszli o Polskę walczyć, zarówno strzelcy (związani z PPS), jak i drużyniacy (Drużyny Strzeleckie związane z Narodową Demokracją), a brygadier Piłsudski z tramwaju Socjalizm wysiadł już na przystanku Niepodległość. Zatem historycznie filmy raczej się uzupełniają. A też – sądząc po obu zwiastunach – są zupełnie inne.

Jakoś tak się zrządzeniem losu zdarza, że mamy proste płaszczyzny ich porównania. Zwiastun „Piłsudskiego" zaczyna się od słów „ten kraj". Zwiastun „Legionów" zaczyna się od słowa „Polska". I kolejne, jeszcze zabawniejsze porównanie. „Polacy niepodległość mają w dupie" – mówi z pasją tytułowy bohater w zwiastunie filmu „Piłsudski". Natomiast w zwiastunie „Legionów" (wprowadzonym do sieci tydzień później, ale – słowo daję – zrealizowanym trzy tygodnie wcześniej), także pada to barwne, staropolskie słowo i także w kontekście niepodległości. Tyle że dokładnie odwrotnym. Nasz bohater, por. Stanisław „Król" Kaszubski, mówi do chłopaków, których poprowadzi na wojnę, „Byliśmy niewolnikami trzech cesarzy. Ale my mamy w dupie cesarzy. Jesteśmy wolnymi ludźmi".

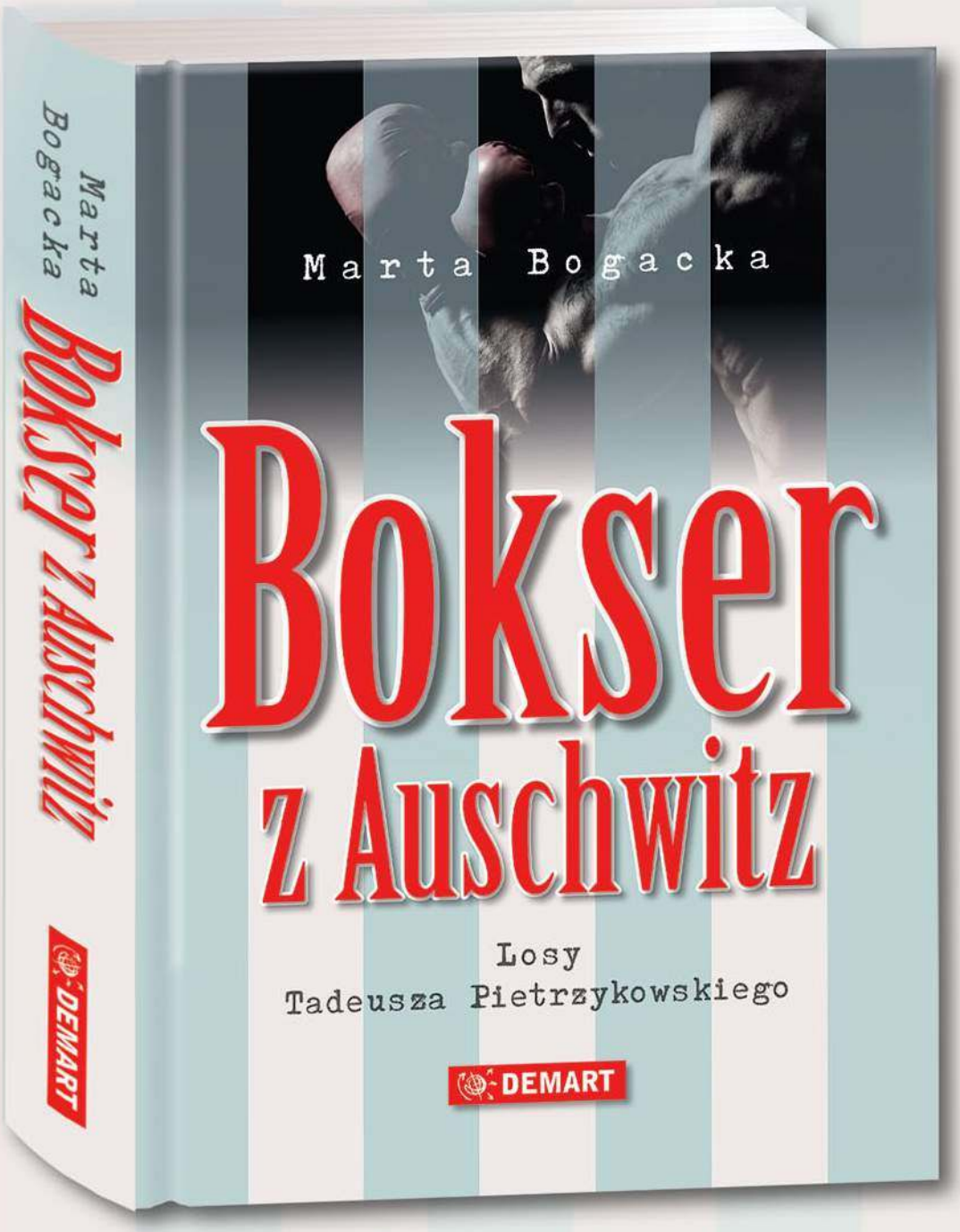
Różnica polega więc na tym, czy Polacy mają w dupie wolność, czy też mają w dupie zniewolenie i chcą być wolni. Są i tacy, i tacy, co – jak sądzę – oba filmy pokażą. Pytanie, w jakim klimacie, z jakim przesłaniem i jaką w Polaków wiarą. Będzie się działo.

Maciej Pawlicki

50/0619/F

eprasa.pl 93ce4e52b2

Bił Niemców jak chciał...



...historia więźnia 77

Książka dostępna w księgarniach oraz na www.demart.com.pl

DEMART

eprasa.pl 93ce4e52b2

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Platforma – lewica marksistowska



Wobec nasilającej się ofensywy marksizmu kulturowego: ideologii gender, ruchów LGBT, programów seksualizacji dzieci i młodzieży, społeczeństwo ma prawo oczekiwać od państwa pomocy w powstrzymaniu tej groźnej w skutkach rewolucji kulturowej. W istocie bowiem skoncentrowana na niewielkich jeszcze grupkach zwolenników, ale dysponująca już poważnym międzynarodowym wsparciem, jest ona wymierzona w unitarne, tradycjonalistyczne państwo narodowe. Celem tej rewolucji, jak zresztą wszystkich wcześniejszych czerpiących wzorce z marksistowskiej ideologii, jest zdestabilizowanie państwa, zniszczenie religii katolickiej, zantagonizowanie społeczeństwa, a następnie przejęcie władzy przez rewolucyjny aktyw. I te działania, pod kątem przestrzegania prawa, winno pilnie monitorować państwo i jego służby.

W Polsce rewolucja seksualna, tak ją będę nazywał, jako trzecia w naszej współczesnej historii, po rewolucji klasowej i rasowej, ma też do spełnienia bieżące zadania wpisujące się w szeroki program osłabienia i obalenia rządu PiS. „Czekam, aż wszystkie te stare k...y głosujące na PiS wymrą i w końcu władza trafi w normalne ręce" – zapowiada uczestnik marszu LGBT w Warszawie. „Normalne ręce", czyli w domyśle ich, nowych bolszewików. Dlatego państwo polskie powinno jeszcze bardziej zacieśniać więzi ze społeczeństwem, normalną pokojową większością zainteresowaną utrzymaniem zdrowej, silnej polskiej rodziny na fundamentach cywilizacji łacińsko-chrześcijańskiej.

Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać. Władzę w samorządach dużych miast sprawuje liberalna lewicowa opozycja niezainteresowana silnym państwem. W słabym państwie szuka dla siebie więcej władzy i pieniądza. Ta tendencja ma już swoje organizacyjne ramy. Ruch samorządowców zainteresowanych większą władzą, kosztem władzy centralnej, rozpoczął się w Gdańsku 4 czerwca tego roku od deklaracji 21 tez. Gdyby wszystkie zostały zrealizowane, państwo nie byłoby już do niczego potrzebne. I taki jest cel głównych sił w Unii Europejskiej – regionalizacja w miejsce zanikającego państwa narodowego.

Władza samorządowa wspierana przez część zbuntowanej „trzeciej władzy" jest dziś w stanie zablokować decyzje wojewody, czyli przedstawiciela państwa w województwie. Tak było w Rzeszowie, gdzie wbrew opinii wojewody, za zgodą Sądu Okręgowego w Rzeszowie, odbył się drugi już marsz środowisk LGBT, z udziałem tego samego aktywu zawodowych czekistów, ludzi opłacanych i dowożonych przez bogate w pieniądze szemrane organizacje. Proletariat środowisk homoseksualnych, lesbijskich, transwestyckich itd., maszerował pod hasłem (uwaga – złodzieje) „Ręce precz od naszych dzieci". Rewolucyjny zakłamany etos zawsze podkreśla potrzebę równości, tolerancji, walki z dyskryminacją, wykluczeniem, ksenofobią i powszechną miłość. Oczywiście zawsze ma być „kolorowo, wesoło i tęczowo".

Wszystkie te ostatnie marsze (Warszawa, Gdańsk, Olsztyn, Rzeszów, Poznań) zostały opisane w mediach wolnych od politycznej poprawności jako zbiorowiska ludzi obscenicznych, wyuzdanych, wulgarnych, pozbawionych elementarnej kultury, pełnych nienawiści i pogardy do ludzi wierzących, szczególnie katolików oraz Kościoła katolickiego w Polsce.

Tymczasem na Zachodzie bardziej niż „równość" eksponowana jest „duma" z bycia homoseksualistą. Stąd „marsze dumy" i „miesiące dumy LGBT", np. w USA. Następcy Billa Clintona, w tym Donald Trump, kontynuują tę dziwną świecką tradycję, dlatego takie jest zaangażowanie po stronie LGBT zachodnich ambasad w Polsce i ich udział w marszach równości. Usprawiedliwiając to zachowanie, szef MSZ Jacek Czaputowicz zastrzegł – szkoda, że tak delikatnie: „Pewien system wartości u nas jest bardziej taki podstawowy, tradycyjny, konserwatywny, trzeba to też cenić".

Czy druga strona jest w stanie cenić nasz system wartości? Można w to wątpić, obserwując zaangażowanie po stronie LGBT nie tylko zagranicznych ambasad, ale dużych firm w Polsce. Przedstawiciele takich koncernów jak Google, IBM, Levi's, Johnson & Johnson, Microsoft maszerowali wspólnie z polskimi bolszewikami kulturowymi chcącymi zdobyć władzę i rządzić po swojemu.

W promocję LGBT w Polsce zaangażował się także szwedzki koncern IKEA. Jego ofiarą stał się pracownik firmy pan Tomasz. Otóż cytował fragmenty Biblii potępiające homoseksualizm i tylko za to został zwolniony z pracy. Tak jak parę lat temu angielska stewardesa za noszenie krzyżyka na szyi. Zwalniając pana Tomasza, koncern świadomie naruszył kilka artykułów międzynarodowych konwencji, w tym zakaz dyskryminacji ze względu na wyznanie. Sprawę poprowadzi w sądzie Instytut na rzecz Kultury Prawnej Ordo Juris. Jakie wnioski dla wyborców? Najtrafniej ujął je prof. Mieczysław Ryba: „Przez wsparcie dla ruchu LGBT wizerunkowo Platforma staje się skrajną lewicą marksistowską".

eprasa.pl 93ce4e52b2

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Polskę trzeba szanować!



Witold Gadowski

Kiedy polskie państwo okazuje się słabsze od innych, normalny obywatel jest zasmucony, czuje się, jakby ktoś dał mu w gębę. Najgorszym jednak stanem jest popadnięcie w rutynę upokorzeń, wtedy Polak zaczyna się czuć podobnie jak tzw. członek wyższych sfer Warsiawki.

Celebrysie, aktorzy, profesorostwo mniemane – to wszystko od dawna tak nienawidzi Polski, że niejako z definicji uważa, że „polskość" to powód do wstydu, synonim zacofania. Warsiawskie celebrysie zostały już do tego stopnia wytresowane, że każde upokorzenie Polski odczuwają jako swoisty powód do rozkoszy. Jest to szczególna przyjemność, którą różne jednostki czerpią np. z okładania batogiem ich własnego odwłoku lub lania w mordę ze strony „tych, co wiedzą lepiej". Często nienawiść do Polski wypływa po prostu ze znużenia wykonywaniem zawodu „Polaka". Kazali, robię, ale żebym się cieszył, to już zbyt wiele. Ten stan w niektórych rodzinach trwa już od trzech pokoleń. Stalin nawiózł, nazwiska ponadawał i tak się obrabia ten ugór parszywy.

Jednak poza członkami tej masochistycznej kliki normalny obywatel naszego kraju osobiście przeżywa klęski i poniżenia, jakich Polska doznaje za granicą. Ostatnio Belgia udzieliła schronienia prześladowanej dziewicy ze Wschodu Ludmile Kozłowskiej, którą prześladuje „polski reżim". Skoro Belgia udzieliła jej zezwolenia na pobyt, to automatycznie może już sobie buszować po całej Europie, a kto wie, czy nie będą chcieli zmusić nas, abyśmy ponownie ją przyjęli. Pytanie, które rodzi się w normalnej głowie: jeżeli polskie władze na podstawie informacji służb specjalnych złożyły zastrzeżenie wobec tej krasawicy w europejskim systemie SIS, a władze Belgii lekce to sobie ważą, to albo ktoś w polskim państwie sfuszerował robotę, albo też politycy z Brukseli mają nas za nic. W tym drugim przypadku polski premier powinien przemyśleć: czy rzeczywiście jesteśmy aż tak bezsilni, że byle Belg może nam grać na nosie?! Czy nie należy wreszcie raz, a porządnie przywalić, tak aby potem inne szuje miały mores i nauczkę?!

Jeżeli każdy może nam dowolnie przywalić, to w głowie każdego normalnego Polaka rodzi się poczucie cholernej niemocy, którą należy przezwyciężyć za wszelką cenę. Polskę trzeba szanować i musi się o tym przekonać każdy europejski kmiot i każda bolszewicka sierota obrzygana.

Koń, jaki jest, każdy widzi



Lech Makowiecki

Ta sarmacka sentencja zaczerpnięta z „Nowych Aten" (czyli XVIII-wiecznej Wikipedii) ks. Benedykta Chmielowskiego oznaczała oczywistą oczywistość. Do fanów ideologii gender takie najprostsze postrzeganie świata (patrzę-widzę-kojarzę) nie dociera. Bo jak można, oglądając obsceniczne tęczowe parady równości, nie mieć poczucia uczestniczenia w czymś obciachowym? Rozneglizowani faceci w jaskrawych makijażach, wyuzdani, hałaśliwi i zaczepni – mizdrzą się infantylnie do siebie i świata. Wyzwolone (z kobiecości?) agresywne feministki wymachują transparentami pełnymi wulgarnych haseł i grafik obrażających zwykłych ludzi. Jawnie prowokacyjna procesja „waginalnego" ciała, depcząca uczucia chrześcijańskiej większości Polaków, jest i śmieszna, i straszna zarazem. Samozwańczy „biskup" w towarzystwie „ministranta" z durszlakiem na głowie publicznie profanuje mszę św.! Obrazki Matki Boskiej Częstochowskiej (o rysach Conchity Wurst w tęczowej aureoli) przyozdabiają miejskie toalety. Facet z upudrowaną na centymetr twarzą i biustonoszem na głowie udziela (z pełną powagą!) telewizyjnego wywiadu. Między nimi (sądzę, że tak dla hecy?) kręcą się młodzi „nowocześni", normalni zdawałoby się ludzie. I znacznie od nich starsi politycy totalnej opozycji, szukający na ulicy „tęczowego" elektoratu. Niektórzy wyraźnie zagubieni, jakby sami się dziwili: „I co ja robię tu?". Dziewczynka, która nie potrafi ukryć uśmiechu na widok „cudnej" Rafalali, zostaje przez nią (niego?) brutalnie zaatakowana. Publiczna obscena mierzi nawet przyzwoitych gejów starszej daty (takich zwyczajnych nienachalnych), którzy z zażenowaniem odwracają oczy. Wszak słowo „paw" ma wiele znaczeń...

Pytanie, jak wypatrzeć wśród tylu „cudaków" odpowiedzialną za przyszłość narodu awangardę, pozostawiam okulistom i psychiatrom. Pewną wskazówkę zostawił nam wspomniany na wstępie proboszcz Chmielowski: „Smoka pokonać trudno... Ale starać się trzeba!".

eprasa.pl 93ce4e52b2

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

24 razy nienawiść



Aleksander Nalaskowski

Mówienie o tym, że Polska jest po brzegi wypełniona nienawiścią, jest tak samo odkrywcze jak to, że mamy upalny czerwiec. To „oczywista oczywistość". Nienawiść ma swoich wytwórców – to nieobliczalni durnie, Belzebuby wcielone, którym zło jest potrzebne do życia jak powietrze. Nienawiść jednak jest jak zaraza. Można ją rozsiewać i zarażać zdrowych. Niekiedy wystarczy nienawiścią kichnąć, ale znacznie pewniej i skuteczniej jest ją systematycznie wstrzykiwać. A najlepiej dokonywać tej iniekcji, przekonując jednocześnie, że to życiodajne witaminy. I w ten sposób setki tysięcy moich rodaków wystawia codziennie pupska pod strzykawki TVN czy „Gazety Wyborczej". W przerwach wystawia pupska do uczestników parad Biedroniowych. Nienawiść doczekała się nawet własnego dialektu. Jej gramatykę stanowią: hejt, trollowanie, fake news, a słownictwo to faszyzm, polexit, bolszewizm, szarańcza, chamy i prostaki, katole. Autorami praktycznego słownika nienawiści są popularni aktorzy, dziennikarze, politycy, niegdysiejsi ubecy, feministki, zagorzali pederaści i inni odsunięci od koryta beneficjenci III RP, w której Jaruzelski był „człowiekiem honoru", Krzywonos ważniejsza niż Walentynowicz, a Saramonowicz uchodził za inteligentnego. Nienawiść jest silniejsza od sławy, godności i resztek jakiegokolwiek honoru. Wręcz laboratoryjnie ilustruje to przykład Wałęsy. Jest też nienawiść świadomym (a może nieświadomym?) usunięciem hamulców z wyścigowego auta. To znaczy usunięciem wszelkich skrupułów i przyzwoleniem na rozkołysanie głupoty, deficytów wstydu i pielęgnację standardów głupoty tej odwiecznej matki nienawiści. Bo gdybym miał się łapać za głowę z powodu głębi sądów Kierwińskiego, Mieszkowskiego, Wielgus, Lisa, Rabieja, Grabca czy Bodnara, toby mi już dawno ręce do głowy przyrosły. Nienawiść jest mądrzejsza niż wszelkie tytuły. Widać to nade wszystko w życiu akademickim zdominowanym przez sądy i poglądy, a także postawy kompletnie przeciwne standardom akademickim. Wystarczy przypomnieć J. Hartmanna, M. Środę, M. Płatek, I. Krzemińskiego, B. Engelking czy A. Rzeplińskiego. Potykając się o kłamstwo i banał, brną dalej do samego jądra nienawiści. Szczególnym przypadkiem jest tutaj J.T. Gross. On nie tylko nienawidzi, ale także wygląda jak nienawiść.

Nienawiść jest wystarczającym powodem, aby ubiegać się o status gwiazdy lub celebryty. Wystarczy mocno nienawidzić, aby zrobić karierę. To przykład Jażdżewskiego, którego próbuje się windować do roli mędrca. Nienawiść bowiem jest w stanie zastąpić wiedzę, kompetencje, zasługi, dorobek. Nie trzeba kręcić wielu filmów, jak Zanussi czy Kieślowski. Wystarczy nakręcić dwa lub trzy jak Smarzowski czy Vega, aby wspiąć się na mainstreamowy parnas, wedrzeć się do mediów, pouczać, grozić palcem czy łajać. Nie trzeba mieć subtelności reporterskiej i koronkowej narracji Kąkolewskiego (skądinąd ucznia Wańkowicza), aby wyjaśniać rzeczywistość. Wystarczy wymachiwanie pałą, aby lud usłyszał o Sekielskim czy Kąckim. Finezja reporterska tych ostatnich ma się tak do sztuki dziennikarskiej, jak disco polo do Chopina. Ale nienawiść kocha takie umysłowe prostactwo. To jedna z jej twarzy. Tak jak żałosny poziom intelektualny R. Petru.

Nienawiść jest wystarczającym powodem, aby ubiegać się o status gwiazdy lub celebryty

Nienawiść ma swoje wypróbowane matryce. Wystarczy z nich korzystać i w ciągu pół roku można się wspiąć na sam szczyt kariery. Trzeba tylko szczerze znienawidzić Kościół, a zwłaszcza duchownych, i Jana Pawła II, albo homofonów, czyli wszystkich, którzy na hasło „pederasta" nie wybuchają entuzjazmem. Można nienawidzić rodzinnych tradycjonalistów i dzieciorobów uprzykrzających Młynarskiej nadmorski wypoczynek, wszystkich rozbawionych „santo subito" dla P. Adamowicza. Trzeba nienawidzić Kaczora i nawet nie trzeba wiedzieć za co. Wystarczy tylko, aby nie trafić na pisiora i będzie OK. Najbezpieczniej jednak i najskuteczniej jest nienawidzić „ojca dyrektora", czyli ks. Rydzyka. Jego bowiem na pewno nikt bronić (przynajmniej otwarcie) nie będzie. Nie robi tego episkopat, nie robi tego nasza prawica, nie robi tego katolicka inteligencja (nie mylić z KiK!). Można o nim mówić i pisać per Rydzyk albo nawet Rydzol, można pod jego radiem paradować z waginą na kiju (tu uwaga: premiera tej słynnej procesji z dokładnie tymi samymi atrybutami i scenariuszem miała miejsce w Toruniu rok przed eventem gdańskim), można wyzywać go od złodziei, dowolnie przeinaczać jego słowa (przecież nikt nie będzie sprawdzał, jak było naprawdę), można go lżyć i zeń szydzić, bo już dawno został wyjęty spod prawa. Bo to nie tylko klecha, bogacz, ale i antysemita, politykier i złodziej. Skucie kajdankami zespolonymi zwyrodnialca to lincz, ale wieloletnie okładanie redemptorysty i jego dzieł czym się da to wciąż dozwolona w ramach wolności słowa krytyka. Nienawiść zamiast chleba, kawy, roweru, powietrza, wody, ubrania, kolacji, sztuki, nienawiść zamiast mózgu. Tego słowa użyłem tu aż 24 razy...

Autopromocja

eprasa.pl 93ce4e52b2

PRZEZ ŚWIETLIK

Wybieram Tysona

Do Władimira Putina, Fransa Timmermansa, szefa izraelskiej dyplomacji i innych zapiekłych wrogów Polski dołączył bokser Mike Tyson.

Tak przynajmniej wynika z czołówek bardzo poważnych mediów, które przekazały, że Tyson stwierdził, iż w powstaniu warszawskim „Polakom g... się stało". Z Tysona – tak jak wielu innych znanych bokserów – często się śmieją, że słabo sobie radzi z operacjami wymagającymi używania mózgu. Dużo gorzej jednak najwyraźniej radzą sobie z nimi ci, którzy relacjonowali wspomnianą wypowiedź, i to przy najlepszej dla nich interpretacji, bo przecież lepiej być chyba półanalfabetą niż kłamcą.

Co tak naprawdę powiedział Tyson i co wynikało z jego wypowiedzi? To, że ma prawo wypowiadać się o losie Polaków podczas powstania, bo jest potomkiem ludzi, którzy byli jego zdaniem prześladowani o wiele bardziej. Używa w tym przede wszystkim argumentu czasowego. Pierwsi niewolnicy z Afryki na terenach przyszłych Stanów Zjednoczonych pojawili się w 1526 r., zaledwie 34 lata po pierwszej wyprawie Krzysztofa Kolumba. Niewolnictwo formalnie zakończyła wojna secesyjna i poprawka konstytucyjna w 1865 r., a faktyczne prześladowania Murzynów, lincze i mordy skończyły się w XX w. Do roli zwierząt pociągowych Polaków sprowadzono tylko na czas II wojny światowej. Jednak nikt z taką intensywnością, nawet przybliżoną, nie mordował czarnoskórych w USA, jak Niemcy i ich sowieccy koledzy Polaków w ciągu tych kilku lat. Są to sprawy ocenne.



Wiktor Świetlik

Tyson stwierdził, że ma prawo interesować się polskim powstaniem, spotykać z weteranami, bo zrozumienie walki o wolność i prawo do ludzkiego traktowania ma w genach

Ocenny za to na pewno nie jest sens wypowiedzi Tysona. Stwierdził, w swoim stylu, że ma prawo interesować się polskim powstaniem, spotykać z weteranami, oddawać im hołd i przyjeżdżać do Polski, bo zrozumienie walki o wolność, godność i prawo do ludzkiego traktowania ma w genach. Jak ktoś tego nie rozumie, to znaczy, że ma kłopot z rozumieniem w ogóle.

Szczególnie że 1 września przyjedzie do Polski Angela Merkel, przyjadą politycy z całej Europy, której pokaźna część potworzyła kolaboracyjne rządy współpracujące z Hitlerem. Oni nie będą obrażali, z nimi nie będzie problemu, za to z dosadnym, ale autentycznie poruszonym naszą przeszłością problem jest. Ja tam, szczerze mówiąc, zdecydowanie wolę tu Tysona niż krokodyle łzy niemieckiej elitki na co dzień przekonującej wszem i wobec, że Polacy znowu nie dorośli do samodzielności i trzeba się nimi zaopiekować.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia





Jeden duch, jedno serce

Na pozór to jeszcze jeden typowy plenerowy koncert, z tą różnicą, że gromadzi wyjątkowo liczne audytorium. Taką frekwencję gwarantują gwiazdy światowego formatu

JAN POSPIESZALSKI

Choć artyści prezentują bardzo wysoki poziom, choć koncert odbywa się od 16 lat, choć gromadzi coraz większą publiczność, dotąd impreza była ignorowana przez mainstream. Ale w tym roku na rzeszowskich błoniach w parku Sybiraków pojawiło się 50 tys. ludzi, dlatego nawet nieprzychylne media musiały odnotować to wydarzenie.

Jak zwykle na scenie stawił się 100-osobowy chór złożony z bardzo młodych śpiewaków, obok kilkudziesięcioosobowa orkiestra z pełną obsadą smyczków, instrumentów dętych, harfą, dzwonami rurowymi. Symfonicy to wolontariusze z uczelni muzycznych i instrumentaliści z różnych orkiestr. Ogromna scena ledwo mieściła rozbudowane zespoły, a przecież jeszcze musi być miejsce dla sekcji rytmicznej zespołu New Life M, dyrygenta i solistów. Potężne nagłośnienie, rampa świetlna i dwa gigantyczne telebimy dopełniają obrazu całości. Na pozór to jeszcze jeden typowy plenerowy koncert, z tą różnicą, że gromadzi wyjątkowo liczne audytorium. Taką frekwencję (i też nie zawsze) gwarantują gwiazdy światowego formatu.

Oglądając transmisję, zastanawiałem się, czym różni się to wydarzenie od innych? Po pierwsze, wśród solistów (o dziwo!) nie ma celebryckich gwiazd. Po drugie, nie widać reklam, namiotów, parasoli z nazwami browarów. Po trzecie, publiczność chętniej niż gdzie indziej śpiewa wraz z wykonawcami. Po czwarte, ujęcia kamery na publikę pokazują piękne twarze ludzi w różnym wieku, częściej niż na innych festiwalach rodziców z maluchami na ramionach i ludzi w koszulkach z symbolami chrześcijańskimi lub wręcz w habitach i sutannach.

Tym bowiem, co zasadniczo odróżnia rzeszowską imprezę od innych, jest idea. Artyści nie odtwarzają na scenie największych przebojów, choć hitów jest tu całkiem sporo. Wykonawcy występ traktują jak modlitwę i świadectwo wiary, bo Koncert Jednego Serca, Jednego Ducha, jest muzyczną formą oddania czci Bogu.

Pomysłodawcą cyklu jest Jan Budziaszek – perkusista Skaldów, świecki kaznodzieja, wielki czciciel Matki Najświętszej. Krążąc po Polsce, właśnie w Rzeszowie znalazł zapaleńców, księży Mariusza Mika i Andrzeja Cyprysia. Siłami wolontariuszy, kwestując po znajomych, w 2003 r. udało im się zrealizować pierwszy koncert. Wykonawcy grali za darmo lub za zwrot kosztów podróży, a środkiem promocji były ambony. Stopniowo dołączyły samorządy, Telewizja Trwam, lokalni drobni ofiarodawcy. W sposób rozumowy trudno wytłumaczyć: jak to możliwe, że przedsięwzięcie bez budżetu, organizowane wprawdzie przez pasjonatów, ale amatorów, przetrwało 16 lat i gromadzi takie tłumy?

Niewątpliwie jednym, ale nie jedynym źródłem sukcesu jest wyjątkowa muzyka. Może nie za bardzo mi, jako bratu, wypada o tym pisać, ale tym, co przesądziło o rewelacyjnym odbiorze koncertów, były mistrzowskie opracowania autorstwa Marcina Pospieszalskiego (do dziś powstało ponad 280 partytur). Każdego roku pojawiają się znane pieśni religijne (np. „Z dawna Polski Tyś Królową", „Pójdź do Jezusa", „Bogurodzica"), które w brawurowym wykonaniu chóru, orkiestry i solistów brzmią świeżo i niebanalnie, a słuchacze mogą się włączyć we wspólny śpiew. Każdego też roku scenariusz zawiera myśl przewodnią z nauczania św. Jana Pawła.

W tym roku wsłuchiwaliśmy się w kazanie dotyczące małżeństwa i rodziny. „Ten, który uczy: »Nie cudzołóż«, jest Dobrym Pasterzem, Pasterzem ludzkiej miłości, którą chce uczynić piękną, trwałą, wierną, nierozerwalną. Jeśli ślubujecie sobie wzajemnie, »iż cię nie opuszczę aż do śmierci«, to On, Dobry Pasterz, staje się w sakramencie najwyższym poręczycielem tych waszych ślubów. Sakrament jest źródłem moralnej mocy dla człowieka, dla mężczyzny i kobiety, aby oboje sprostali swym ślubom. Aby przezwyciężyli słabości i pokusy. Aby nie dali się uwieść żadnej modzie. (...) Oby całe nasze społeczeństwo uwolniło się od tego złudzenia wolności, wolnej miłości, którą usiłuje się przesłonić rzeczywistość cudzołóstwa i rozwiązłości. Zbyt dużo kosztuje ta ułuda".

Mocny przekaz, mocna muzyka – ogromne rzesze słuchaczy. Koncert Jednego Serca Jednego Ducha to budujący obraz polskiej rzeczywistości.

eprasa.pl 93ce4e52b2

Smog na sprzedaż



Jerzy Jachowicz

Od tygodnia cała Polska żyje niezwykłym aktem desperacji 97-letniej mieszkanki Garwolina Leokadii Bąk, która ostatnie lata swego życia postanowiła poświęcić walce ze smogiem. Dzielna staruszka, jeszcze pełna wigoru, wzbudzając niezwykłą sensację, przykuła się łańcuchem do metalowego ogrodzenia Ogrodu Botanicznego w Warszawie naprzeciwko budynku Kancelarii Premiera. Kiedy córki, synowie, a nawet wnuki – dorośli już ludzie – próbowali odstręczyć ją od tej decyzji, powtarzała: „Wreszcie znalazłam cel w życiu. A poza tym jeszcze nigdy nie byłam w telewizji".

Pierwsze dwa dni przeżyła w warunkach miejskiego survivalu. W okropnym upale, osłaniana cieniem drzew siedziała na ziemi lub opierała się plecami o pręty ogrodzenia. Dopiero trzeciego dnia ukochany wnuk Jurek przywiózł z domu ulubiony fotel babci oraz kilka wołowo-wieprzowych kotletów mielonych. Na jej prośbę przywiózł też planszę z napisem, którą umieściła na ogrodzeniu: „Umierają nie tylko kwiaty, ale i ludzie!". Wieczorem tego dnia harcerze drużyny Zdrowa Żywność postawili namiot, aby – jak sami powiedzieli – „tę niestrudzoną bojowniczkę o zdrowe powietrze chronić przed żarem lejącym się z nieba i deszczem".

Jak zwykle media publiczne ledwo przebąkiwały o proteście Leokadii Bąk. Za to stała się ulubioną bohaterką komercyjnych. Oto fragment jej rozmowy z dziennikarką ze stacji TVN.

– Pani Leokadio, jakie zawody pani uprawiała w swoim długim życiu?

– Po podstawówce zaczęłam sprzątać po biurach. To wszystko.

– Doprawdy szlachetne. A kiedy zrodziła się u pani myśl wypowiedzenia walki obecnemu rządowi?

– Mnie chodzi o smog. To było jakiś miesiąc temu. Zorientowałam się, że tlenek siarki, występujący razem z dimerem jako S2/O2, połączony z ozonem w stanie trypletowym oraz benzopirenem są w stanie zabić każdą fruwającą muszkę. A niech pani weźmie pod uwagę, że z powietrza wchłaniamy jeszcze arsen, nikiel i kadm, a czasami nawet ołów.

– Ale miejsce pani protestu nie jest przypadkowe, prawda?

– Doradził mi wnuk Jurek. Jest sporo cienia.

CO MI DAJE SIŁĘ

Nasza wielka tradycja



Katarzyna Łaniewska

Święto Bożego Ciała to nasze polskie i katolickie święto z olbrzymią tradycją. Polski lud boży, jakże liczny, wędruje ulicami razem z Jezusem Chrystusem. To święto najbardziej wrosło w naszą wielowiekową tradycję. Polscy katolicy wychodzą z kościoła i idą ulicami miast, miasteczek i wsi. Pokazują, że Bóg jest z nimi wszędzie, uczestniczy w ich życiu rodzinnym, mija ich domy i przystaje przy ołtarzach urządzanych przez wiernych.

W tym roku spotykaliśmy się z marszami, które wyśmiewały się z naszych katolickich tradycji, które profanowały nasze święte symbole. Dotarły do Częstochowy. I to miejsce królowania Matki Boskiej, królowej Polski, też chciały sprofanować. Tego im się nie uda zrobić, choćby nie wiem jak się przebierały, przedrzeźniały i krzyczały.

Lud Boży jest mądry i silny wiarą. W marszach idą całe rodziny. Święto jest przygotowywane również przez najmłodszych. Ile to wymaga pracy i chęci. Trud jest wynagradzany modlitwą. Jakże pięknie są ołtarze i kwiatowe dywany. Ludzie z całego świata przyjeżdżają zobaczyć, jak to u nas wygląda. To jest nasza siła. Teraz tej tradycji przeciwstawiają tęczowe wydziwiasy. My, katolicy, też możemy sobie nie życzyć tego rodzaju rzeczy. Dlatego w tym roku śpiewano również pieśni przepraszające Marię Pannę i Kościół za tych, którzy wobec naszych najświętszych wartości oddają się bluźnierstwu.

Tak trudno jest przeżywać te święta i myśleć o tym, czego nas uczyli Jan Paweł II i ks. Jerzy Popiełuszko – by zło dobrem zwyciężać. To jest wielkie zadanie dla nas. Wzruszyła mnie dzień po święcie Bożego Ciała pielgrzymka mężczyzn na Jasną Górę, którzy mówili, że przyszli tu bronić Matki Bożej i umacniać w sobie ojcostwo. Wiem, że polskie rodziny są coraz bardziej radosne i w coraz mniejszych kłopotach finansowych. Nie pozwolimy też, by Matka Boża była krzywdzona i by ubliżano Kościołowi.

To smutne, że w najczarniejszych czasach PRL, kiedy świadomie walczono z Kościołem, procesje szły spokojnie. A teraz, w wolnej Polsce, takie rzeczy się dzieją! Wzdycham i smutno mi.

W tym roku święto Bożego Ciała przypadło 20 czerwca – to moje urodziny. Szczególnie przeżywałam ten dzień. Nie myślałam, że tylu lat dożyję, ale cieszę się ze zmian, które następują w mojej ojczyźnie.

eprasa.pl 93ce4e52b2

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Palma z rydwanem

Kpiny, że warszawska palma odbiła w Gdańsku „Rydwanem" są zdecydowanie passé

Wspieranie sztuki z budżetu miejskiego jest bezsprzecznie warte pochwały. W naszą szarą rzeczywistość wdzierają się dzieła wiekopomne. Świadectwa nieokiełznanej wyobraźni artysty. Niestety często zdarza się tak, że ludzi trzeba dopiero edukować, bo sami z siebie nie rozumieją sztuki nowoczesnej i uważają ją za fikuśną tandetę.



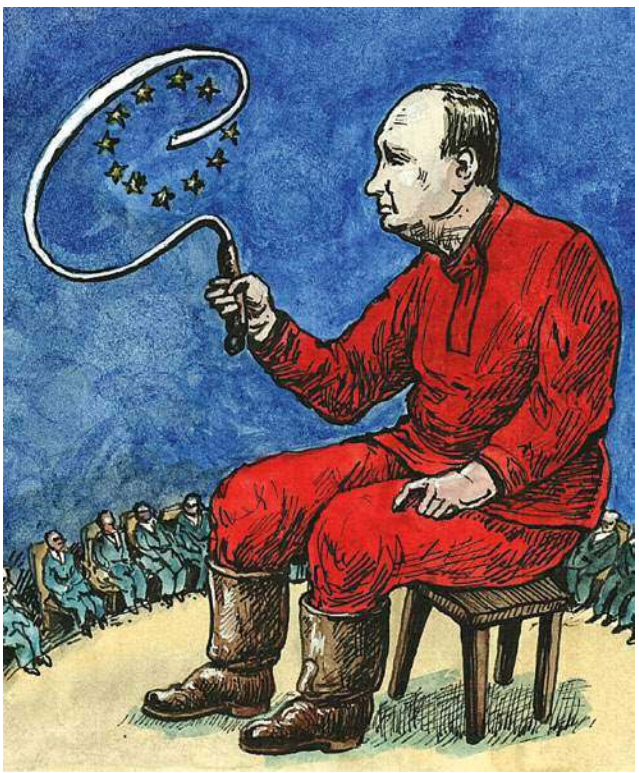
Ryszard Makowski

W Gdańsku odkryto „Rydwan". To znaczy odkryto, że miasto zakupiło za 150 tys. zł „Rydwan". Taką niby złotą dwukółkę z dyszlem, ozdobioną arabskimi napisami. I od razu zaczęły się żarty. Niepotrzebnie. Po pierwsze, cena wywoławcza „Rydwanu" wynosiła 250 tys. zł, więc stargowano całkiem ładnie. Po drugie, jest to działanie w ramach wielkiego projektu. „Rydwan" to część Gdańskiej Kolekcji Sztuki Współczesnej, a znowu ta kolekcja to część Programu Operacyjnego Kultura i Czas Wolny Strategii Rozwoju Miasta Gdańska – Gdańsk 2030 Plus. No i co? Zatkało was, szydercy!

Ponadto gdańska komisja ds. zakupu dzieł sztuki wysoko oceniła wartość dzieła i jego znaczenie dla wzmocnienia ponadlokalnego i międzynarodowego znaczenia Gdańska. No! Warszawa od tej samej artystki zakupiła niegdyś palmę. Sztuczną. Postawiono ją na rondzie gen. Charles'a de Gaulle'a. Liście tej sztucznej palmy poszarzały i opadły. Dramat. Musiano dosztukować nowe i jest znów pięknie oraz egzotycznie. A taki współczesny „Rydwan" nie zwiędnie. Ciekawe, jakie są dalsze plany zakupu eksponatów. Może igloo z napisami po czesku podniosłoby prestiż Gdańska?

eprasa.pl 93ce4e52b2

***Zawistowski prezentuje:* Rada Europy**



Wycinki z przeszłości

Popularny „Światowid" relacjonował w 1934 r. kolejne sukcesy wspaniałego polskiego lekkoatlety Janusza Kusocińskiego podczas mistrzostw Europy rozegranych we Włoszech (zdjęcie z zawodów w Berlinie). Ten wielki polski sportowiec urodził się 15 stycznia 1907 r. w Warszawie w rodzinie urzędnika kolejowego. Wychowywał się w Ołtarzewie pod Warszawą, dokąd rodzina przeniosła się ze stolicy. Aż do 1939 r. był zawodnikiem Warszawianki. Bił rekordy w Polsce i na świecie, a w 1932 r. zdobył złoto na igrzyskach olimpijskich w Los Angeles.

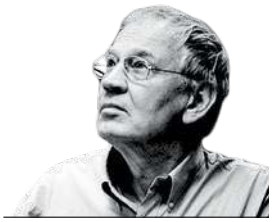


Kiedy w latach 1936–1937 złapał kontuzję kolana, ukończył studia w warszawskim Centralnym Instytucie Wychowania Fizycznego (obecnie AWF). Gdy Niemcy napadli na Polskę, stanął do obrony stolicy. Dwukrotnie ranny, został odznaczony Krzyżem Walecznych. Po upadku Warszawy włączył się w konspirację pod pseudonimem Prawdzic. Gestapo aresztowało go w marcu 1940 r. Mimo tortur nikogo nie zdradził.

Janusz Kusociński został rozstrzelany przez Niemców w Palmirach 21 czerwca 1940 r.

(mk)

Westchnienia lata...



Leszek Długosz

Kazimierz Wierzyński (1894–1969) „Na łące"

Leżę na łące,
Nikogo nie ma: ja i słońce.

Ciszą nabrzmiałą i wezbraną
Napływa myśl:
– To pachnie siano.

Wiatr ciągnie po trawach z szelestem,
A u góry
Siostry moje, białe chmury,
Wędrują na wschód.

Czy nie za wiele mi, że jestem?

Leszek Długosz „Ach obłoki!"

Ach obłoki po błękicie, po szerokim
Z wiatru szumem wędrujące
Popod słońce
W biel i w dal
– Na uwięzi zapatrzenia
Rozmarzenia mojego

Ach obłoki... galery skrzydlate
Żeglujące nad światem
Ręką Boga posyłane w to rano
Albo wiatru tylko tchnieniem
Spełniające swe istnienie
– Na uwięzi zapatrzenia
Rozmarzenia mojego

Po błękicie, po szerokim, ach obłoki
Przez swe życie
Gdzie ku jakim jeszcze niebom
Z przeznaczeniem wędrujące
Swe ciężary niosące?
– Na uwięzi mego zapatrzenia
Rozmarzenia mojego...

Same sobie wzdychające
– Ani mnie tu o co pytające

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 93ce4e52b2

OD A DO ZYBERTOWICZA

Zbędne ogniwo pośrednie

Dlaczego kondycja nauki polskiej jest słaba? Zanim spróbuję odpowiedzieć, przytoczę anegdotę.

DYKTERYJKA

W latach 80. wieku ubiegłego w nauce polskiej były tzw. resortowe programy badawczo-rozwojowe, czyli coś w rodzaju dzisiejszych grantów. Robiło się w ich ramach badania mniej więcej takie same co zwykle, ale za to dodatkowo opłacone. Kilka razy byłem do udziału w takim programie zaproszony przez starszych kolegów. Gdy zbliżał się termin rozliczenia jednego z projektów, a praca była w lesie, szef zespołu, by podnieść nas na duchu, przywołał słowa swego starszego kolegi, profesora prawa, który ostrogi akademickie zdobywał jeszcze w czasach stalinizmu. W takich sytuacjach radził on: „Należy pamiętać, że socjalizm to specyficzny system, cechujący się tym, że pomiędzy planowaniem a sprawozdawczością ogniwa pośrednie nie są niezbędne".



Zamiast pomnażania wiedzy, która może służyć dobru wspólnemu, ścieżka kariery naukowej przyczynia się przede wszystkim do tworzenia ekskluzywnych grup społecznych

DYSTRYBUCJA SZACUNKU

Wskaźniki pokazują, że polskie uczelnie słabo plasują się w rozmaitych rankingach międzynarodowych. Osiągnięcia są znacznie poniżej naszych ambicji, zasobów kraju i rzadko wychodzą naprzeciw wyzwań, przed którymi stoi Polska. Poszczególne rodzynki oraz niekiedy całe środowiska badawcze na dobrym poziomie nie zmieniają zakalcowatej struktury całego ciasta. Przyczyny są wielorakie, trwałe i głębokie – gdyby było inaczej, to problem dawno już zostałby w wolnej Polsce rozwiązany. Było na to 30 lat! Wśród całej grupy czynników (np. poziomu finansowania) tłumaczących tę kiepską kondycję nauki są też zjawiska kulturowe. Do nich należy często wskazywana feudalna hierarchia awansów naukowych.

Zobaczcie, ileż jest pułapów samego profesorowania. Gdy ktoś uzyska stopień doktora habilitowanego, zostaje, tak to nazywam, profesorem grzecznościowym: uważa się bowiem, że uprzejmie jest mówić do takiej osoby „pani profesor, panie profesorze". Gdy posiadacz habilitacji zostaje na uczelni zatrudniony na etacie profesora nadzwyczajnego (najniższa formalna ranga profesorska), staje się tzw. profesorem podwórkowym lub uczelnianym. Takim właśnie profesorem jest np. Leszek Balcerowicz oraz niżej podpisany. Gdy ktoś przejdzie dodatkową procedurę – od rady wydziału, poprzez centralną komisję do spraw... aż do wręczenia nominacji przez prezydenta RP – staje się profesorem z tytułem, tzw. profesorem belwederskim, czyli ogólnopaństwowym i dożywotnim. Wtedy może się ubiegać o zatrudnienie na etacie tzw. profesora zwyczajnego (przynajmniej mógł do niedawna, bo wicepremier Jarosław Gowin to zmienił).

Jeśli komuś przypomina to strukturę szlachectwa – szlachcic, baron, wicehrabia, hrabia, książę, arcyksiążę, wielki książę – to dobrze kojarzy.

HIPOTEZA SOCJOLOGICZNA

Teraz zgłaszam hipotezę: w nauce polskiej pomiędzy zatrudnieniem na uczelni a uzyskiwaniem kolejnych stopni w hierarchii ogniwa pośrednie w postaci niebanalnych osiągnięć poznawczych nie są niezbędne. Tworzenie niebanalnej wiedzy może być częścią dorobku, ale niezbędne nie jest.

Hipoteza ta sugeruje, że w Rzeczypospolitej świat akademicki często stał się wewnętrzną grą dystrybucji formalnego, związanego ze stopniami i tytułami, społecznego szacunku; grą nader luźno powiązaną z osiągnięciami ściśle poznawczymi.

Uproszczając, powiem, że „dobre towarzystwo" dokonuje kooptacji do swego grona. Przede wszystkim tych, którzy dali się odpowiednio „znormalizować". Do normalizacji dochodzi w procesie dyscyplinowania: to politycznego, to ideologicznego, to po prostu – by z wprawy nie wyjść – czysto środowiskowego. Wiąże się z tym niska tolerancja środowisk akademickich na kontrowersje badawcze. Stąd też pewnie ciągle ponawiające się przykłady opornego reagowania na plagiaty w nauce.

Wydaje się, że zamiast pomnażania wiedzy, która może służyć dobru wspólnemu (szukanie sposobów, jak najefektywniej rozwiązywać problemy społeczne; na jakie ścieżki rozwoju gospodarczego stawiać, by dobrze wykorzystać trendy globalne etc.), ścieżka kariery naukowej przyczynia się przede wszystkim do tworzenia ekskluzywnych grup społecznych. I tyle.

Czy powinienem wystąpić o grant, by tę hipotezę poddać weryfikacji?

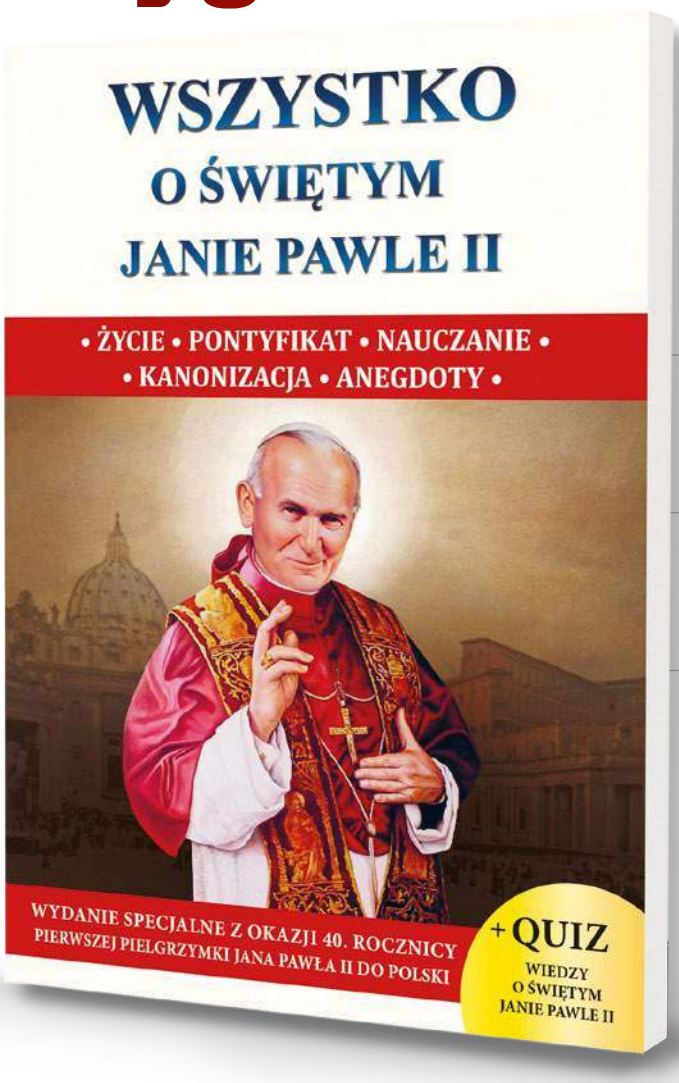
Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | 6/0619/F

eprasa.pl 93ce4e52b2

Wyjątkowa książka z tygodnikiem SIECI

w sprzedaży od 1 lipca



- w 40. rocznicę pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski
- inspirujące cytaty z książek, poezji, homilii i encyklik Papieża Polaka
- piękne, unikatowe zdjęcia Ojca Świętego Jana Pawła II

Partner książki

LOTOS

KUP TYGODNIK Z KSIĄŻKĄ W CENIE 9,90 ZŁ W WYBRANYCH PUNKTACH SPRZEDAŻY M.IN.:

• Empik • Relay • Inmedio • 1-Minute • Tabak • Świat Prasy • Poczta Polska
Salony Prasowe: • Kolporter • Ruch • Garmond Press

eprasa.pl 93ce4e52b2

WYPŁATA NA LATA



Paweł
jeszcze nie zagrał...

Ekstra Pensja

Tomek wygrał,
bo zainwestował 5 zł!

5000 ZŁ MIESIĘCZNIE PRZEZ 20 LAT

NOWOŚĆ! Ekstra Premia 100 000 ZŁ

Graj w punktach

LOTTO

eprasa.pl 93ce4e52b2